BÓG, PREZES, OJCZYZNA
Jak się urwać Kaczyńskiemu – czy żona pomoże Dudzie

A MURY RUNĄ
Białoruś: kobiety przeciw Łukaszence

WSPÓLNOTA CZY SEKTA
Wychowywali swoją córkę do wiary w szatana

MORZA SZUM
Gdzie szukać ciszy nad Bałtykiem

Kraków 9 sierpnia 2020 nr 32 (3709) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Nasz pierwszy nałóg

GORZKA PRAWDA O CUKRZE

W SPRZEDAŻY

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425
32
9 770041 480000

REKLAMA

Kup na przekroj.pl

KS. ADAM

Boniecki: *Parafia widziana z Watykanu*

Nawrócenie duszpasterskie wspólnoty parafialnej w służbie misji ewangelizacyjnej Kościoła" to tytuł zatwierdzonego 29 czerwca przez Kongregację ds. Duchowieństwa dokumentu. Początkowo wzbudził on spore zainteresowanie, które potem przeszło w rozczarowanie. Bo rewelacji w nim nie ma. Ja jednak z ciekawością go czytałem (w polskim, nieudolnym przekładzie).

Jest tu obszerny i trafny opis znanych problemów: „Parafia, nie będąc już, jak kiedyś, głównym miejscem agregacji i socjalizacji, jest wezwana do szukania innych sposobów bliskości niż zwykłe działania". „Samo powtarzanie czynności duszpasterskich niemających wpływu na życie konkretnych ludzi staje się sterylną próbą przetrwania, często przyjmowaną z ogólną obojętnością". Parafii grozi, że się stanie „strukturą skupiającą się na sobie i sklerotyczną, która proponuje doświadczenia pozbawione już ewangelicznego i misyjnego smaku, być może przeznaczone tylko dla małych grup". I papież Franciszek: że „nie jest strukturą ułomną; (...) dlatego, że ma wielką elastyczność, może przyjąć bardzo odrębne formy, wymagające otwarcia i misyjnej kreatywności duszpasterza i wspólnoty". Zacytowano zachętę Franciszka do odważnej reformy: „Mam nadzieję, że zamiast lęku przed pomyleniem się, będziemy się kierować lękiem przed zamknięciem się w strukturach dostarczających nam fałszywej ochrony, lękiem przed przepisami czyniącymi nas nieubłaganymi sędziami, lękiem przed przyzwyczajeniami, w których czujemy się spokojni". Piękne zdania, zapowiadające gruntowną odnowę.

Autorzy zdają sobie sprawę z tego, że z jednej strony „opieka duszpasterska, sprawowana wyłącznie w granicach terytorialnych parafii, wydaje się być przestarzała, (...) z drugiej, że na poziomie kanonicznym zasada terytorialna pozostaje w pełni obowiązująca, gdy wymaga tego prawo". Także z tego, że „cała wspólnota jest podmiotem odpowiedzialnym za misję, ponieważ Kościół nie utożsamia się jedynie z hierarchią, ale stanowi siebie jako Lud Boży".

W drugiej części dokumentu mowa jest o konkretach. Tu zaskoczenie. Pierwszym, szeroko omówionym tematem jest „łączenie parafii, zniesienie parafii przez ich łączenie, podział wspólnoty parafialnej na kilka parafii autonomicznych, które są tworzone *ex novo*". Precyzyjnie określono granice zaangażowania świeckich. Świecki może kierować wspólnotą (ale musi mieć nad sobą księdza). Może nauczać w kościele, nie może wygłaszać homilii na mszy św. itd.

Kolejna sprawa to rady. Do spraw ekonomicznych (obowiązkowa), jako że dobra należą do parafii, a nie do proboszcza. Parafialne rady duszpasterskie nie są obowiązujące, jednak w dokumencie ich istnienie potraktowano jak warunek nawrócenia. Wreszcie sprawa „opłat" za posługi religijne. Nie można dopuścić, żeby dobrowolne ofiary były traktowane jak transakcja handlowa. Proboszcz zaś ma swoich wiernych wychować do odpowiedzialności za materialne potrzeby Kościoła.

Być może z perspektywy Watykanu właśnie te sprawy są kluczowe. A dla nas? Najbardziej chyba musimy wziąć do siebie wezwane do kreatywności. ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Świąteczny numer – już za tydzień!

W środę 12 sierpnia specjalny świąteczny numer „Tygodnika" na święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny

- Zuzanna Radzik rozmawia o Maryi z teolożką feministyczną Tiną Beattie
- Kapliczki, wieżowce, kluby fitness, restauracje. Czy kapliczki maryjne są czymś więcej niż tłem dla wielkomiejskiego życia? – reportaż Mariusza Sepioły
- Wakacyjny dodatek **Włóczykij i Powsinoga**, a w nim: rozmowa z Mają Popielarską o tym, dlaczego uprawiamy ogrody, oraz przepisy na dziki obiad z sierpniowych „chwastów".
- Zobaczycie także, gdzie wyrosła nasza wspólna Łąka Powszechna.

weź, czytaj!

22 Bóg, prezes, ojczyzna
ANDRZEJ STANKIEWICZ
W PiS mówią, że teraz prezydent będzie odpowiadał tylko przed opatrznością i historią. Po prawdzie jednak zakładają, że także przed Jarosławem Kaczyńskim. A ten wciąż pokazuje, że nie potrzebuje Andrzeja Dudy, tylko jego podpisu.

32 Ale nas zbaw ode złego
JOLA SZYMAŃSKA
Olę od małego uczono chronić się przed szatanem. Nie nauczono jednak bez niego żyć.

42 Trio kontra dyktator
WOJCIECH KONOŃCZUK
Twarzami białoruskiej opozycji stały się trzy kobiety. Choć wiadomo, że Łukaszenka ogłosi się zwycięzcą wyborów prezydenckich, najciekawsze rozegra się po ich zakończeniu.

58 Przybysze z półksiężyca
MICHAŁ KUŹMIŃSKI
Już kilka tysięcy lat temu w osadach na ziemiach polskich grasowały koty. Przywędrowały z Bliskiego Wschodu za pierwszymi Europejczykami. I za myszami.

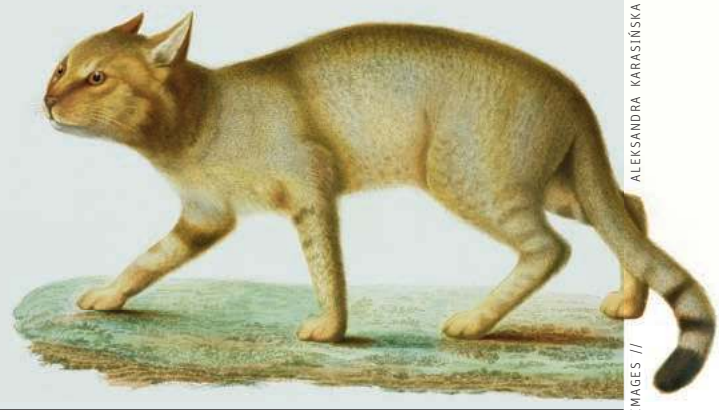

76 Prorok i ziemia obiecana
MICHAŁ OKOŃSKI
Oto sensacja: w najlepszej lidze świata będzie pracował najlepszy trener świata. Tylko dlaczego – zapytacie – skoro jest najlepszy, nigdy o nim nie słyszeliśmy?

62 Wiatr w lewym uchu
ROZMOWA Z PISARZEM PIOTREM PAZIŃSKIM
Wyniszczający konflikt między cywilizacją a przyrodą jest nad Bałtykiem szczególnie odczuwalny.

ALEKSANDRA KARASIŃSKA // ADRIAN DENNIS / EAST NEWS // NATALIA FEDOSENKO / TASS / FORUM // ANDRZEJ HULIMKA / FORUM // JOANNA RUSINEK DLA „TP" // GETTY IMAGES //

INFORMACJA DLA CZYTELNIKÓW Z przyczyn przez Wydawcę niezawinionych pismo może nie być dostępne w niektórych punktach sprzedaży – szczególnie tych prowadzonych przez Garmond Press SA. W zaistniałej sytuacji najkorzystniejszym i najpewniejszym sposobem otrzymywania naszego pisma jest prenumerata – szczegóły na stronie **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**. *WYDAWCA*

6 Taka konwencjaw
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Bóg, prezes, ojczyzna
ANDRZEJ STANKIEWICZ

26 Wojna mądrych z uczciwymi
JAROSŁAW FLIS:
Podkreślanie przez opozycyjne media podziału na miasto i wieś pomagało PiS

28 Tam dom twój, gdzie cztery koła twoje
MARIUSZ SEPIOŁO:
Polskę zza kółka kampera widać jak przez szkło powiększające

WIARA

32 Ale nas zbaw ode złego
JOLA SZYMAŃSKA

37 Nieuchwytna relacja
PIOTR SIKORA:
Czy da się być człowiekiem moralnym nie wierząc w Boga?

40 Wiara dla dorosłych
MACIEJ MÜLLER *o nowej książce s. Małgorzaty Borkowskiej*

ŚWIAT

42 Trio kontra dyktator
WOJCIECH KONOŃCZUK

46 Pizza Veterano zaprasza na degustację
MONIKA ANDRUSZEWSKA
Z KIJOWA: *Weteran wojny jest zagrożeniem głównie dla siebie*

49 Rozproszeni
MAGDALENA CHODOWNIK
Z SYRII I ARMENII:
Biografie pokoleń Ormian naznaczone są tułaczką

TEMAT TYGODNIKA

MAREK ZALEJSKI

12 Zasłodzeni
BARTOSZ KABAŁA
Coraz lepiej rozumiemy niszczycielskie skutki spożywania cukru. Wiemy już też, dlaczego uzależnia nie gorzej od alkoholu.

16 Słodko żyć przed rewolucją
ROZMOWA Z GRZEGORZEM ŁAPANOWSKIM, POPULARYZATOREM ZDROWEGO ODŻYWIANIA
Przemysł spożywczy nie zajmuje się dietetyką. Jego celem jest zarobek, a przesłodzone po prostu sprzedaje się lepiej.

FELIETONY

31 ANNA DZIEWIT-MELLER **53** WOJCIECH BONOWICZ
74 JAN KLATA **75** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: MAGDALENA BURDZYŃSKA dla „TP"
Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

HISTORIA

54 Ochotnicy roku 1920
KRZYSZTOF PIĘCIAK:
W wojnie z bolszewikami walczyli nie tylko żołnierze

NAUKA

58 Przybysze z półksiężyca
MICHAŁ KUŹMIŃSKI

60 Kto odkrył Amerykę
ŁUKASZ KWIATEK:
Coraz więcej dowodów wskazuje na to, że kolonizacja Nowego Świata rozpoczęła się dwa razy dawniej, niż sądziliśmy

KULTURA

62 Wiatr w lewym uchu
ROZMOWA Z PIOTREM PAZIŃSKIM

66 Wspinacz, który słuchał
JAN BŁASZCZAK:
Album „Himalayam and Karakoram" to kronika sportowa, dokument o historycznym znaczeniu i dowód nieprzeciętnej wrażliwości autora

70 Mleczne zęby
ANITA PIOTROWSKA
o „Babyteeth" Shannon Murphy

72 Litania niewiary
TADEUSZ SOBOLEWSKI
o filmie „xABo" Aleksandry Potoczek

74 Miłość komisarza Montalbano
LEKTOR *o „Uśmiechu Angeliki" Andrei Camilleriego*

ZMYSŁY

76 Prorok w ziemi obiecanej
MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata
Za sprawą światowej epidemii pielgrzymka do Mekki odbywa się w bardzo okrojonej formie. Zamiast milionów, do najświętszego miejsca islamu wpuszczono ledwie kilka tysięcy pątników – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** **powszech.net/strona-swiata**

17 mgnień Rosji
Sytuacja na Białorusi przed wyborami przypomina mrowisko polane wrzątkiem: dzieją się rzeczy niespodziewane i dynamiczne – o Wagnerowcach z wizytą przyjaźni u Łukaszenki pisze na swoim blogu **ANNA ŁABUSZEWSKA** **powszech.net/17mgnien**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

TAKA KONWENCJA

Dokument, którego wypowiedzeniem groził dla politycznego zysku Zbigniew Ziobro, a premier dla świętego spokoju odesłał do Trybunału, jest przeceniany: ani nie załatwi za nas problemów, ani nie zniszczy tradycji.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Protest przeciw przemocy wobec kobiet. Gdańsk, 24 lipca 2020 r.

Przeceniano też od początku moc szefa resortu sprawiedliwości. Zbigniew Ziobro złożył u minister rodziny, pracy i polityki społecznej wniosek o rozpoczęcie procedury wypowiedzenia przez Polskę tzw. konwencji stambulskiej. Ale nawet gdyby rząd ten wniosek przyjął (nie uczynił tego: premier dla zyskania czasu wysłał w ub. tygodniu konwencję do Trybunału Konstytucyjnego), legislacyjna droga do wypowiedzenia byłaby mozolna. Po drodze zaś trwałaby wyniszczająca wojenka, której korzyści byłyby dla partii władzy niepewne – ten kolejny PiS-owski straszak ideologiczny na Polaków najwyraźniej nie działa, skoro wypowiedzenie Konwencji popiera dziś 15 proc. pytanych (sondaż SW Research dla „Rzeczpospolitej").

Ta awantura wybuchła jako odprysk konfliktu premier–minister sprawiedliwości. Konflikt ten nie ma nic wspólnego z problemem przemocy. Jest tak samo oderwany od rzeczywistości, jak większość publicystycznych debat na temat Konwencji od treści tego dokumentu.

Jego lektura musi wzbudzić dysonans: czy to aby na pewno ten sam tekst, o który wściekły bój toczy pół Polski? To wszak w ponad 90 proc. zbiór słusznych oczywistości, pod którymi – gdyby nie ideologiczna wojenka – podpisałby się pewnie każdy: profilaktyka, ściganie, pomocowa infrastruktura, dobro

ofiary etc. Litera prawa jedno, histeryczne interpretacje drugie (na pozycję lidera wysunął się w tej konkurencji poseł Porozumienia Kamil Bortniczuk, stwierdzając, że to Konwencja „dla dziczy”).

Co z pozostałymi kilkoma procentami? Spór o eksponowaną w Konwencji kategorię płci społeczno-kulturowej, a także kulturowe źródła przemocy należy uznać za wartość – podobny toczy się w wielu krajach. Przeciwnicy Konwencji widzą w jej tezach jeden z etapów rozmontowywania tradycyjnego porządku. Zwolennicy dowodzą, że dokument nie atakuje tradycji jako takiej, lecz te jej elementy, które mogą sprzyjać przemocy. I że ci, którzy upatrują zagrożenia dla tradycji, muszą mieć kiepskie mniemanie o jej trwałości.

By to sprawdzić, najlepiej przyjrzeć się samym historiom przemocy i ich typowym schematom: on bije, otoczenie nie chce się w „sprawy rodzinne” wtrącać, jej pozycja (brak własnych znajomych, brak środków do życia) sprawia, że w pułapce tkwi latami. Taka konwencja – chciałoby się powiedzieć, nawet jeśli ten schemat nie jest już równie silny jak dawniej. Tradycja i kultura nie biją kobiet – czynią to agresywni ludzie. Ale bijący w niektórych kulturach czuje się pewniej. A bita bardziej bezradna. Choćby dlatego istnienie Konwencji w Polsce ma ważny wymiar symboliczny.

Co z jej realnym oddziaływaniem? Przez pięć lat rządów PiS mieliśmy wszystkiego po trochu: było nękanie organizacji, były próby absurdalnych zmian w prawie, zgodnie z którymi np. jednorazowy akt przemocy domowej nie byłby przemocą, ale też udane próby wprowadzenia zmian sensownych, jak przepis o izolacji domniemanego sprawcy. Co do Konwencji, jej wpływ na nasze życie pod rządami PiS pozostanie znikomy: ani nie załatwi ona – także zresztą pod inną władzą – wszystkich problemów, ani nie zniszczy tradycji. Najlepiej jej dalszy los podsumowuje doktryna Andrzeja Dudy sformułowana kilka lat temu przed kamerami TVP: „Przede wszystkim nie stosować”.

I tak też będzie: wiele zapisów Konwencji będzie bojkotowanych (włącznie z tymi zgoła nieideologicznymi, jak postulat wprowadzenia do prawa kategorii przemocy ekonomicznej) – ale próby jej wypowiedzenia będą się kończyły na pogróżkach. ©℗

MARTYNA NIEĆKO / AGENCJA GAZETA

Obostrzenia lokalne, lecz wytycznych brak

MACIEJ MÜLLER

Policjanci i inspektorzy sanepidu sprawdzą, czy pracownicy i klienci sklepów noszą maseczki – zapowiedział minister zdrowia Łukasz Szumowski. Będą mandaty do 500 zł. Minister podkreślił, że wbrew obiegowym przekonaniom medyczne przeciwskazania do osłaniania twarzy są bardzo wąskie, a jeśli ktoś źle się czuje w masce, powinien nosić przyłbicę. Tu eksperci są zgodni: przestrzeganie zasady MDD (maska, dystans, dezynfekcja) skutecznie utrudnia wirusowi transmisję. Unikać trzeba tłumów i zamkniętych, niewietrzonych pomieszczeń.

Decyzję rządu trudno uznać za obostrzenie – chodzi raczej o egzekwowanie prawa, którego nigdy nie poluzowano. Zmiana przepisów dotknie natomiast organizatorów wesel: imprezy mają być rejestrowane (choć nie podano, w jaki sposób) i mniejsze.

Od zeszłego czwartku padają w Polsce rekordy dziennej liczby zakażeń: przekroczyliśmy psychologiczną granicę 600 przypadków. Szumowski uspokaja, że to efekt badań przesiewowych w kilku kopalniach i zakładach pracy na Śląsku. Niestety, aktywność koronawirusa rośnie też w innych województwach. W czołówce są mazowieckie, łódzkie, wielkopolskie, dolnośląskie i małopolskie. Krakowski szpital jednoimienny w zeszłym tygodniu był zapełniony w dwóch trzecich.

Właściwie nigdzie na świecie nie można mówić o stabilizacji. SARS-CoV-2 zaatakował ponownie wszędzie tam, gdzie zdawał się być pod kontrolą i gdzie luzowano restrykcje – w Izraelu, Hiszpanii, Francji, Rumunii, Chorwacji, Serbii czy w Czechach.

Rzecznik rządu Piotr Müller deklaruje, że nie będzie powtórki z marcowego zamykania całego kraju (choć, przypomnijmy, nie dotyczyło to np. śląskich kopalń, czego efekty oglądamy do dziś). Będą punktowe ograniczenia w funkcjonowaniu restauracji, galerii handlowych czy organizacji imprez w konkretnych powiatach: dziś groziłoby to ok. 20 powiatom (na 380) o największej aktywności wirusa. Wciąż jednak nie istnieją wytyczne dla władz lokalnych pozwalające na ocenę stopnia zagrożenia. ©℗

Kim jest kandydatka na Rzecznika Praw Obywatelskich

„CHCĘ POLSKI OTWARTEJ, w której wszyscy czujemy się bezpieczni” – to pierwsze zdanie programu Zuzanny Rudzińskiej-Bluszcz (na zdjęciu), która ogłosiła w minionym tygodniu, że będzie kandydować na stanowisko Rzecznika Praw Obywatelskich. Kadencja Adama Bodnara, w biurze którego Rudzińska-Bluszcz pracuje od pięciu lat, kończy się we wrześniu.

„Przez ostatnie 5 lat Polska ma dla mnie twarz (...) pani Anny, ofiary przemocy domowej z Leżajska; mamy 8-letniego Pawła chorego na chorobę rzadką; (...) dzielnych mieszkańców Rybnika walczących ze smogiem; prawie 100-letniej pani Stefanii, okrutnie potraktowanej przez dewelopera” – pisze Rudzińska-Bluszcz.

Przedstawiciele ponad 230 organizacji pozarządowych, które poparły jej kandydaturę, podkreślają, że była sędzią Wyższego Sądu Dyscyplinarnego Adwokatury, członkinią Zespołu ds. Kobiet przy Naczelnej Radzie Adwokackiej, koordynatorką okrągłego stołu przy RPO do walki z patotreściami w internecie. Przez 10 lat prowadziła sprawy z zakresu praw człowieka, broniąc ludzi wykluczonych – niepełnosprawnych, starszych, bezrobotnych, z zaburzeniami psychicznymi.

MATERIAŁY PRASOWE / BIURO RPO

Rzecznika Praw Obywatelskich powołuje parlament. Ten sam, który na różne sposoby dawał znać Adamowi Bodnarowi, jak bardzo ceni pracę jego biura. Ubiegłoroczne wystąpienie Bodnara w Sejmie, podczas którego przedstawiał raport z przestrzegania praw człowieka w Polsce, zaplanowano na 23.30, a na sali pojawiło się zaledwie kilkudziesięciu posłów.

Wnioski z raportu podsumował poseł Daniel Milewski (PiS): „Pana kraj jest opanowany przez (...) kryzys rządów prawa, bezdomność i tortury. Moja Polska to kraj, w którym żyją wolni i odpowiedzialni ludzie. Żyjemy w równoległych światach”. ©℗ ANNA GOC

Czy będzie się dało nie być w pracy

RAFAŁ WOŚ

Rząd zajmuje się nowelizacją kodeksu pracy, która ureguluje kwestie pracy zdalnej. Trudno się dziwić: przez ostatnie kilka miesięcy wielu z nas pracowało z domu. Formalnie odbywało się to na zasadzie kryzysowego ustawodawstwa specjalnego, które wygaśnie na początku września. Od dawna wygląda jednak na to, że praktyka tzw. *home office* stanie się w wielu przypadkach nową normalnością. Prawo musi nadążyć za rzeczywistością, rząd wyjdzie więc naprzeciw oczekiwaniom i telepraca zapewne nie będzie już wymagała podpisywania (jak przed pandemią) osobnej umowy z pracownikiem. Zakwitną przeróżne formy mieszane: trochę w domu, trochę w biurze.

To trend, rzecz jasna, nie tylko polski. Międzynarodowa Organizacja Pracy przewiduje, że odsetek pracujących zdalnie wzrośnie z przedkryzysowych 8 proc. do 20–30 proc. zatrudnionych w następnych latach.

Czy to dobrze? Dziś telepraca ma więcej zwolenników niż wrogów. Wielu widzi w niej szanse na zredukowanie znoju długich dojazdów do biura albo ma nadzieję na efektywniejsze łączenie obowiązków służbowych i rodzinnych. Niestety, będzie również wiele minusów. Po pierwsze, praca świadczona zdalnie będzie miała tendencję do dalszego rozlewania się i kolonizacji życia prywatnego. Brak wyraźnie zarysowanych granic może prowadzić do wiecznego bycia w pracy. Po drugie, ręka w rękę z upowszechnieniem pracy zdalnej będzie szła presja na dalsze uelastycznienie stosunków pracy. Po trzecie, będzie to wszystko prowadzić w kierunku stałego zwiększania intensywności pracy. To proste: im bardziej elastycznie (śmieciowo) zatrudniony pracownik (podwykonawca), tym bardziej musi dbać o to, by być „atrakcyjnym" i „zatrudnialnym".

Oczywiście różne zawody będą podatne na „homeoffizację" w różnym stopniu. Pewne jest jednak, że dla starej zasady egzystencjalnej higieny zwanej 3x8 (8 godzin w pracy, 8 godzin snu, 8 godzin na życie) będzie po pandemii jeszcze mniej miejsca niż przedtem. ©

KRAJ W SKRÓCIE

BEZ WPŁYWU
Do Sądu Najwyższego wpłynęło ok. 5,8 tys. protestów wyborczych. Zasadne okazały się 92, które jednak nie miały wpływu na wynik.

BEZ KONKRETÓW
„Kulturalnie, choć bez konkretów" przebiegło spotkanie Rafała Trzaskowskiego z Andrzejem Dudą w Pałacu Prezydenckim. Politycy

JAKUB SZYMCZUK

uścisnęli sobie dłonie pod portretem Lecha Kaczyńskiego, który w zarządzanym przez lidera PO mieście wciąż nie ma ulicy swojego imienia.

BEZ PIENIĘDZY
Komisja Europejska ogłosiła listę 127 dotacji w ramach programu „Partnerstwo Miast". Odrzucono wnioski sześciu polskich miejscowości, które przyjęły rezolucje w sprawie „stref wolnych od LGBT". „To działanie bezzasadne i bezprawne, dlatego zwróciłem się z prośbą do pana premiera, by podjął zdecydowane działania wobec KE" – zagrzmiał Zbigniew Ziobro.

BEZ SENSU
Wobec górników rząd nie jest tak nieugięty jak wobec Brukseli: najpierw w rozmowie z mediami przedstawiciele resortu aktywów państwowych ujawnili plan likwidacji kilku kopalń, a następnie podczas rozmów ze związkowcami nawet go nie przedstawili, gdyż – jak się wyraził rzecznik ministra Sasina – „szkoda czasu na dyskusję nad dokumentem, który nie uzyska akceptacji".

Zawartość dzieła w dziele

CZY MUZYK GRAJĄCY Z NUT wykonuje dzieło czy je tylko odtwarza? I czy słuchaczom nie przysługuje przypadkiem prawo do rękojmi? – na te pytania odpowie wkrótce sąd na wniosek dyrekcji Filharmonii Łódzkiej im. Artura Rubinsteina.

Pod koniec 2019 r. w filharmonii rozpoczęła się kontrola Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Pod lupę poszły m.in. umowy o dzieło zawierane z artystami. Kontrolerzy doszli do wniosku, że filharmonicy nie tworzą nowych dzieł, a jedynie odtwarzają utwory innych autorów, powinni być zatem zatrudnieni na umowę-zlecenie, od której trzeba odprowadzić składki na ZUS. Zdaniem urzędników koncertowanie na podstawie umowy o dzieło rodzi prawne absurdy, widzowie bowiem „musieliby formalnie »odbierać« koncert, a dla tych niezadowolonych artysta w ramach rękojmi wykonywałby utwór po raz kolejny, aż do akceptacji repertuaru przez publikę".

W rezultacie ZUS wydał ponad 20 decyzji o wstecznym naliczeniu składek na ubezpieczenia społeczne i zdrowotne. Władze Filharmonii Łódzkiej chcą je zaskarżyć. Dyrektor Tomasz Bęben uważa, że szukając gorączkowo pieniędzy, ZUS odbiera muzykom „miano twórców i niezbywalne prawa do tytułu autora dzieła".

©℗ MAREK RABIJ

Wczasy w trudnych czasach

SPOŚRÓD 21 SAMOLOTÓW największej polskiej czarterowej linii Enter Air w minionym tygodniu latało już 16. LOT – też w specjalnym, wakacyjnym trybie – wozi tysiące pasażerów na greckie wyspy i do innych kurortów Południa. W minionym tygodniu przywrócono połączenia z Tunezją i Turcją. Tylko krakowskie lotnisko obsłużyło w lipcu prawie 206 tys. pasażerów, czternastokrotnie więcej niż miesiąc wcześniej. Wygląda na to, że mimo ograniczeń związanych z koronawirusem wielu z nas wybrało urlop za granicą.

Radość ze względnej swobody podróżowania może być jednak krótka, bo wzrost zachorowalności w Polsce już spowodował, że np. Ukraina wprowadziła obowiązek kwarantanny dla przyjeżdżających z naszego kraju; możliwy jest także powrót restrykcji w innych miejscach. MSZ wciąż odradza wszelkie zagraniczne podróże, „które nie są konieczne". Po drugie, choć rynek lotniczy odradza się szybko (każdy samolot, który nie lata, przynosi dotkliwe straty), kryzys branży sprawia, że powrót do sytuacji sprzed pandemii potrwa co najmniej dwa lata. Jest też nadzieja: na edukacyjne wykorzystanie tego czasu liczą ekolodzy, od dawna wskazujący na szkodliwość lotnictwa dla klimatu. ©℗ ŻYM

ISLAM YAKUT / ANADOLU AGENCY / AFP / EAST NEWS

„EID MUBARAK" – tak w tych dniach muzułmanie składają sobie życzenia z okazji Eid al-Adha – Święta Ofiarowania, które upamiętnia gotowość proroka Ibrahima (Abrahama) do ofiarowania Bogu syna Izmaela. Koran wspomina, że Bóg zażądał ofiary z pierworodnego, nie z młodszego Izaaka. Według tradycji Izmael został protoplastą wszystkich Arabów. Na zdjęciu: modlitwa przed meczetem Hagia Sophia – z powodu pandemii obowiązuje zachowanie dystansu społecznego. Stambuł, 31 lipca 2020 r. ©℗ MR

Armia USA: gdy więcej znaczy mniej

OLAF OSICA

Donald Trump zdecydował, a Pentagon poinformował: ponad 6 tys. żołnierzy amerykańskich ma zakończyć służbę w Europie i wrócić za Atlantyk. Kolejne 5 tys. zostanie przegrupowane, głównie do Belgii i Włoch. Możliwe jest także umiejscowienie rotacyjnego dowództwa szczebla korpusu w Polsce. Warunkiem jest nowe porozumienie obronne, o którego wynegocjowaniu poinformowała 31 lipca ambasador USA, a następnie polskie władze. Według nieoficjalnych doniesień porozumienie przewiduje pełny immunitet oraz eksterytorialność instalacji wojskowych. Dzisiaj w Polsce „rotuje" około 4,5 tys. żołnierzy US Army. Kolejny tysiąc ma dołączyć w ramach porozumienia z zeszłego roku.

Te wszystkie osiągnięcia mają niestety kilka wad wrodzonych. Po pierwsze, do Polski nie trafi więcej oddziałów z Niemiec, o czym spekulowano przed i po czerwcowej wizycie prezydenta Andrzeja Dudy w Waszyngtonie. Amerykanie będą natomiast „wpadać" na poligony i rozwijać – z naszym wsparciem finansowym – infrastrukturę, która umożliwi im zwiększenie obecności, gdyby była taka nagła potrzeba. To oznacza, że w naszej części Europy stała obecność amerykańska istotnie się zmniejsza, osłabiając NATO i nasze bezpieczeństwo militarne. Wiedzą o tym Niemcy, Amerykanie i Rosjanie. Wiedzą też polscy politycy i wojskowi.

Po drugie, szczyt współpracy polsko-amerykańskiej przypadł w momencie rozjeżdżania się strategii obu stron. My postawiliśmy niemal wszystko na usidlenie Amerykanów nad Wisłą, aby ich obecność zamortyzowała słabości naszej polityki zagranicznej i stan sił zbrojnych. Amerykanie konsekwentnie wycofują się wojskowo z Europy unikając nowych zobowiązań. I to oni ostatecznie wygrają.

Powód jest jeden: to wyśmiewany przez wielu ład liberalny na świecie dał nam szanse na sojusz z Ameryką. Koniec tego ładu oznacza też powolny koniec sojuszu w jego obecnej formie. Co przyniesie przyszłość, jeszcze nie wiemy. Ale na pewno nie będzie to dwustronny pakt wojskowy z USA, o czym wciąż marzy wielu Polaków. ©℗

RPA: zmarł bohater walki z apartheidem

JEDNA Z NAJZAMOŻNIEJSZYCH dziś dzielnic Johannesburga, Rivonia, użyczyła imienia najgłośniejszemu i najważniejszemu procesowi sądowemu w historii Republiki Południowej Afryki. Niedawno umarł ostatni z podsądnych.

Andrew Mlangeni był, obok Nelsona Mandeli, jednym z kilkunastu przywódców zdelegalizowanego Afrykańskiego Kongresu Narodowego – ruchu wyzwoleńczego czarnoskórej większości – którzy stanęli przed sądem za walkę przeciwko ustrojowi apartheidu, segregacji rasowej. Rozprawę nazwano „procesem Rivonii", ponieważ właśnie tu, podczas nalotu na farmę Liliesleaf policja aresztowała większość ukrywających się działaczy Kongresu i przejęła dokumenty, które posłużyły za dowody „działalności wywrotowej". Poza aresztowanymi na farmie przed sądem stanęli także wcześniej zatrzymani przywódcy z Nelsonem Mandelą na czele.

Zorganizowany na przełomie 1963 i 1964 r. proces miał zdławić opór czarnoskórej większości i pozbawić ją przywódców. Przekształcił się jednak w publiczny sąd nad apartheidem, okazał się początkiem końca (wtedy jeszcze, co prawda, odległego) białych rządów na południu Afryki. To podczas procesu Rivonii Mandela wygłosił najsłynniejszą mowę o sprawiedliwej krainie, w której wszyscy ludzie, niezależnie od koloru skóry, cieszą się równymi prawami. „Marzę, by w takim kraju żyć. Ale jeśli trzeba, gotów jestem też za to umrzeć" – powiedział.

Mandela i Mlangeni (obaj na zdjęciu poniżej), Walter Sisulu, a także Govan Mbeki, Raymond Mhlaba, Elias Motsoaledi, Ahmed Kathrada oraz Denis Goldberg (jedyny biały) zostali skazani na dożywocie, ale ich proces ściągnął na RPA potępienie świata, które wkrótce przerodziło się w międzynarodowe sankcje i izolację kraju. Kilkanaście lat później, w 1976 r., w Soweto wybuchło uliczne powstanie czarnej młodzieży, a od początku lat 80. rebelia przeciwko apartheidowi przerodziła się w niekończące się strajki i uliczne rozruchy. Aż w końcu, ośmielone upadkiem komunizmu pod koniec lat 80., władze uwolniły przywódców Kongresu skazanych w procesie Rivonii i odwołać przepisy apartheidu. W 1994 r. Nelson Mandela został pierwszym czarnoskórym prezydentem kraju. © WOJCIECH JAGIELSKI

PHILIP LITTLETON / AFP / EAST NEWS

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

UBÓSTWO
„Nie głoście słowa w ogromnej obfitości, jeśli nie potraficie zobaczyć obok siebie człowieka chorego czy głodnego – wskazał abp Grzegorz Ryś w kazaniu wygłoszonym w Kaliszu. – Człowieka przychodzącego do ogrzewalni św. Brat Albert najpierw kazał karmić, potem szukał mu pracy, a dopiero potem zapraszał na rekolekcje". Hierarcha podkreślił, że warunkiem miłosierdzia „jest pomaganie z ubóstwa, a nie z bogactwa".

POWOŁANIA
„Zaczyna brakować księży" – powiedział bp Henryk Tomasik, zachęcając do modlitwy w intencji powołań. Przyznał, że są parafie bez pełnego składu personalnego. Ordynariusz radomski jest przekonany, że „tam, gdzie jest dużo modlitwy i ofiara, tam są powołania kapłańskie, zakonne i misyjne", a kolejnym „wymiarem troski o powołania jest praca z młodzieżą".

APOLITYCZNOŚĆ
Ks. Frank Pavone, amerykański działacz pro-life, na polecenie władz kościelnych zrezygnował ze stanowiska w zespole doradczym „Katolicy za Trumpem". Zapewnił, że nadal będzie popierał reelekcję, gdyż w jego opinii Demokraci stanowią zagrożenie dla „praw Kościoła" i „dobra wspólnego". W kampanii 2016 r. Pavone nakręcił krytykujący Hillary Clinton film; w jednej ze scen na ołtarzu leżał abortowany płód.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne
MAREK RABIJ
będzie gościem Pawła Sulika w Popołudniu Radia TOK FM w środę 5 sierpnia o godz. 16.00.
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

Chrystus, walka, profanacja

PIOTR SIKORA

Wnocy z 28 na 29 lipca na kilku warszawskich pomnikach, m.in. na figurze Chrystusa przed kościołem św. Krzyża, zawieszono tęczowe flagi. Intencje akcji wyjaśniał pozostawiony manifest: wyrażał gniew z powodu doświadczanej nienawiści, braku wolności i bezpieczeństwa; wzywał do „otwartej wojny" przeciw dyskryminacji osób LGBT+.

Premier Morawiecki nazwał akcję „zbezczeszczeniem", przyjechał pod pomnik i zapalił znicz. Kardynał Nycz napisał, że to profanacja, wandalizm i przekroczenie granic debaty. Podobnie wypowiadało się wielu polityków, a także liczni prawicowi publicyści. Tylko nieliczni (najczęściej nieuwikłani w walkę polityczną) próbowali zrozumieć tych, którzy umieścili tęczową flagę na figurze Chrystusa – nawet jeśli wyrażali krytyczną ocenę akcji.

1 sierpnia ulicami Warszawy przeszedł „Marsz Powstania Warszawskiego" organizowany przez środowiska narodowców. W jego trakcie potargano i spalono tęczowe flagi – przy wyraźnej aprobacie organizatorów. Flagę wyrwano z rąk działaczce na rzecz praw obywatelskich Elżbiecie Podleśnej, którą przy okazji zwyzywano. Poturbowano dziennikarza OKO.press. Policja weszła do jednego z mieszkań na Nowym Świecie i nakazała zdjęcie wywieszonej na balkonie tęczowej flagi. Usunęła także siłą kilkanaście osób milcząco stojących na trasie marszu z białymi różami w rękach. Uczestnicy marszu skandowali „Bóg, honor i ojczyzna!", „Ave, ave Christus rex!".

Nie usłyszałem ani jednego głosu hierarchów kościelnych czy rządzących polityków, który by zwracał uwagę, że targanie i palenie symbolu drogiego dla osób LGBT+ może ranić ich uczucia i przekracza granice debaty publicznej. Nikt nie skrytykował wyzwisk i agresji ze strony niektórych uczestników marszu.

MARTA BOGDANOWICZ

Nie było takich głosów także wtedy, gdy na początku lipca pobito kilka osób pod klubem gejowskim w Krakowie. Ani gdy media szeroko opisywały historię geja prześladowanego przez niemal całą wioskę, w której mieszka. ©℗

Niech ją Bóg błogosławi!

TAK KARD. MICHAEL CZERNY odpowiedział na pytanie, czy katolicy powinni naśladować matkę Mechthildę Thürmer, której grozi więzienie za udzielanie azylu imigrantom. Zdaniem podsekretarza Sekcji Migrantów i Uchodźców w watykańskiej Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka postępowanie niemieckiej mniszki jest częścią „długiej tradycji chrześcijan żyjących wiarą aż do ostatecznych konsekwencji". Podczas interaktywnego seminarium zorganizowanego przez katolicki tygodnik „The Tablet" kardynał dodał, że nie widzi powodu, dla którego tradycja ta miałaby być w dzisiejszych czasach „odrzucana lub łamana".

Matka Mechthilda Thürmer jest ksienią benedyktyńskiego opactwa w Kirchschletten w Bawarii. W ciągu ostatnich kilku lat ponad 30 razy udzieliła schronienia kobietom ubiegającym się o azyl. 62-letnia mniszka uważa, że nie robi niczego złego. „Udzielenie konkretnej pomocy osobie w potrzebie nie może być przestępstwem" – tłumaczy. Pod koniec lipca sąd w Bambergu odroczył jej rozprawę. ©℗ ASK

Klasztorny mercedes

PATRIARCHA MOSKWY I CAŁEJ RUSI CYRYL, zwierzchnik rosyjskiego prawosławia, nakazał przełożonej moskiewskiego klasztoru Opieki Matki Bożej matce Feofanii sprzedanie mercedesa S500 4Matic za 135 tys. dolarów i rozdanie pieniędzy ubogim.

Rzecznik patriarchy Władimir Legojda podkreślił, że Cyryl od dawna walczy z luksusem wśród duchownych, a w 2012 i 2017 r. wydawał komunikaty zabraniające korzystania z luksusowych samochodów, nawet jeśli otrzymano je w darze. Kawalkady drogich limuzyn przy kościołach gorszą wiernych.

Sam Cyryl po niedzielnym nabożeństwie odpierał oskarżenia o to, że żyje w bogactwie. „Pewien biskup zwrócił się do mnie o pieniądze, był przekonany, że mam 6 mld dolarów. Popatrzyłem na niego i spytałem: »mówisz poważnie?«. On naprawdę uwierzył w ten nonsens". Według patriarchy takie plotki służą „kompromitowaniu tych, którzy głoszą Bożą prawdę, żeby ludzie przestali ich słuchać". ©℗ MAM

Maseczka: problem poznawczy

DLACZEGO NIEKTÓRZY OD RAZU dostosowali się do zasad dystansu społecznego, a inni nie? Badania opublikowane w „PNAS" sugerują, że podjęcie decyzji o stosowaniu się do zaleceń sanitarnych w początkowej fazie epidemii może ułatwiać duża pojemność pamięci roboczej w mózgu. Im więcej czynników jesteśmy w stanie wziąć pod uwagę w trakcie analizy sytuacji, tym bardziej prawdopodobne, że zostaniemy w domu.

Badacze wykluczyli wpływ na opisywany związek takich czynników jak nastrój, poziom lęku czy wykształcenie. Wykazali też, że efekt jest częściowo zapośredniczony przez zrozumienie możliwych konsekwencji działań na rozprzestrzenianie się wirusa, oraz że osoby o większej pojemności pamięci roboczej są także skłonniejsze do postępowania zgodnie z zasadą uczciwości w ogóle.

Badacze podkreślają, że jednoznaczne i zwięzłe komunikaty dotyczące pandemii odciążają pamięć roboczą – umożliwiają prosty rachunek kosztów i korzyści związanych ze stosowaniem się do zaleceń i ułatwiają wypracowywanie nowych schematów działania w tym nietypowym czasie.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

Jak pokochały nas komary

SPOŚRÓD 3,5 TYS. GATUNKÓW KOMARÓW ogromna większość nie jest zbyt wybredna – żywi się krwią wielu kręgowców. Jednak kilka gatunków tych owadów obrało sobie za cel wyłącznie ludzi. Jak do tego doszło? Noah Rose z Uniwersytetu Princeton i współpracownicy na łamach „Cell" twierdzą, że wszystko zaczęło się od wody.

Badacze wzięli na cel komara egipskiego – roznoszący wiele chorób gatunek wywodzący się z Afryki, obecnie spotykany na całym świecie. Jego przodkowie tysiące lat temu – wtedy jeszcze niewybredni – poszukiwali w suchym afrykańskim środowisku wody, ponieważ tylko w niej mogli się rozmnażać. Zbiorniki wodne znajdowały się zaś w sąsiedztwie ludzkich osad. U komarów – jak wskazują analizy genetyczne – doszło wówczas do kilku mutacji, które spowodowały, że osobniki stały się bardziej wyczulone na zapach ludzi, a nie innych zwierząt. A że *Homo sapiens* w pobliżu wody było pod dostatkiem, mutanty osiągnęły przewagę adaptacyjną i zdominowały cały gatunek. ©℗ ŁK

KULTURA W SKRÓCIE

CZUJEMY SIĘ DOBRZE
– poinformowali po powrocie z Międzynarodowej Stacji Kosmicznej (ISS). Na Ziemi są już amerykańscy astronauci Robert Behnken i Douglas Hurley. Kapsuła Dragona pomyślnie wodowała u wybrzeży Florydy w niedzielę o godz. 20.48 naszego czasu. To pierwsza takiego rodzaju operacja przeprowadzona przez NASA od 1975 r.

BILL INGALLS / NASA / EAST NEWS

oraz pierwsza od prawie dekady misja załogowa realizowana z terytorium USA. Członków załogi ISS wymieniano w ostatnich latach za pomocą rosyjskich pojazdów Sojuz.

ŚNIEG W WENECJI
Film Małgorzaty Szumowskiej i Michała Englerta „Śniegu już nigdy nie będzie" powalczy o Złote Lwy w konkursie głównym Festiwalu Filmowego w Wenecji. Impreza rozpocznie się 2 września i potrwa 10 dni.

JUBILEUSZ
104 lata skończył ostatniego dnia lipca nestor polskiej fotografii Stefan Arczyński. Swój pierwszy zakład fotograficzny otworzył zaraz po wojnie w Kamiennej Górze, a od lat 50. związany jest z Wrocławiem. Dokumentował odbudowę stolicy Dolnego Śląska oraz rodzące się życie kulturalne regionu.

OSTATNIE SZESNASTKI
Tego samego dnia dobiegł końca trwający cztery miesiące charytatywny projekt #Hot16Challenge2. W akcji wzięli udział raperzy, ludzie kultury i życia publicznego. Na walkę z koronawirusem zebrano ponad 3,6 mln zł.

Sądowe drogi kultury

MONIKA OCHĘDOWSKA

Z POWODU PANDEMII FESTIWAL MALTA PODZIELONO na „kroki" – mobilna scena wędruje przez dzielnice Poznania. Malta robi jednocześnie ostatni krok w sporze z resortem kultury.

Przypomnijmy: w 2016 r. Fundacja Malta zawarła z MKiDN umowę na organizację festiwalu. Ministerstwo zobowiązało się do wypłaty 300 tys. zł dotacji. Ale przekazania funduszy odmówiono, argumentując, że zaproszeni artyści zrażają lokalną społeczność do instytucji teatru. Poszło o kuratora imprezy Olivera Frljicia, reżysera spektaklu „Klątwa". Fundacja wystąpiła do sądu, MKiDN złożyło apelację. Dopiero w lipcu br. sąd utrzymał wyrok pierwszej instancji, nakazujący wypłatę środków wraz z odsetkami.

Kroki procesowe przeciwko władzom Polskiego Radia (podlegającym temu samemu resortowi) podjął Marek Niedźwiecki. Sąd nakazał mediom publicznym usunąć wszystkie szkalujące artykuły o byłym dziennikarzu Trójki, który domaga się przeprosin za naruszenie dóbr osobistych. Jak dotąd przeprosił go tylko nowy szef rozgłośni Jakub Strzyczkowski. Niedługo później prezes PR Agnieszka Kamińska zakazała dziennikarzom wyrażania publicznie własnych sądów i opinii. ©℗

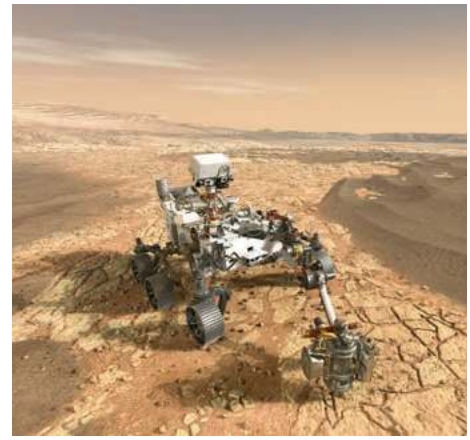

NASA / JPL-CALTECH

KAWAŁEK MARSA WRACA DO DOMU. To bazaltowy kamyk wyrzucony stamtąd 700 tys. lat temu przez kosmiczne zderzenie i odnaleziony na pustyni w Omanie. Łazik Perseverance, który poleciał właśnie na Czerwoną Planetę, użyje go do kalibracji przyrządu badającego jej chemię. Niezwykłych elementów misji jest więcej: w czerwone niebo wzbije się pierwszy pozaziemski dron, łazik przetestuje urządzenia do wytwarzania na Marsie tlenu, a pierwsze marsjańskie mikrofony prześlą nam dźwięki obcego świata. Perseverance wyląduje na Marsie 18 lutego 2021 r. © WB

TEMAT TYGODNIKA

ZASŁODZENI

Coraz lepiej rozumiemy niszczycielskie skutki spożywania nadmiernych ilości cukru. Wiemy już też, dlaczego uzależnia nie gorzej od alkoholu.

BARTOSZ KABAŁA

To powszechne przekleństwo świadomych rodziców. Moment, w którym dzieci po prostu zaczynają odmawiać jedzenia tego, co z całą pewnością jest zdrowe. Nie smakuje im, mówią, odrzucając kolejne propozycje, choć wszystko, co trafia na ich talerz, jest świeże, ekologiczne, nieprzetworzone. Po bliższym sprawdzeniu składników tego, co tak smakuje im w przedszkolu czy szkole, okazuje się, że jedyna różnica polega na zawartości cukru (często w postaci syropu glukozowo-fruktozowego z kukurydzy).

Dla poprawienia smaku dosładza się niemal wszystko, w pierwszym rzędzie oczywiście soki, nawet te opatrywane wielkim napisem „100 procent". A dzieci, zanim się zorientują, wpadają w pierwsze w życiu uzależnienie – wcześniejsze i bardziej pierwotne od uzależnień związanych z kolekcjonowaniem kart z piłkarzami czy pokemonów, a później od gier komputerowych. Ale ten problem nie dotyczy wyłącznie dzieci. Dotyczy nas wszystkich.

Dziś trudno wyobrazić sobie słynny plakat z lat 30. XX wieku, z hasłem „cukier krzepi" ułożonym przez Melchiora Wańkowicza. Matka spogląda na zdanie: „Cukier za 1 złoty daje tyle sił »kalorii« człowiekowi, ile da słonina za 2 zł, masło za 3 zł i mięso za 4 zł". Trzyma za rękę dziecko, które zjada kostkę cukru. Inny plakat z tamtych czasów informuje, że kobiety żyją dłużej od mężczyzn, bo spożywają więcej cukru. Kolejny przedstawia rolnika, który dzięki cukrowi trzyma jedną ręką trzy konie, tyle ma krzepy. Jest i coś dla tych, co nie pracują mięśniami: „cukier pobudza pracę umysłową".

Niestety, choć zachwalanie prozdrowotnych właściwości cukru wydaje się równie niepoważne, co informacje o korzyściach z palenia papierosów, to – podobnie jak z paleniem – problem nie znika.

Cukry wzmożone

Wyjaśnijmy rzecz naukowo. Cukry to związki chemiczne o pozornie prostej budowie. Składają się zaledwie z trzech pierwiastków – węgla, wodoru i tlenu. Ich inna nazwa to węglowodany, czyli związki zbudowane z atomów węgla i cząsteczek wody. Jednak prostota cukrów na tym się kończy. Węglowodany mogą mieć różną liczbę atomów węgla w cząsteczce (np. glukoza i fruktoza mają ich po sześć), a pojedyncze cząsteczki mogą się łączyć w cukry złożone. Długi łańcuch z cząsteczek glukozy to skrobia, w której rośliny magazynują energię. Podobną funkcję w zwierzęcym organizmie spełnia glikogen.

Potocznie cukrem nazywamy sacharozę, którą słodzimy herbatę. Sacharoza to cukier złożony z dwóch cząsteczek: glukozy i fruktozy. Ale cukrów wokół nas jest dużo więcej. W mleku jest laktoza, w mące, zbożach, warzywach i ich bulwach – wspomniana skrobia i maltoza. W owocach i miodzie – fruktoza. Ogromne ilości glukozy i fruktozy rozpuszczone są również w napojach i sokach. Cukry są wszędzie, a spożywamy ich coraz więcej. I tyjemy.

Średnia światowa wartość BMI, wskaźnika określającego stosunek masy ciała do wzrostu, wzrosła z 21,9 kg/m² w 1975 r., do 24,3 w 2014 r. Ten wzrost odzwierciedla znaczny przyrost spożywanych w ciągu dnia kalorii. W 1975 r. było to średnio 2,4 tys. kcal dziennie, a w 2013 r. już blisko 2,9 tys. kcal.

Chociaż średnie światowe BMI wciąż mieści się w granicach normy, to wiele krajów świata zmaga się z problemem otyłości przybierającym rozmiary epidemii.

Nadwagę w Polsce ma co trzeci chłopiec i co czwarta dziewczynka w wieku 5-9 lat, raportowała w 2019 r. Organizacja Wspólnoty Gospodarczej i Rozwoju. Inne dane wskazują, że ponad połowa Polaków powyżej 15. roku życia zmaga się z nadwagą lub otyłością, a jeszcze w 1996 r. ten odsetek wynosił 28 proc.

Przyczyn należy upatrywać w postępie cywilizacyjnym. Tania, przetworzona żywność dostępna na każdym kroku oraz siedzący tryb pracy i odpoczynku prowadzą do tego, że przyjmujemy więcej kalorii, niż spalamy. Nadmiar energii jest niezwłocznie magazynowany przez organizm w postaci tkanki tłuszczowej.

Otyłość zdaje się być praprzyczyną większości schorzeń cywilizacyjnych. Cierpią serce, mózg, naczynia krwionośne, nerki, układ oddechowy i hormonalny, a także psychika. Otyłość sprzyja powstawaniu cukrzycy typu 2, miażdżycy i niektórych nowotworów. Zaburza działanie właściwie całego organizmu. Ale co jest praprzyczyną otyłości?

Badania naukowe nie rozstrzygają jednoznacznie, czy większe znaczenie mają kalorie pochodzące z tłuszczów, czy z węglowodanów. Część badań sugeruje, że źródło nadmiaru kalorii nie ma znaczenia. Jednak jeśli spojrzeć na dane dotyczące procentowego udziału poszczególnych źródeł energii (tłuszczów, węglowodanów i białek) w codziennej „dawce" kalorii, to okazuje się, że wzrost kaloryczności nastąpił przede wszystkim z powodu cukrów. Według amerykańskiego program badawczego NHANES (National Health and Nutrition Examination Survey) w 1971 r. przeciętny Amerykanin uzyskiwał około 43 proc. kalorii z cukrów, a z tłuszczów 36 proc. W 2000 r. udział cukrów wzrósł do 50 proc., a tłuszczów spadł do 32 proc.

Te dane, oraz ogromny wzrost produkcji i sprzedaży żywności sztucznie dosładzanej syropem kukurydzianym, spowodowały reakcję środowiska naukowego w USA. Cukier stał się wrogiem zdrowego stylu życia.

Gorzka prawda

W 2009 r. w internecie pojawił się wykład pt. „Cukier – gorzka prawda" autorstwa prof. Roberta Lustiga, endokrynologa dziecięcego z Uniwersytetu Kalifornijskiego. Do dziś wideo obejrzało prawie 10 mln osób, co jest przyzwoitym wynikiem jak na półtoragodzinną lekcję o zawiłościach metabolizmu węglowodanów. Prof. Lustig rozpoczął tym samym krucjatę przeciwko wszechobecnemu cukrowi i stał się jednym z najbardziej znanych lekarzy w Stanach.

„Financial Times" porównał ten wykład do przełomowych publikacji z lat 50. mówiących o szkodliwości palenia tytoniu. Ma otworzyć ludziom oczy i pozbawić ich kuchnie cukru. Lustig wygłasza szokujące dla wielu tezy. Cukier, a konkretnie fruktoza, którą w dużych ilościach można znaleźć w sacharozie (50 proc.) i syropie glukozowo-fruktozowym (45-65 proc.), jest toksyną. Co najmniej tak szkodliwą, jak alkohol czy kokaina. Nie są to wyłącznie jego wnioski.

W latach 60. medycyna usilnie poszukiwała przyczyn wzrostu zapadalności na choroby serca. Niepokojący trend obserwowano przede wszystkim w USA i Europie Zachodniej. Za najważniejszy czynnik ryzyka uznano wówczas wysokie spożycie tłuszczów. Orędownikiem takiego poglądu był znany fizjolog Ancel Keys. Przeprowadzone przez jego zespół badanie powszechnie znane jako „Seven Countries Study" dowodziło, że wysokie stężenie cholesterolu sprzyja występowaniu zawałów serca i udarów mózgu. A także tego, że otyłość i wysoki poziom cholesterolu zwiększają śmiertelność z powodu nowotworów. Podobne wnioski nasuwa jedno z najważniejszych tego typu badań przeprowadzone w mieście Framingham.

Jeśli tłuszcz jest zły, a wysokie stężenie cholesterolu prowadzi do zawału, to należy je ograniczać. Leki skutecznie obniżające poziom cholesterolu – statyny – wprowadzono dopiero w 1987 r. Wcześniej prym wiodła dieta śródziemnomorska zaproponowana przez autorów ↦

↦ badania „Seven Countries Study” jako remedium na plagę chorób serca. Według późniejszych badań prawidłowa ubogotłuszczowa i wysokowęglowodanowa dieta śródziemnomorska obniża ryzyko zgonu z przyczyn sercowo-naczyniowych u osób w wieku średnim i starszych o blisko 40 proc., a samo ryzyko zachorowania na taką chorobę spada o prawie 30 proc. Podstawą tej diety są węglowodany z pełnoziarnistego pieczywa, makaronu, ziemniaków, roślin strączkowych, a także ryby i niewielkie ilości mięsa.

W USA wysokowęglowodanowa dieta przybrała jednak postać diety hipercukrowej – składającej się głównie z cukrów prostych z ogromną ilością fruktozy.

Biały i zabójczy

Niczym w hollywoodzkim filmie, jeden człowiek miał inne zdanie. Brytyjczyk John Yudkin, lekarz pracujący w Queen Elisabeth College, na podstawie swoich badań i obserwacji doszedł do odmiennych wniosków. To cukier miał sprzyjać powstawaniu chorób sercowo-naczyniowych, powodować wzrost stężenia insuliny, zwiększać ryzyko cukrzycy typu 2 i chorób wątroby. W 1972 r. ukazuje się jego książka „Czysty, biały i zabójczy”. Yudkin raz podpiera się dowodami eksperymentalnymi, raz wyłącznie epidemiologicznymi. Jednak wykazanie korelacji między spożyciem cukru a występowaniem chorób sercowo-naczyniowych w kilku krajach oraz doświadczenia na zwierzętach karmionych cukrem stołowym, choć dają podstawy do wysuwania wielu wniosków, nie są ostatecznym dowodem i nie odpowiadają na wszystkie pytania.

Słabości metodologiczne zauważyli i bezlitośnie wykorzystali przeciwnicy Yudkina, m.in. Ancel Keys. Głosił on, że łączenie wysokiego spożycia cukrów i chorób serca to propagandowa zagrywka przeciwników cukru.

Chociaż produkt branży cukrowniczej można określić jako czysty i biały, pisał Yudkin w drugim wydaniu swojej książki, to zachowanie jej niektórych przedstawicieli i popleczników było zupełnie inne. Brytyjczyk był atakowany z wielu stron, dochodziło nawet do odwoływania konferencji, na których miał wystąpić. Organizacje zrzeszające firmy produkujące cukier, takie jak British Sugar Bureau czy World Sugar Research Organisation, w oficjalnych komunikatach nazywały publikację Yudkina książką *science fiction*.

Także organizacje naukowe nie dawały naukowcowi wiary. Jeszcze w 1990 r. wytyczne Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) mówiły o cukrze głównie w kontekście próchnicy zębów. Yudkin zmarł w 1995 r. Jak w wywiadach prasowych mówił jego syn, Michael Yudkin, biochemik z Uniwersytetu w Oksfordzie, ojciec nie był rozczarowany tym, jak go potraktowano. Raczej zmartwiony konsekwencjami odrzucenia jego wniosków.

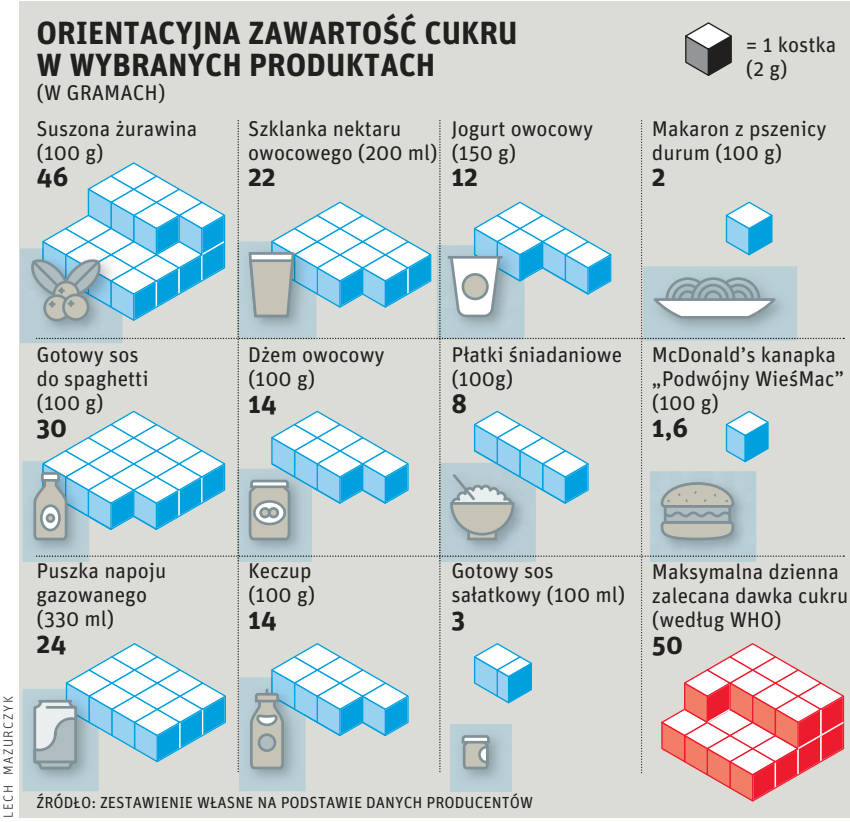

CUKIER DODAWANY JEST do wielu produktów – nawet takich, w których się go nie spodziewamy. Również dlatego zjadamy go tak dużo.

> Fruktoza, którą prof. Lustig nazywa **„alkoholem bez odurzenia”**, jest kluczem do zrozumienia szkodliwego wpływu cukru na ludzki organizm.

Jednak to na Yudkinie spoczywał ciężar udowodnienia swoich tez i przeczuć. Ale nowe badania, które ukazywały zależności między cukrem a powszechnie występującymi schorzeniami, oraz nowe odkrycia, które biochemicznie tłumaczyły te zależności, pojawiły się dopiero w XXI w.

Groza fruktozy

Fruktoza, którą prof. Lustig nazywa „alkoholem bez odurzenia”, staje się kluczem do zrozumienia szkodliwego wpływu sacharozy i syropu glukozowo-fruktozowego na ludzki organizm. Metabolizm glukozy znacząco różni się od metabolizmu fruktozy, dlatego skrobia, obecna np. w ziemniakach, nie jest tak groźna jak HFCS (*high-fructose corn syrup* – syrop glukozowo-fruktuzowy wytwarzany z kukurydzy) obecny np. w słodzonych napojach.

Gdy glukoza dostaje się z jelit do krwiobiegu, zostaje rozprowadzona do wszystkich tkanek. Kiedy we krwi rośnie jej stężenie, organizm zaczyna wydzielać większą ilość insuliny – hormonu, który wzmaga wchłanianie glu-

kozy do komórek, gdzie stanowi źródło energii, zresztą podstawowe dla całego naszego organizmu. Około 80 proc. spożytej glukozy jest zużywane przez mięśnie, mózg i inne narządy. Kiedy komórki, mimo wysokiego poziomu insuliny, nie chcą wchłaniać glukozy z krwi, mówimy o oporności na insulinę, co jest przyczyną cukrzycy typu 2 – choroby, na którą cierpi co dziesiąty dorosły Polak. Pozostałe 20 proc. wchłoniętej glukozy przechodzi do wątroby, gdzie w ruch zostaje wprawiona skomplikowana biochemiczna maszyneria.

W tym ogromnym narządzie zachodzą przemiany różnorakich substancji, które dostają się do organizmu lub są w nim produkowane. Glukoza, która trafia do hepatocytów (komórek wątroby), może zostać zużyta na trzy sposoby: jako źródło energii (wątroba, jak każdy inny narząd, jej potrzebuje), zmagazynowana w postaci glikogenu lub przekształcona w kwasy tłuszczowe. Ogromna większość glukozy powiększa zapasy glikogenu, substancji nietoksycznej i bezpiecznej. Proces ten w wątrobie jest pobudzany m.in. przez insulinę. Tylko z niewielkiej części glukozy powstają kwasy tłuszczowe. Opuszczają one wątrobę w postaci prekursora cząsteczki LDL, zwanej potocznie „złym cholesterolem".

Przemiany fruktozy, drugiego składnika cukru stołowego i syropu kukurydzianego, zachodzą inaczej – wyłącznie w wątrobie. Inne tkanki nie posiadają białek, które ten cukier „wyłapują". Ponad 90 proc. wchłoniętej fruktozy dostaje się do hepatocytów. Już na pierwszym etapie szlaku metabolicznego fruktozy – czyli sekwencji reakcji, w których jest ona przetwarzana przez organizm – powstają szkodliwe produkty uboczne. Po wchłonięciu fruktozy wątroba produkuje duże ilości kwasu moczowego, który powoduje wzrost ciśnienia tętniczego i jest niezależnym czynnikiem ryzyka chorób serca, a także dny moczanowej. Największa część fruktozy przekształcana jest w glukozę, ponieważ tylko ona może stanowić dla nas źródło energii. Pozostała część tworzy kwas mlekowy i kwasy tłuszczowe. I z uwagi na powstawanie tych ostatnich fruktoza jest jednym z czynników rozwoju kolejnej plagi zdrowotnej – niealkoholowej stłuszczeniowej choroby wątroby. Tłuszcze gromadzące się w wątrobie powodują również jej oporność na insulinę.

Po pierwsze: pożądaj

TRWAŁA WOJNA WIETNAMSKA, w Natick pod Bostonem grupa naukowców pracowała nad pilnym zleceniem sił zbrojnych. Amerykańscy żołnierze niepokojąco tracili na wadze. Tak bardzo nie lubili paczkowanego jedzenia dostarczanego przez armię, że wyrzucali niedojedzone porcje. Doktorat z fizjologii smaku – wówczas młodej dziedziny – na pobliskim Uniwersytecie Harvarda robił właśnie psycholog i matematyk Howard Moskowitz. Natick Labs zatrudniło go, by zbadał, jak nakłonić żołnierzy do spożywania większej ilości posiłków.

MATERIAŁY PRASOWE

Moskowitz odkrył, że zachcianki żywieniowe można modelować przy pomocy tylko jednego parametru – zawartości cukru w produkcie. Sprawdzając, jak ta zawartość wpływa na doznania smakowe, stworzył wykres przypominający odwróconą literę U. Uczestnikom jego eksperymentów smakowały dania bardziej dosładzane, ale tylko do pewnego poziomu – po jego przekroczeniu atrakcyjność posiłku gwałtowanie spadała. Później podobny punkt krytyczny wyznaczono także dla koncentracji soli i tłuszczu w jedzeniu. Krzywa zaś zyskała nieoficjalną nazwę: poziom błogości. „Brzmiało całkiem seksownie", wspominał po latach Moskowitz.

Po odejściu z Natick Labs Moskowitz otworzył firmę konsultingową i zajął się zleceniami od General Foods, jednego z największych producentów żywności w USA. „Krzywa błogości" pozwoliła korporacji zwiększać nie tylko sprzedaż, ale i zyski, ponieważ zdradzała przepis na wzmożenie apetytów i pokazywała, ile dokładnie cukru dodać do produktów. Badaniom, które identyfikowały czynniki decydujące o tym, że ludzie łapczywie pochłaniają przekąski, Moskowitz nadał nazwę odzwierciedlającą oczekiwania branży wobec konsumentów: *Crave It!* (Pożądaj tego!). Ich pedantyczna wręcz dokładność pozwoliła opracować m.in. uniwersalny schemat dosładzania żywności.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

Podsumowując: długotrwałe spożywanie fruktozy zwiększa stężenie cholesterolu LDL odpowiedzialnego za powstawanie miażdżycy, zwiększa oporność tkanek i wątroby na insulinę, co stanowi preludium rozwoju cukrzycy typu 2, powoduje otyłość i zwiększa ciśnienie krwi. Te wszystkie elementy razem wzięte sprzyjają zawałom serca, udarom mózgu, zaburzeniom hormonalnym oraz nowotworom wątroby, jelita grubego, pęcherza moczowego, trzustki i innych narządów.

Na głodzie

W samym środku tej patofizjologicznej sieci powiązań tkwi dieta uboga w błonnik i bogata w kalorie pochodzące m.in. z fruktozy. Bo problemem nie jest cukier zawarty w owocach. Po pierwsze, zawierają one dużo więcej wartościowych elementów niż puszka słodzonego napoju. Szczególnie istotny jest wspomniany błonnik, który częściowo hamuje wchłanianie cukrów z przewodu pokarmowego. Po drugie, w owocach fruktoza stanowi niewielką część wszystkich węglowodanów. Z kolei w jednej puszce napoju znajduje się około 35 g cukrów, z czego może znajdować się 23 g może stanowić fruktoza.

Dlaczego więc tak chętnie sięgamy po przetworzone produkty żywnościowe i słodzone sztucznie napoje? Otóż cukier działa nie tylko na wątrobowy metabolizm.

W naszym organizmie istnieje mechanizm chroniący nas przed przejadaniem się. Jego działanie powiązane jest ze stężeniem insuliny – które rośnie po posiłku, a wzrost ten rejestrowany jest przez specjalny ośrodek w mózgu, wywołujący uczucie sytości. Fruktoza rozregulowuje ten mechanizm – bezpośrednio po jej spożyciu poziom insuliny nie rośnie. Dlatego po posiłku zawierającym duże ilości tego cukru nadal jesteśmy głodni. A u osób z opornością tkanek na insulinę rozwija się mechanizm „wiecznego głodu". Przewlekłe wysokie stężenie insuliny we krwi powoduje hamowanie kolejnego hormonu – leptyny, zwanego hormonem sytości.

Jak twierdzi prof. Lustig, fruktoza jest jednak nie tylko toksyczna jak alkohol, ale również uzależniająca jak kokaina. Cukier działa bowiem także na mózgowy ośrodek nagrody. Pobudzenie tego ośrodka odczuwamy jako przyjemne doznanie. ↦

↦ Jego działanie wiąże się z wydzielaniem dopaminy – jednego z neuroprzekaźników – w mózgu. Jednak ciągłe zalewanie mózgu dopaminą wywołuje zmniejszenie liczby receptorów tego neuroprzekaźnika. To prowadzi z kolei do tego, że taka sama dawka wywołuje coraz słabszy efekt. Aby podtrzymać poziom przyjemności, trzeba dostarczać coraz więcej pobudzającej substancji. Koło się zamyka i pojawia się cukrowe uzależnienie.

Cukier: ślepi

Cukier jest dzisiaj bardzo łatwo dostępny. WHO podkreśla, że problem stanowi przede wszystkim przetworzona żywność i cukier ukryty w produktach, w których się go nie spodziewamy. Np. w jednej łyżce stołowej keczupu znajduje się średnio jedna łyżeczka cukru. Słodzone są też jogurty, płatki śniadaniowe, owoce w puszce i wiele innych produktów. Dlatego WHO apeluje, by państwa członkowskie wymuszały na producentach oznaczenia produktów o wysokiej zawartości cukrów, wprowadzały rekomendacje żywieniowe. I interweniowały, np. nakładając cukrowy podatek.

Jednym z pomysłów było zmniejszenie objętości butelek słodkich napojów – wprowadził go Nowy Jork w 2014 r. Wraz z innymi elementami kampanii prowadzonej w tym mieście od 14 lat zmiana ta spowodowała spadek o ponad 30 proc. liczby dorosłych nowojorczyków, którzy codziennie wypijali przynajmniej jeden słodzony napój. Interesujące wyniki uzyskano też na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Francisco, gdzie w obrębie kampusu zakazano sprzedaży słodzonych napojów. Ich spożycie wśród pracowników uczelni spadło o połowę, co sugeruje, że główną przyczyną popularności słodzonych napojów nie musi być silne uzależnienie, ale przyzwyczajenie i ich prawie nieograniczona dostępność.

Wojna z niewidzialnym wrogiem jest zwykle bardzo trudna. A kiedy ten wróg jest słodki i kryje się w każdym produkcie na sklepowej półce, sprawa może wydawać się przegrana. Chyba że się go w końcu zacznie dostrzegać. I zdawać sobie sprawę, że szkody, jakie powoduje w jednym organizmie i całym społeczeństwie, mogą być ogromne.

© BARTOSZ KABAŁA

Słodko żyć przed rewolucją

GRZEGORZ ŁAPANOWSKI, KUCHARZ I POPULARYZATOR ZDROWEGO ODŻYWIANIA:

Przemysł spożywczy nie zajmuje się dietetyką. Jego celem jest zarobek, a przesłodzone po prostu sprzedaje się lepiej.

MAREK RABIJ: Lubi Pan słodkie?

GRZEGORZ ŁAPANOWSKI: Prawie każdy lubi słodkie.

Dzieci także?

Owszem. Mleko matki jest słodkie. Słodycz jest więc pierwszym smakiem, z którym mamy systematycznie do czynienia.

W kręgach zwolenników zdrowego odżywiania popularne jest przekonanie o tym, że słabości do słodkiego uczymy się dopiero na etapie przedszkolno-szkolnym, kiedy wpadamy w tryby stołówkowej machiny serwującej dzieciom ulepki. Nawet dietetycy podkreślają zgubny wpływ monotonnej szkolnej diety na późniejsze nawyki żywieniowe.

Monotonia to jedno. Słodycz to drugie. Osobnym aspektem jest cena. Cukier jest dziś tani. Służy nam jako poprawiacz smaku. Średniej jakości surowiec, trochę cukru i gotowe – ta magia działa. Niemniej nie można cukru demonizować. Nie chodzi też o to, by nie jeść go wcale. W kontekście cukru i nie tylko kluczem jest umiar.

Dla Paracelsusa trucizną była dawka, a nie substancja.

Otóż to! Słodki to jeden z pięciu podstawowych smaków, czyli jeden z filarów ludzkiej mapy sensorycznej. Moim zdaniem nie ma co domagać się wyeliminowania cukru z diety albo szukać na siłę dowodów na to, że słabości do słodkiego nabywamy dopiero z wiekiem, pod wpływem czynników środowiskowych.

W przeciwieństwie do innych smaków, które ewolucyjnie wiążemy z poczuciem zagrożenia – jak gorycz i kwaśność – słodycz związana jest z odczuwaniem przyjemności. Każdy dobry kucharz wie, że tzw. smaczne danie buduje się poprzez szukanie optymalnej proporcji słodkiego i słonego, kwaśnego i gorzkiego – plus oczywiście głębia, czyli smak umami. Dlatego do każdej potrawy, może nią być nawet bigos czy zupa rybna, dobrze jest dać szczyptę cukru.

Ale kiedy już cukier tak oswoimy, trzeba od razu zdać sobie sprawę z tego, jak bardzo zmienił się w ostatnich latach – i wciąż ewoluuje – sposób, w jaki go konsumujemy. Bo właśnie to sprawia, że ta substancja staje się tak niebezpieczna dla zdrowia.

O napoje gazowane chciałem Pana zapytać później.

Ale ja chciałem teraz wspomnieć nie o nich, lecz o sokach owocowych. Pija pan?

Najczęściej pomarańczowy.

I na ile starcza panu litrowe opakowanie?

Kiedy jestem w domu sam – na cały dzień, może dwa. Kiedy w pobliżu pojawiają się nieletni, robi się puste po dwóch-trzech godzinach.

Naturalny sok wyciśnięty z owoców zawiera cukier, ale prócz niego błonnik i parę innych neutralnych smakowo, za to cennych dla zdrowia składników, których w koncentracie użytym do produkcji soku jest już mniej, bo zostały odfiltrowane. Cukru się nie filtruje, bo to on buduje smak. Wypijając litr soku pomarańczowego w ciągu jednego dnia, konsumuje pan zatem tyle

cukru, ile raczej nie byłby pan w stanie zjeść w jeden dzień pod postacią owoców. Szklanka soku pomarańczowego zawiera mniej więcej tyle samo cukru, ile trzy-cztery pomarańcze.

Ten przykład świetnie pokazuje pułapkę, którą sami na siebie zastawiliśmy. Opanowaliśmy do perfekcji spożywczą eugenikę. Umiemy tanio ekstrahować z surowców naturalnych składniki, których najbardziej potrzebujemy lub po prostu lubimy. I potem komponujemy z nich jedzenie na nowo, dobierając te składniki w taki sposób, jaki nam odpowiada. Na stołach naszych babć królowały jeszcze produkty naturalne: warzywa i owoce z przydomowych ogródków, miód, zboża i kasze, czasem mięso. Cukier był drogi, używało się go więc z rozsądkiem.

Dziś w krajach rozwiniętych w szybkim tempie rośnie spożycie produktów wysokoprzetworzonych.

Ja za tym określeniem nie przepadam, bo to eufemizm skrywający istotę rzeczy, którą jest manipulowanie składnikami w taki sposób, by produkty spożywcze były jak najtańsze w produkcji, miały jak najdłuższy termin przydatności do spożycia i były łatwe w transporcie. A przede wszystkim – żeby były w stanie wywołać efekt „wow" na kubkach smakowych klienta. Jak najłatwiej osiągnąć to wszystko za jednym zamachem? Oczywiście soląc i dosładzając ile wlezie, bo obie substancje działają konserwująco, są tanim wypełniaczem, bo są ciężkie, a jednocześnie wzmacniają doznania smakowe. Gotując w domu dla rodziny czy dla siebie samego nikt nie soli i nie dosładza tyle, ile producenci żywności.

I jeszcze gwoli ścisłości, by nie demonizować. Jedna szklanka soku owocowego dziennie jest OK! Soki to tylko przykład tego, jak łatwo możemy wpaść w pułapkę łatwo przyswajalnych kalorii. Napoje słodzone czy energetyczne – w tym segmencie to one stanowią prawdziwe zagrożenie, jeśli chodzi o „przedawkowanie" cukru.

To, o czym Pan teraz mówi, zdaje się także tłumaczyć paradoks ceny cukru w ostatnich latach. Jedno z podstawowych praw ekonomii głosi, że gdy rośnie na coś popyt, wraz z nim w górę idzie także cena. W przypadku cukru jest na odwrót: zmiany jego ceny nie odzwierciedlają skokowego wzrostu zapotrzebowania.

KRZYSZTOF KUCZYK / FORUM

GRZEGORZ ŁAPANOWSKI jest kucharzem, autorem książek o tematyce kulinarnej, propagatorem zdrowej żywności. Prowadził program telewizyjny „Top Chef". Założyciel fundacji Szkoła na Widelcu.

Bo może pan nawet wziąć kawałek tektury, nasączyć go cukrem i aromatami spożywczymi, ładnie opakować i ma pan produkt spożywczy. To coś – bo przecież nie nazwę tego żywnością – nie będzie mieć żadnych walorów odżywczych, ale przemysł spożywczy nie zajmuje się dietetyką. Jego celem jest zarobek, a wyniki testów sensorycznych od lat niezmiennie pokazują, że produkty przesłodzone i przesolone sprzedają się po prostu lepiej.

Ale sam zauważył Pan przed chwilą, że gotując w domu solimy i słodzimy mniej. W domu każdemu z nas kształtuje się też mapa smakowych preferencji. Jak to możliwe, że potem na masową skalę dajemy się uwieść tej przemysłowej inżynierii sensorycznej?

Parę lat temu napisałem książkę „Wzór na smak", w której próbowałem rozłożyć na czynniki pierwsze ideę tzw. smakowitości. Bo co to właściwie znaczy, że produkt jest smaczny? Jak ugotować pyszne jedzenie? Oczywiście istnieją pewne naturalne połączenia smakowe. Pomidor lubi się z czosnkiem i bazylią, ryba z cytryną. Z boczkiem lubi się prawie wszystko. Drugim czynnikiem decydującym o tym, czy uznamy coś za pyszne, jest jednak siła doznania smakowego. Większość ludzi preferuje smaki wysycone, intensywne, które uderzają w zmysły z pełną mocą. Producenci żywności o tym wiedzą i zachowywaliby się nieracjonalnie, gdyby z tego nie korzystali.

Podobnie działa gastronomia.

W kuchniach francuskich restauracji – a Francuzi naprawdę znają się na smaku – słychać co chwila *saler*, *saler*, czyli „dosolić". Na kuchni zna się też z pewnością Heston Blumenthal, jeden z najlepszych szefów świata, właściciel jednej z zaledwie kilku brytyjskich restauracji z trzema gwiazdkami Michelina. Proszę sobie wyobrazić, że mistrz uczy: sól tak długo, aż znajdziesz się na granicy przesolenia. Klient nie wybiera przecież restauracji, kierując się tabelą właściwości odżywczych serwowanych dań. Chodzi mu wyłącznie o smak, który musi być mocny. Sól go podbija, a jeśli doda pan cukru, może pan potem jeszcze bardziej dosolić potrawę, dołożyć tłuszczu, który jest świetnym nośnikiem smaku. Dietetyk złapie się za głowę, ale cóż: jest takie powiedzenie, że gdy Bóg stworzył jedzenie, diabeł stworzył kucharzy. Przyznaję to z pewnym zawstydzeniem, będąc związanym z tą branżą, ale w gastronomii wartość odżywcza dań zawsze była na dalszym planie. Ekonomia i smak – to kwestie pierwszorzędne.

Większość z nas nie żywi się systematycznie w restauracjach. Można rzec – całe szczęście.

Ale na nieszczęście coraz rzadziej gotujemy sami. Polską dietą rządzą dziś te same globalne trendy, które odpowiadają za plagę otyłości w USA i innych krajach wysokorozwiniętych, do których też się już zaliczamy. Czyli dominacja produktów gotowych, wysokoprzetworzonych. No i jemy w ogóle za dużo. W kulturze ↦

↦ konsumpcyjnej post, który towarzyszył ludzkości od zawsze i niemal w każdej religii, nagle stracił na znaczeniu.

Drobne rolnictwo zostało wyparte przez rolnictwo przemysłowe. Hodowli zwierząt jest niewiele, bo zastąpiła ją wielkoprzemysłowa produkcja mięsa. Zauważył pan, w jakim tonie się o tym zazwyczaj dyskutuje? Jak o nieuniknionej zmianie, końcu złotego wieku, słowem – o czymś, na co nie mamy wpływu. A przecież to jedynie odpowiedź rynku na nasze oczekiwania. Chcemy mieć dużo żywności. Do tego taniej. Jej jakość, wartości odżywcze, wpływ przemysłu rolno-spożywczego na środowisko kompletnie nas nie obchodzą – mówię w tej chwili o dominującej postawie, od której trafiają się oczywiście wyjątki.

A do tego dodajmy jeszcze jeden element, którym jest marketing. Reklamy żywności, oczywiście tej wysokoprzetworzonej, bombardują nam głowy przez cały dzień, na ulicy, w internecie, w mediach tradycyjnych. W ten sposób jedzenie przez całą dobę jest na wyciągnięcie ręki. Dosłownie – bo bierze pan telefon z aplikacją i pół godziny później kurier przywozi panu jedzenie do domu, ale też w sferze świadomości – bo reklamy jedzenia towarzyszą nam stale. Jeśli nałożymy na to tempo współczesnego świata i liczbę codziennych zmartwień, obraz będzie już kompletny.

Naszej rozmowie towarzyszy w tym wydaniu artykuł z infografiką, która pokazuje, jak w ostatnich trzech dekadach zmieniało się spożycie cukrów w Polsce. Przy każdym głębszym kryzysie czy zawirowaniach po bolesnych reformach społecznych widać skok konsumpcji. Zajadamy stresy.

Kompletnie mnie to nie dziwi. A teraz niech pan sobie wyobrazi polskiego nastolatka, który ma dziś w tyle głowy nie tylko zwykłe codzienne troski typu szkoła czy relacje z rówieśnikami, ale też kryzys klimatyczny, ekologiczny, presję mediów społecznościowych, a od kilku miesięcy również COVID-19. Możemy się oszukiwać, że na młodych nie robi to wrażenia, ale robi. Widać to w badaniach. I będzie niestety widać także w polskich statystykach nadwagi i otyłości.

Narodowy Fundusz Zdrowia prognozuje, że do 2025 r. odsetek pełnoletnich Polaków z otyłością wzrośnie w porównaniu z rokiem 2016 z 24 do 28 proc. – czyli do prawie 11,5 mln osób. Wśród dzieci już dziś mamy katastrofę. Według danych z 2016 r. 44 proc. chłopców oraz 25 proc. dziewcząt miało nadwagę. Kolejne 13 proc. chłopców oraz 5 proc. dziewcząt cierpiało na otyłość.

Też mnie to nie dziwi, bo od lat jedynie mądrze gadamy w rozmaitych gremiach o problemie otyłości i niezdrowego jedzenia. Efektów brak. Pamięta pan może „ustawę drożdżówkową", która miała wypchnąć ze szkół śmieciowe jedzenie? Przepisy uchwalono, były bardzo dobrze napisane, ale ustawy nie wyposażono ani w harmonogram wykonawczy, ani w budżet na wdrożenie. Tymczasem zmiana nawyków żywieniowych to praca na lata. Dlatego możemy debatować ile wlezie o konieczności spożywania owoców pięć razy dziennie, ale i tak nie ruszymy z miejsca, dopóki nie zrozumiemy, że zdrowa żywność dla wielu ludzi jest dziś już niestety produktem luksusowym. Niech pan przeliczy ten owoc pięć razy dziennie pomnożony przez czterech członków rodziny, trzydzieści dni w miesiącu i bieżące ceny świeżych owoców. Wyjdzie kilkaset złotych. Nie każdego na to stać.

> Opanowaliśmy do perfekcji **spożywczą eugenikę**: bierzemy składniki, które lubimy, i komponujemy z nich jedzenie na nowo.

> Narzędzia polityki żywieniowej nie kończą się na podatku od cukru. **Możemy wspierać ekologiczne gospodarstwa** rolne, dofinansować szkolne stołówki i ograniczać reklamy niezdrowej żywności.

Myśli Pan, że podobnie skończy się uchwalenie tzw. podatku cukrowego?

Największy producent napojów słodzonych na świecie już zapowiedział, że nie obniży zawartości cukru, bo zmiana receptury zmieniłaby też smak. Słowem – klienci chcą słodkiej coli, więc zapłacą też podatek. Sensowny byłby podatek celowy. Taki, z którego przychody przeznaczane byłyby w całości na edukację i profilaktykę.

Krytycy podatku cukrowego w obecnym kształcie wskazują też na to, że jego wprowadzenie pogorszy sytuację materialną najuboższych. Bo to oni spożywają najwięcej wysokoprzetworzonych produktów, które teraz podrożeją.

Dlatego za wprowadzeniem podatku musi od razu pójść utworzenie finansowanego z tego źródła funduszu, który będzie latami, mozolnie, przekonywał do zmiany nawyków żywieniowych. Z chorobami cywilizacyjnymi jest dokładnie tak samo, jak ze schorzeniami wywołanymi przez palenie: doraźna przyjemność i kalkulacja łatwo biorą górę nad obawą o coś, co dopiero może nadejść. Producenci żywności, jak już mówiliśmy, nie są od tego, żeby uczyć właściwych postaw żywieniowych. Większość mediów też nie jest tym zainteresowana, bo promując zdrowie, ryzykuje utratę kontraktów reklamowych od producentów.

Narzędzia polityki żywieniowej nie kończą się zresztą na podatku od cukru.

Możemy też wspierać małe lokalne gospodarstwa rolne produkujące ekologiczną żywność, a nie molochy.

Powinniśmy uczyć dzieci w szkole prawidłowej diety, ale możemy też zadbać o jakość ich wyżywienia poprzez dofinansowanie szkolnych stołówek. Można również zastanowić się nad ograniczeniem ekspozycji społeczeństwa na reklamy niezdrowej żywności, skoro udało się to z reklamami papierosów i alkoholu.

Tylko takie całościowe podejście ma moim zdaniem sens. Scenariusz zapaści systemu opieki zdrowotnej pod ciężarem chorób cywilizacyjnych, a może nawet załamanie całej gospodarki, której chore społeczeństwo nie będzie w stanie obsługiwać, nie jest już dystopią – to nieodległa przyszłość. Żyjemy sobie słodko przed rewolucją.

©℗ Rozmawiał MAREK RABIJ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOTOGRAFIE: ARCHIWA PRYWATNE UCZESTNIKÓW 86/86

86/86

Obiegliśmy ZIEMIĘ dla ks. Adama Bonieckiego

Uczestnicy rywalizacji „Tygodnika Powszechnego” **86 km na 86. urodziny ks. Bonieckiego** pokonali w ciągu miesiąca (idąc i biegnąc) **41 tys. kilometrów**. W kategorii biegowej zwyciężyli Ewa Gęca (479 km) i Paweł Szulwach „Baczer” (1103 km). W chodzie rywalizację wygrali Edyta Poręba (753 km) i Patrick Le Borgne (957 km). Zawody rozpoczęły się 1 lipca i w obu konkurencjach wzięło udział ponad 400 osób. O północy 31 lipca do mety na 86. kilometrze dobiegło i doszło 173 zawodników!

Wszystkim uczestnikom serdecznie gratulujemy i zapraszamy za rok!

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ **www.TygodnikPowszechny.pl**

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia**: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@tTygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak:
Próby Abrahama

Abram przeszedł pierwszą z dziesięciu prób. Bez wahania podążył za nieznanym mu dotąd głosem do ziemi bez nazwy. Zawierzył swojemu słuchowi. To ten zmysł stał przed innymi, tak jak w modlitwie „Słuchaj, Izraelu". Uwierzył w prawdę słów, które usłyszał, i im się poddał. Utracił swoją wolę, racjonalność, nawyki. Dał się prowadzić. Ruszył w nieokreśloność. W pustkę i wielkość, patos niezmierzonej obietnicy. Pozwolił na to, by ów głos go przemielił i uczynił naszym praojcem. By do jego życia wkroczyła fundamentalna nieciągłość. Zostawił siebie i wszystko, co było mu dotąd znane i oswojone. Godził się na rolę wiecznego wędrowca, który wie tylko jedno: że nic nie jest stałe, nic nie jest jego. Otwierała się przed nim droga, poszukiwanie dla siebie miejsca.

To miejsce – przyszła ziemia obiecana – do końca życia nie było jego, choć pewnie polubił dąbrowę w Mamre. Tam się wycofywał. Tam się kurował po wyjątkowo bolesnym akcie samoobrzezania. Odwiedziły go wtedy anioły pocieszenia. Wszystko w jego życiu stawało się drogą. Drogą wędrówek, przemiany wewnętrznej i doświadczenia.

Ile musiało być w nim siły, by poddać się woli nieznanego. Ile musiało być w nim pewności, że owa droga ma sens. Ile musiało być w nim zaufania, by wierzyć, że ten, kto go wezwał, już go nie opuści. Nie potrafię nie myśleć o pierwszej z prób Abrama bez zawrotu głowy i zadziwienia. Podtrzymywała go miłość do pięknej Saraj. Na pewno tak było. Inaczej wysechłby emocjonalnie. Pozbyłby się namiętności. Również namiętności wiary. Żona towarzyszyła mu całe życie, choć walczyło w nim nie raz poczucie misji z nakazem wierności i miłości.

Dotarł z dzisiejszej Turcji do Kanaanu – ziemi Izraela, dokąd wcześniej zmierzał jego ojciec Terach. Tam po raz pierwszy na ziemi obiecanej znów usłyszał głos swojego Pana i otrzymał kolejne błogosławieństwo. Dowiedział się, że od niego zacznie się nowy naród świadków Boga. To musiało być brzemię i cudowna radość. Otwierała się przed Abramem wieczność i nieśmiertelność. Wieczność była z Bogiem, nieśmiertelność w ludzkiej historii i pamięci. Splatały się ze sobą i splatają nadal. Głos zapowiadał niezwykłą przyszłość jego potomkom.

Choć jeszcze nie musiał być pewien swojego powołania. Nie miał dzieci. Jego żona była niepłodna. O jakiej przyszłości tu mówić? Musiał czuć absurd tej sytuacji. Nie wiedział, ile i jakich prób go czeka. Edukacja Abrama postępowała. Nadeszła kolejna, druga próba. Jak czytamy w Księdze, nastał głód w Kanaanie i wtedy ruszył on całą rodziną do Egiptu. Pewnie od kogoś się dowiedział o łąkach i pszenicy egipskiej. Ruszył z nadzieją, że tam będzie dość pokarmu, ale szedł z obawą o siebie. Szła z nim piękna kobieta, żona i zarazem przyrodnia siostra Saraj. Jej piękno było wyzywające i kuszące. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Trzeba się cieszyć

Kościoły lokalne, idąc za Franciszkiem, zaczynają uwspółcześniać stare przekłady Modlitwy Pańskiej. Zmiany dotyczą zwłaszcza zdania: „I nie wódź nas na pokuszenie". Bóg przecież, skoro kocha, nie może kusić, czyli namawiać człowieka do złego. Gdyby było inaczej, nie moglibyśmy prosić: „zbaw nas ode złego". A o co chodzi w tym zdaniu, najtrafniej obrazuje ewangeliczne opowiadanie o chodzeniu Jezusa po wodzie.

Jezus po nakarmieniu pięcioma chlebami i dwiema rybami „około pięciu tysięcy mężczyzn, nie licząc kobiet i dzieci", „polecił swoim uczniom, aby wsiedli do łodzi i przeprawili się przed Nim na drugi brzeg". On pozostał na brzegu, „aby się modlić w samotności". „Tymczasem łódź oddaliła się już kilkaset metrów od brzegu. Fale nią miotały, gdyż wiatr wiał z przeciwnej strony. O czwartej straży nocnej (Jezus) przyszedł więc do nich po jeziorze, a gdy uczniowie zobaczyli Go idącego po jeziorze, przestraszyli się i mówili: To jakaś zjawa! I ze strachu zaczęli krzyczeć. Wtedy Jezus natychmiast przemówił: Uspokójcie się! Ja jestem. Nie bójcie się!". Wykonując polecenie Jezusa, uczniowie wpadli w potężne tarapaty, które i nam nie są obce.

A jednak: „Jeśli trudna i niebezpieczna sytuacja pojedynczego chrześcijanina lub całego Kościoła wynika z jego posłuszeństwa Chrystusowi, nie ma on powodu do lęków i obaw" – pisze ks. Antoni Paciorek w komentarzu do Ewangelii Łukasza. Z tego jednak nie wynika, jak chcieliby niektórzy, że Bóg ma dla każdego gotowy plan, swoisty rozkład jazdy czy harmonogram zajęć, gwarantujący sukces na miarę naszych potrzeb. Nie, Bóg szanuje wolność swoją i naszą, i nie oczekuje, że będziemy bezwolnymi wykonawcami Jego zarządzeń czy też zdyscyplinowanymi pracownikami, a nawet posłusznymi córkami lub synami.

Mówi o tym Jezus w przypowieści o marnotrawnym synu. Starszy z braci, dowiedziawszy się, że ojciec wydał przyjęcie na powitanie młodszego syna utracjusza, siarczyście się rozgniewał i „nie chciał wejść" na ucztę. Zarzucał ojcu małoduszność, a może coś jeszcze więcej: „Oto tyle lat ci służę – mówił – i nigdy nie przekroczyłem twojego rozkazu; ale mnie nie dałeś nigdy koźlęcia, żebym się zabawił z przyjaciółmi. Skoro jednak wrócił ten syn twój, który roztrwonił twój majątek z nierządnicami, kazałeś zabić dla niego utuczone cielę. Lecz on mu odpowiedział: Moje dziecko, ty zawsze jesteś przy mnie i wszystko moje do ciebie należy. A trzeba się weselić i cieszyć z tego, że ten brat twój był umarły, a znów ożył, zaginął, a odnalazł się". Mówiąc: „Nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego", przede wszystkim prosimy Boga, by strzegł nas od małoduszności, źródła zazdrości i strachu. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Wszechmoc miłości

„I niewiele zdziałał tam cudów z powodu ich niedowiarstwa” – w taki sposób św. Mateusz zamyka opis pierwszego wystąpienia Jezusa w Jego „ojczyźnie”, tzn. w Nazarecie (zob. Mt 13, 58).

Wszechmogący Bóg został obezwładniony.

Jak to się stało?

W jaki sposób można uczynić Boga bezsilnym?

Odpowiedź Ewangelisty jest konkretna: Wszechmogącego Boga można uczynić bezsilnym przez niewiarę. W tym miejscu warto być może odwołać się do definicji wiary wielokrotnie przywoływanej przez papieża Benedykta XVI: „U początku bycia chrześcijaninem nie ma decyzji etycznej czy jakiejś wielkiej idei, jest natomiast spotkanie z wydarzeniem, z Osobą, która nadaje życiu nową perspektywę, a tym samym decydujące ukierunkowanie”.

Wiara nie jest zbiorem prawd układających się w światopogląd czy system moralny; jest spotkaniem osoby z Osobą – moim z Jezusem. Wiara jest żywą relacją. Jest rodzajem poznania, które jest owocem komunii.

Co możemy w świetle tej definicji powiedzieć o tamtych mieszkańcach Nazaretu? Oto żyli z Jezusem przez ponad 30 lat; spotykali się z Nim w synagodze i przy studni, widzieli Go pracującego w warsztacie Jego ojca, Józefa; znali z imienia wszystkich Jego krewnych. I...

I nigdy nie weszli z Nim w prawdziwą, głębszą relację. Taką, która pozwoliłaby im doświadczyć Jego mocy. Nigdy nie przeżyli z Nim takiego spotkania, które w znaczący sposób przemienia życie.

Myślę o sobie: o tym, że można ponad 30 lat (np. przez 32 lata kapłaństwa) być fizycznie bardzo blisko Jezusa, całkiem sporo o Nim wiedzieć i – jeśli trzeba – nawet opowiedzieć. Można – dla pełniejszego przekazu – postudiować wszystkie konteksty Jego życia i przepowiadania. I jednocześnie można nie mieć z Nim żadnej osobistej relacji. Można się budzić bez Niego i zasypiać bez Niego; można podejmować decyzje dotyczące własnego czy cudzego życia, radząc się wszystkich, tylko nie Jego.

Czy jestem wierzący?

Kluczowym kryterium w odpowiedzi na to pytanie nie jest to, czy „znam” Ewangelię, ale to, czy znam Jej moc.

Nie chodzi o to, ile wiem o Jezusie, tylko o to, czy rzeczywiście Go spotykam. ©

Nie działać pod wpływem gniewu. Nie zachowywać urazy. Nie kryć w sercu podstępu. Nie dawać fałszywego znaku pokoju. Nie schodzić z drogi miłości.

BENEDYKT Z NURSJI

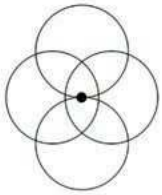

Oto służba człowieka po wszystkie jego dni: przemieniać i nadawać kształt materii, oczyszczać ciało, napełniać blaskiem ciemność, aby lśniła i aby więcej nie było już między nimi rozdziału.

RABBI IZRAEL Z RUŻYNA

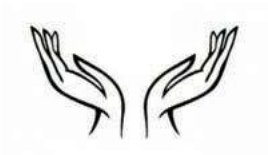

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (9 – 16 VIII)

19. niedziela zwykła:
1 Krl 19, 9a. 11-13a; Ps 85;
Rz 9, 1-5; Mt 14, 22-33;
Poniedziałek: Mdr 3, 1-9; Ps 112;
2 Kor 9, 6-10; J 12, 24-26;
Wtorek: Ez 2, 8 – 3, 4; Ps 119;
Mt 18, 1-5. 10. 12-14;
Środa: Ez 9, 1-7; 10, 18-22;
Ps 113; Mt 18, 15-20;
Czwartek: Ez 12, 1-12; Ps 78;
Mt 18, 21 – 19, 1;
Piątek: Ez 16, 1-15. 60. 63; Iz 12;
Mt 19, 3-12;
Sobota, uroczystość Wniebowzięcia NMP:
1 Krn 15, 3-4. 15-16; 16, 1-2; Ps 132;
1 Kor 15, 54-57; Łk 11, 27-28;
20. niedziela zwykła: Iz 56, 1. 6-7; Ps 67;
Rz 11, 13-15. 29-32; Mt 15, 21-28.

KRAJ

BÓG, PREZES, OJCZYZNA

W PiS mówią, że teraz prezydent będzie odpowiadał tylko przed opatrznością i historią. Po prawdzie zakładają jednak, że także przed Jarosławem Kaczyńskim. A ten wciąż pokazuje, że nie potrzebuje Andrzeja Dudy, tylko jego podpisu.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Czwartek to dzień zaprzysiężenia na drugą kadencję. O tym, że Duda wygrał o włos i to na solidnym dopingu, większość Polaków wkrótce zapomni, może poza tymi, którzy pielęgnują w sobie nienawiść do PiS. Bez względu na okoliczności wyboru Duda będzie z nami jako prezydent aż do 2025 r. W sumie – jako drugi w najnowszej historii Polski – będzie sprawował urząd przez dekadę. To spory kawałek jego i naszego życia. Wystarczająco dużo, by odcisnąć swe piętno na kraju i zapisać się w myślach Polaków.

W pierwszej kadencji Duda żadnego piętna na niczym nie odcisnął. Czy w drugiej to się zmieni?

Prawie jak Kwaśniewski

Wśród polityków PiS żywe jest porównanie go do Aleksandra Kwaśniewskiego – jedynego dotąd, któremu udało się wygrać prezydenturę dwa razy z rzędu. Tyle że to nie jest porównanie dla Dudy miłe. Najpierw analogia – Duda, jak Kwaśniewski, wygrał prezydenturę jako kandydat młodszy, nowocześniejszy i bardziej dynamiczny od urzędującego prezydenta. Kwaśniewski ograł w ten sposób w 1995 r. Lecha Wałęsę, obecny prezydent zaś w 2015 r. Bronisława Komorowskiego. Na tym jednak podobieństwa się kończą. Bo Kwaśniewski triumfował w pierwszej kadencji jako polityczny młodzieniec, ale już w drugiej jako polityk wagi ciężkiej. Miał na koncie udane negocjacje dotyczące przystąpienia Polski do NATO i zbliżające się członkostwo w UE. Duda po pierwszej kadencji nie ma nic – wygrał dzięki topornej propagandzie mediów państwowych.

Prawda jest taka, że przez pięć lat, którym towarzyszyły twarde rządy Kaczyńskiego w kraju, obecny prezydent stanowił obsadę jednej z przejętych przez PiS instytucji – Pałacu Prezydenckiego.

Dlatego – w odróżnieniu od Kwaśniewskiego, który reelekcję wygrał już w pierwszej turze – do końca drżał o wynik potyczki. Biorąc pod uwagę miliardy złotych przetoczone przez PiS do wyborców w transferach socjalnych, propagandę w TVP i bezprecedensowe zaangażowanie w kampanię całego obozu władzy, w tym nawet prezesów państwowych spółek – zwycięstwo o niewiele ponad 400 tys. głosów to nie jest sukces. I to powinno dać Dudzie do myślenia.

Na ścieżce wasala

Jaki będzie w drugiej kadencji? Czy wciąż będzie podążał ścieżką wasala, raz na jakiś czas urywając się możnowładcy? Czy może zacznie się od Kaczyńskiego uniezależniać? Wszak już więcej kandydować nie może, a zatem nie potrzebuje prezesowskiego aparatu władzy i pieniędzy.

Ci, którzy stawiają takie pytania, po cichu wierzą w możliwą przemianę prezy-

ANDRZEJ HULIMKA / FORUM

Uroczystość wręczenia tablic upamiętniających Bitwę Warszawską z udziałem prezydenta Andrzeja Dudy, Warszawa, 30 lipca 2020 r.

denta. Trzeba jednak powiedzieć wprost – dziś do takiej wiary przesłanek brak.

A przynajmniej brak powodów, by sądzić, że Duda sam z siebie jest w stanie zmienić swoją politykę, w tym nade wszystko relacje z Kaczyńskim. Ci, którzy znają prezydenta bliżej, przyznają, że choć w przeszłości był bardziej umiarkowany politycznie – wszak karierę zaczynał w mieszczańskiej i zachowawczej Unii Wolności – dziś jest przesiąknięty ideologią PiS. W tym sensie może i będzie zdolny do temperowania co bardziej krewkich polityków tej partii, ale przeciwko jej linii politycznej nie wystąpi. Tak, Duda jest bogobojny, eurosceptyczny, patriotyczny na modłę wyklętych. Prezydencka wolność od partii władzy nie ma znaczenia, bo Duda naprawdę w PiS wierzy. Mogą być małe starcia, ambicjonalne wojenki czy krótkotrwałe burze – ale partia i jej prezydent będą podążać we wspólnym kierunku.

Tajemnice pierwszej damy

Chyba, że... No właśnie – wiele w drugiej kadencji będzie zależeć od pierwszej damy. Przez ostatnie pięć lat Agata Kornhauser-Duda – nie znosi tego ukutego przez dziennikarza „Gazety Wyborczej" Pawła Wrońskiego porównania – była jak kwiat paproci, który kwitnie raz na sto lat. Z jednej strony przeciwnicy PiS długo wierzyli, że się odezwie, że stanie w obronie tych wszystkich, w których wymierzone były prezesowskie wyroki, sygnowane podpisem jej męża: sędziów, nauczycieli, lekarzy, rodziców niepełnosprawnych dzieci. Nawet jeśli angażowała się w rozwiązywanie konfliktów, to zawsze hermetycznie odizolowana i nieskuteczna. Gdy przeciwnicy PiS przestali w nią wierzyć, z miejsca spisali na straty. Jak samego Dudę, jak Gowina czy Morawieckiego, jak wszystkich tych, w których inwestowali swe naiwne, oderwane od realiów politycznych marzenia o zablokowaniu Kaczyńskiego.

Kornhauser-Duda zresztą sprawiała wrażenie, że odpowiada jej rola paprotki w złotej doniczce. Brylowała na dyplomatycznych spotkaniach, efektownie dobierała toalety. W dodatku, gdy po latach milczenia podczas wieczoru wyborczego wreszcie się odezwała, to zaprezentowała się jako postać małostkowa, ocierająca się o groteskę. Bo miała do powiedzenia głównie to, że Wroński porównując ją do paprotki był nierzetelny.

Prawda jednak jest bardziej skomplikowana. Kornhauser-Duda wybrała swój oryginalny – a nawet dziwaczny – sposób na wykonywanie obowiązków pierwszej damy absolutnie świadomie.

To nie jest tak, że nie znosi mediów liberalnych. Gdyby tak było, rekompensowałaby to sobie poprzez *tournée* po mediach PiS – TVP, „Gazecie Polskiej", „Sieciach", „Do Rzeczy". A ona nie ↦

↦ występowała nigdzie. A zatem nie o „Wyborczą" tu chodzi.

Raczej o samą Kornhauser-Dudę. Otóż podobno prezydentowa faktycznie nie cierpi PiS – ideologii tej partii, metod jej działania, jej polityków i samego prezesa. Tak przynajmniej twierdzą moi rozmówcy z samej wierchuszki ugrupowania, którzy podają konkretne przykłady scysji i napięć z prezydentową. Kiedy Duda zaczynał kampanię jeszcze przed koronawirusem, małżonka nie bardzo chciała w niej uczestniczyć, by w finale drastycznie ograniczyć liczbę planowanych spotkań.

Jeśli założyć, że jest w tej wersji sporo prawdy, to po zwycięstwie męża w 2015 r. miała taki wybór: albo będzie milczeć, albo zacznie chodzić do mediów i mówić, co myśli – czyli sprawiać mu kłopoty. Ze względu na lojalność wybrała milczenie.

Być może najistotniejsze pytanie na progu drugiej kadencji Dudy brzmi więc: czy pierwsza dama będzie mu przypominać, że odpowiada przez Bogiem i historią, a nie przed Kaczyńskim? Prezesowi powiedziała kiedyś, że się go nie boi, co odebrał jako policzek. Jest przeczulona na próby deprecjonowania męża przez polityków PiS. I to bardziej niż on sam.

Można byłoby rzec, że Duda jest pantoflarzem, ale to byłoby uproszczenie. Lepiej napisać, że prezydentowa ma na męża duży wpływ, a jej zdecydowany charakter i wrodzona ekspresja ograniczają jego pole manewru.

Prezydent na rozdrożu

Jest jeszcze inne ważne pytanie, czysto polityczne. Czy Duda w drugiej kadencji pójdzie umiarkowaną jak na PiS ścieżką, czy też przyjmie postawę wojowniczą, popierając pojawiające się w Zjednoczonej Prawicy głosy wzywające do dokończenia rewolucji – ostatecznego przejęcia sądów, osłabienia samorządów i zwiększenia administracyjnej kontroli nad niezależnymi mediami.

Ten wybór jest w obozie władzy jasno spersonifikowany: Morawiecki kontra Ziobro.

W kampanii obie te frakcje starały się unikać publicznego prania brudów, choć kopanie się po kostkach szło na całego. Związany z frakcją radykałów szef TVP Jacek Kurski celowo usuwał Morawieckiego z programów informacyjnych. Z jednej strony z szefem rządu Kurski ma od dawna na pieńku – oskarża go choćby o inspirowanie Dudy do wymuszenia swej dymisji z fotela prezesa TVP w marcu. Ale z drugiej – kampanijne gumkowanie Morawieckiego to była wojna o to, kto będzie po zwycięstwie wypinał pierś do odznaczeń, a zatem kto dostanie od Kaczyńskiego nagrodę. Kurski chciał mieć pełną kontrolę nad wyborczą propagandą i przekonał prezesa, że należy usunąć Morawieckiego z wizji, bo nie cierpi go twardy elektorat PiS, jako dawnego bankstera i doradcy Donalda Tuska. Morawiecki nie dał się jednak zmarginalizować. Samodzielnie objeżdżał Polskę powiatową, agitując za Dudą. Teraz każdy mógłby odtrąbić sukces – gdyby nie to, że współzawodnictwo w kampanii było tylko drobnym elementem wojny na śmierć i życie.

Tuż po wyborach obie frakcje wzięły się za łby. „Wiadomości" pokazały to, co Kurski rozpowiadał politykom PiS w kampanii – że Kancelaria Premiera w ramach informowania społeczeństwa po wybuchu pandemii kupowała reklamy w gazetach krytycznych wobec PiS, wspominając „Rzeczpospolitą", „Politykę" oraz „Fakt". Kurski święcie wierzy, że to w ramach rewanżu Morawiecki inspirował materiały w mediach dotyczące jego syna, oskarżanego o przestępstwa seksualne przez córkę dawnych znajomych Kurskich. Poszlaki są wątłe, ale w świecie politycznych spisków, gdzie nic nie jest uchwytne, to argumenty wystarczające. Otóż ojciec dziewczyny, który uczestniczy w atakach na Kurskiego juniora, to działacz PiS, który dzięki partii ma wikt i opierunek w spółkach Skarbu Państwa. A ściślej – pracuje w spółkach uważanych za księstwo Morawieckiego.

Natarcie Ziobry na Morawieckiego

Ziobro ruszył na wojnę bez publicznego prania brudów, co nie oznacza, że to jest pojedynek elegancki. Bo postawił na polityczny radykalizm i za cel obrał obalenie Morawieckiego.

Najpierw ekipa ministra sprawiedliwości próbowała oskarżyć premiera o nadmierne ustępstwa wobec Brukseli podczas niedawnych negocjacji budżetu UE. Chodziło o wprowadzenie tzw. mechanizmu praworządności, czyli uzależnienia wypłat pieniędzy od oceny przestrzegania zasad demokratycznego państwa prawa.

Morawieckiemu udało się – wraz z premierem Węgier Viktorem Orbánem – rozmyć ten zapis. Ale sam mechanizm pozostał, co Ziobro wykorzystał do ataku. Kaczyński stanął jednoznacznie po stronie Morawieckiego, zapowiadając, że rekonstrukcja rządu nie obejmie stanowiska premiera.

Ziobro nie ustępował. Zażądał od Morawieckiego interwencji w Komisji Europejskiej po tym, jak komisarz ds. równości Helena Dalli odrzuciła wnioski sześciu polskich miast o unijne środki dlatego, że przyjęły uchwały o „strefach wolnych od LGBT".

Sięgnął też do amunicji od dawna polerowanej w arsenałach resortu – wypowiedzenia konwencji Rady Europy dotyczącej zwalczania przemocy wobec kobiet. Prawica ma zastrzeżenia do tego ratyfikowanego za rządów PO-PSL dokumentu, uważając, że to lewacki manifest, który doszukuje się źródeł przemocy w religii i tradycyjnym modelu rodziny. Czy tak rzeczywiście jest? Polska ratyfikowała konwencję pięć lat temu i nie słychać, aby zdewastowało to dość konserwatywne polskie stosunki społeczne.

Konwencja to po prostu dobre paliwo dla Ziobry, który – zafascynowany sukcesem Konfederacji – stawia na elektorat radykalny. Minister wie, że dla PiS konwencja to niewygodna kwestia. Z jednej strony Morawiecki nie może jej bronić, bo to ewidentnie nie jest produkt myśli konserwatywnej, w dodatku konwencja jest krytykowana przez Kościół. Z drugiej – premier nie może jej wypowiadać, bo to żmudna droga prawna, a kłopoty wizerunkowe mogą być gigantyczne. Dlatego, przyciśnięty przez hasającego ministra, wybrał ulubione rozwiązanie PiS w przypadku kłopotliwych przepisów – wysłał konwencję do podporządkowanego partii Trybunału Konstytucyjnego, by ten odłożył ją na lata na półkę. To mu pozwoliło zejść z linii ataku. Ale wedle tej logiki należy teraz oczekiwać kolejnych odsłon wojny.

Kaczyński patrzy z góry

Na te problemy, które są ewidentnie generacyjną grą o sukcesję po ponad 70-letnim Kaczyńskim, nakładają się jeszcze wspomniane plany rekonstrukcji rządu. Tu także Ziobro starł się z Morawieckim o nowy podział tek.

Na pierwszy rzut oka wygląda to merytorycznie. Morawiecki chce połączyć Ministerstwa Edukacji oraz Nauki i Szkolnictwa Wyższego; Klimatu oraz Środowiska; Rozwoju oraz Funduszy i Polityki Regionalnej. Do tego planuje likwidację resortów cyfryzacji, gospodarki morskiej i sportu, które miałyby zostać wchłonięte przez inne ministerstwa. Zastanawia jednak to, że chodzi w dużej mierze o łączenie resortów, które PiS sam kiedyś podzielił, albo likwidowanie tych, które sam stworzył. W tej grze jest bowiem ukryty cel – redukcja ministerstw i personalne roszady miałyby umocnić Morawieckiego i narzucić rządowi jego bardziej umiarkowaną linię.

Radykałowie przekonują, że mają Dudę po swojej stronie. Liberałowie twierdzą, że prezydent nie wybrał jeszcze ścieżki na drugą kadencję. A – po raz pierwszy od momentu objęcia prezydentury – to od jego decyzji może zależeć, w jakim kierunku pójdzie PiS.

Jedno się natomiast nie zmienia: obcesowe, protekcjonalne podejście Kaczyńskiego do prezydenta.

Prezes ostentacyjnie spóźnił się na zorganizowane na Zamku Królewskim w Warszawie wręczenie Dudzie przez Państwową Komisję Wyborczą zaświadczenia o wyborze. A potem pierwszy wyszedł.

Kaczyński traktuje prezydenta trochę jak uczniaka, który niewiele rozumie z polityki. W ostatnim czasie najwyraźniej było to widać na początku roku, podczas wspomnianego konfliktu o TVP.

Na początku marca Duda zażądał głowy prezesa TVP. Postawił ultimatum: jeśli Kurski zostanie, ustawa przyznająca 2 mld zł państwowych pieniędzy telewizji i Polskiemu Radiu nie zostanie podpisana. Bez tych pieniędzy media narodowe zbankrutowałyby w ciągu kilku miesięcy.

Skąd w ogóle takie żądanie? Nerwowo w relacjach tej dwójki zrobiło się po starcie kampanii na początku roku. Duda był przekonany, że telewizja Kurskiego ośmieszała go i nie broniła jego żony przed atakami opozycji, która zarzucała jej bierność przez całą kadencję.

Kaczyński zagryzł zęby i Kurski odszedł. Tyle że kilka dni po podpisaniu ustawy wrócił. Najpierw został doradcą zarządu, potem wiceprezesem TVP. Na pierwszy rzut oka był to policzek dla Dudy. Paradoks polega jednak na tym, że Kurski wrócił, by pomóc w reelekcji prezydenta. Jest w tym paradoksie żelazna logika prezesa PiS: Kurski prowadził kampanię nie dla Dudy, tylko dla Kaczyńskiego – by miał własnego prezydenta.

> Duda może i będzie zdolny do temperowania co bardziej krewkich polityków PiS, ale przeciw linii politycznej nie wystąpi. **Jest bogobojny, eurosceptyczny, patriotyczny** na modłę wyklętych.

Można się spierać, na ile Kurski pomógł w zwycięstwie, ale nie ma wątpliwości, że się do tego przyczynił. Tak też trzeba czytać powyborcze hołdy europosła PiS Joachima Brudzińskiego, który powtarza, że prezydent zwycięstwo zawdzięcza Kaczyńskiemu. Brudziński dowodzi po prostu, że Kaczyński rozumiał lepiej od Dudy, iż Duda potrzebuje Kurskiego w TVP i naciskając na jego odwołanie, działał wbrew swemu interesowi.

Prezydent odarty z powagi

W drugiej kadencji Duda przebuduje swą kancelarię, która nawet na tle poprzednich – a bodaj żadna nie grzeszyła błyskotliwością i pracowitością – wypada blado. To ludzie prezydenta przyłożyli rękę do kłopotów, które mogły go pozbawić prezydentury. Chodzi o sprawę częściowego ułaskawienia pedofila-kazirodcy, któremu Duda zniósł zakaz zbliżania się do rodziny. Prezydenckich prawników Pawła Muchę i Andrzeja Derę zawiódł polityczny instynkt, choć sam Duda nie jest rzecz jasna bez winy. Dziś w Platformie czuć zawód, że jej sztab nie wykorzystał mocniej tej kwestii – decyzją samego Trzaskowskiego zresztą.

Ale zawodzą też inni, jak szef gabinetu Krzysztof Szczerski. Pod bokiem polityka, który uważa się za eksperta od polityki zagranicznej i może po rekonstrukcji zostać szefem MSZ, doszło do żenującej wpadki tuż po wyborach. Rosyjscy internetowi żartownisie dodzwonili się do Dudy, udając sekretarza generalnego ONZ Antónia Guterresa. Zapis rozmowy – Duda dukający po angielsku na poziomie pierwszych klas ogólniaka, pytany o orientację seksualną Donalda Tuska i zabranie Ukrainie Lwowa – znów odarł prezydenta z powagi.

Ostatnia szansa

Na progu drugiej tury Duda jest w pułapce – jak każdy prezydent wyraźnie związany ze swym politycznym obozem. Z jednej strony jest jego macierzysta partia i ponad 10 mln wyborców oczekujących lojalności. Z drugiej – opozycyjne 10 mln kompletnie w niego nie wierzy, choć z radością przyjęłoby każdy krok przeciw Kaczyńskiemu. Duda mógłby wykonać gest wobec tej drugiej strony, ale ryzykuje nie tylko konflikt z Kaczyńskim – także furię wielu zwolenników PiS. Przekonał się o tym w ciągu mijających lat kilkukrotnie, gdy wetował ważne ideowo dla PiS ustawy – dotyczące sądów czy degradacji oficerów, którzy służyli w czasach PRL. Alternatywa jest diabelska: utrata miłości elektoratu PiS, bez gwarancji podbicia serc stronników opozycji. W pierwszej kadencji Duda nie dał się poznać jako polityk, który umie podążać wąską ścieżką między tymi dwoma plemionami.

Na razie prezydent spotkał się z Trzaskowskim. Tyle że – jak to u Dudy – więcej było w tym myślenia o wspólnym zdjęciu na tle portretu Lecha Kaczyńskiego niż realnej polityki.

„Jednym z podstawowych oczekiwań jest to, byśmy zaczęli odbudowywać wspólnotę. Ludzie marzą o takiej wspólnocie, jaka wśród Polaków powstała w latach 80., w czasach »Solidarności«. Dlatego mówię dzisiaj do ludzi o różnych poglądach, o różnym światopoglądzie, wierzących i niewierzących: proszę o wzajemny szacunek, proszę o to, żebyśmy szanowali swoje prawa, oczywiście bez narzucania ich innym" – mówił Duda na zaprzysiężeniu pięć lat temu.

To jedna z tych obietnic, których tak naprawdę zrealizować nie spróbował. Ma ostatnią szansę.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP".

PETR DAVID JOSEK / AP / FORUM

Wybory prezydenckie w Rybniku, lipiec 2020 r.

Wojna mądrych z uczciwymi

JAROSŁAW FLIS

Przedstawianie wyborów jako walki wielkich aglomeracji z prowincją bardziej szkodzi Platformie na wsi, niż pomaga jej w mieście. Podkreślanie tego podziału przez opozycyjne media było podstawą sukcesu PiS.

Po wyborach znów jesteśmy świadkami rytuału: media pełne są mapek i wykresów próbujących wyjaśnić wynik przez zróżnicowanie poparcia w różnych częściach kraju. Z wielu możliwych wyjaśnień najczęściej powtarzają się te łatwo przemawiające do wyobraźni i wpisujące się w stereotypy: podział wschód–zachód i miasto–wieś.

Najczęściej używają go media, które uważają, że w takich podziałach znajdują się po „lepszej" stronie. Choć i obóz przeciwny się cieszy – może odgrywać rolę obrońców słabszych, zlekceważonych i pozostawionych na uboczu.

Kryterium cywilizacyjne wiąże się bowiem z podziałem na patrycjat i lud. Stąd zestawienia w podziale wieś–miasto uzupełniane są o kryteria wykształcenia, wieku i materialnego dobrostanu. Nikt jednak nie zadaje sobie trudu wyjaśnienia, jak te podziały mają się do siebie. Nie jest przecież tak, że północno-zachodnia Polska składa się wyłącznie z miast, których z kolei nie ma na wschodzie i południu. W miastach nie żyją wyłącznie bogaci, młodzi i wykształceni, wsi zaś nie zaludniają tylko ubodzy, niewykształceni staruszkowie.

Historyczne przechyły

W Polsce podziały historyczne i urbanizacyjne się krzyżują, tworząc wyjątkowy, dwuwymiarowy wzór, jeśli chodzi o poparcie dla głównych sił politycznych. W wyborach z 2015 r. było widać go najlepiej, jeśli spojrzeć na procent mieszkańców głosujących w poszczególnych częściach kraju na pojedynkujących się kandydatów (nie zaś na procent wśród oddanych głosów, bo to bywa mylące).

Poparcie dla Andrzeja Dudy w II turze wyborów z 2015 r. rosło wraz z przesunięciem po przekątnej geograficznej, odpowiadającej historycznym podziałom na Galicję, Kongresówkę, zabór pruski i tzw. ziemie odzyskane, a wyznaczonej mniej więcej przez linię Rzeszów–Kielce–Poznań–Szczecin. Skala zmian była jednak różna w zależności od wielkości miejscowości. Największe różnice dotyczyły małych gmin, natomiast w miastach, choć też występowały, były mniej wyraźne – np. poparcie na przeciwległym końcu nie było dwukrotne, lecz „tylko" o połowę większe.

Mniej jednoznacznie wygląda sprawa zróżnicowania ze względu na zurbanizowanie, gdy popatrzeć na każdy obszar historyczny z osobna. W Polsce południowo-wschodniej poparcie wyraźnie różnicowało się ze względu na wielkość miejscowości (w małych gminach liczba mieszkańców popierających kandydata PiS była wyraźnie większa), ale na zachodzie i północy różnice te były minimalne bądź zgoła o przeciwnym zwrocie. Mieszkańcy małych gmin w tych regionach głosują bowiem zdecydowanie rzadziej i nawet jeśli procent sympatyków Dudy był wśród nich całkiem spory, to jednak jako udział w ogóle był mniejszy niż w dużych miejscowościach.

W przypadku Bronisława Komorowskiego wzory te kształtowały się niemal idealnie odwrotnie. Najmniejsze poparcie miał wśród mieszkańców małych, galicyjskich gmin, największe – w dużych miastach na północy i zachodzie. O ile jednak przechyły historyczne były dla PiS większe niż urbanizacyjne, to w przypadku PO siła jednych i drugich podziałów była porównywalna.

Stan posiadania

Wyjątkowość obecnych wyborów zaciera oczywiście pewne kwestie. Po pierwsze, wpływ na nasze zachowania miały wakacje i fakt, że grubo ponad milion wyborców w drugiej turze oddało głos poza miejscem zamieszkania. Drugim problemem jest uchwycenie tego, co jest różnicą w stanie docelowym, a co wynika

ze zmiany. Kiedy zaczyna się prostować ktoś bardzo przechylony, może wykonać ruch w przeciwną stronę, ale nadal zostanie przechylony – tylko mniej. Po pięciu latach rządów PiS następuje wyraźne przeorientowanie zjawisk społecznych, z którego wynika też dezorientacja komentatorów.

Jeśli chodzi o podział urbanizacyjny, obie strony politycznego sporu utrzymały swój stan posiadania tam, gdzie do tej pory były najsłabsze. Nie doszło do żadnych masowych odpływów wyborców, nawet jeśli procenty podawane zwykle jako odsetek oddanych głosów spadły. Działo się tak, bo druga strona zmobilizowała wielu nowych wyborców. Taki relatywny spadek był udziałem PiS w większych miejscowościach, ze znaczącym wyjątkiem Krakowa (Andrzej Duda utracił najpewniej otrzymany w 2015 r. bonus za „swojaka"). Podobnie jest w przypadku kandydata PO, którego liczba wyborców w najmniej przychylnych miejscach nie spadła, ale obóz jego konkurenta zmobilizował tam zdecydowanie więcej wyborców niż wcześniej. Z tego powodu podział urbanizacyjny stał się zdecydowanie bardziej znaczący dla ostatecznego wyniku.

Dlaczego Duda wygrał

Podział historyczny zaczął się natomiast zacierać w obliczu wspomnianej mobilizacji. Przede wszystkim dlatego, że doszło do wyraźnego wzrostu poparcia dla PiS w miejscach, gdzie do tej pory był najsłabszy – w Polsce zachodniej i północnej, na tzw. ziemiach odzyskanych i w zaborze pruskim. Dotyczy to zarówno najmniejszych miejscowości, jak i tych średnich. Pojawiły się tu różnice urbanizacyjne, których wcześniej nie było bądź wykazywały przeciwne tendencje – wiążące się z najniższą w kraju frekwencją.

Wygląda na to, że polityka transferów socjalnych zmobilizowała wyborców tam, gdzie wcześniej zostawali w domach. Uwaga: nic nie wskazuje na to, by wyborców z popegeerowskich wsi przyciągały wątki religijne czy obyczajowe. Te jednak mogły być istotne dla mieszkańców wsi z Górnego Śląska, Kaszub i Wielkopolski, których przed laty do obozu PiS zraziło wypominanie dziadków w Wehrmachcie.

Jeśli chodzi o PO, to jej mobilizacja była niemal identyczna we wszystkich historycznych częściach Polski. W podobnym stopniu (czyli proporcjonalnie do wielkości miejscowości) zyskiwała nowych wyborców. Dane z wcześniejszych cykli wyborczych wskazywały, że nie sama wielkość miejscowości przesądza o preferencjach, ale społeczny skład jej mieszkańców. Ludzie z wyższym wykształceniem skupiają się w dużych miastach i to o ich głosy z większą skutecznością zabiegają kandydaci PO. Choć i tu warto unikać postrzegania świata wyłącznie w czerni i bieli. Jak pokazują badania *exit poll*, podziały związane z wykształceniem, wiekiem czy statusem materialnym nie różnicują tak ostro, jak te urbanizacyjne.

A w wyostrzaniu podziałów nie ma symetrii. Przedstawianie wyborów jako walki wielkich aglomeracji z prowincją bardziej szkodzi Platformie na wsi, niż pomaga jej w mieście. Podkreślanie podziału urbanizacyjnego przez opozycyjne media było podstawą sukcesu PiS.

Spiczasty grzybek

Natomiast w drugą stronę działają podziały ideowe. W jakimś stopniu są one powiązane z tymi urbanizacyjnymi i historycznymi – ale nie są z nimi tożsame. Analizy samoidentyfikacji wyborców pokazują, że rządy PiS prowadzą do wyostrzenia podziału góra–dół, jako wypadkowej rozbicia na obyczajową prawicę i lewicę, oraz ekonomicznego podziału na Polskę „solidarną" i „liberalną". Narodowa nawa, którą opisywałem w „TP" na podstawie badań z 2015 r., uległa jednak przeobrażeniu.

W tym momencie układ słupków przypomina raczej spiczasty grzybek. Na dole znajduje się solidny solidarno-prawicowy trzon, który zwęża się, zbliżając ku centrum. Znajduje się tam szeroko rozpostarty kapelusz, który tworzą osoby z jednej strony łączące solidarność z lewicowością, z drugiej zaś prawicowość z liberalizmem, a na środku są ci, którzy nie potrafią się określić na żadnej z osi. Powyżej ronda tego kapelusza pojawia się kolejne zwężenie ku szpicowi, gdzie uwidacznia się niewielka, ale rosnąca grupa wyborców lewicowo-liberalnych.

Taki podział wyraźnie różnicuje poparcie dla Dudy oraz Trzaskowskiego, i tu jest jeszcze mniej symetrii. Wynika to z liczebności poszczególnych grup.

Przybliżyć problem można opisując go z dwóch przeciwnych biegunów. Można przyjąć, że osoby o jednoznacznej identyfikacji z tymi biegunami – czy to solidarno-prawicowym, czy lewicowo-liberalnym – to ideowy „rdzeń" dwóch głównych kandydatów. Ci lekko wychyleni oraz znajdujący się w rondzie kapelusza stanowią „miąższ" elektoratu. Ci zaś, którym ideowo bliżej do drugiego końca, to swoista „wypustka" – przyczółek w teoretycznie przeciwstawnym obozie. Proporcje tak określonych grup są odmienne w elektoracie każdego z kandydatów mających niemal identyczne poparcie.

W przypadku Andrzeja Dudy dwie trzecie wyborców to „rdzeń" – ci o jednoznacznej identyfikacji ideowej. 30 proc. to ci z „miąższu" – albo lekko sympatyzujący, albo trzymający dystans do obydwu biegunów. Jedynie 5 proc. udało się przyciągnąć do obozu z drugiej strony. Takie transfery opierają się na więziach towarzyskich, docenieniu sprawności działania czy też wypchnięciu przez przeciwników na skutek ich błędów. ↦

Elektoraty 2020: deklaracje głosowania w II turze (z 25 czerwca)

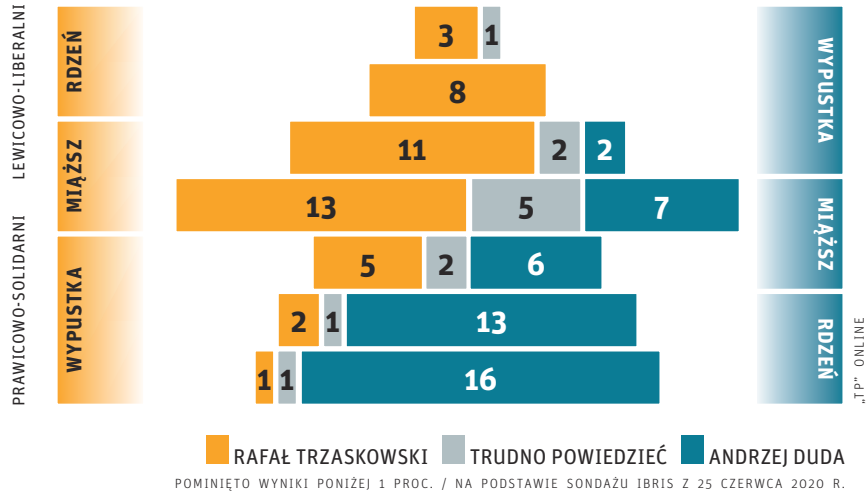

POMINIĘTO WYNIKI PONIŻEJ 1 PROC. / NA PODSTAWIE SONDAŻU IBRIS Z 25 CZERWCA 2020 R.

↦ W przypadku Rafała Trzaskowskiego układ wygląda zupełnie inaczej. Zaledwie jedna czwarta wyborców stanowi ideowy rdzeń. Aż 56 proc. to ci, którzy tylko lekko skłaniają się ku ideowym deklaracjom, stojący zupełnie pośrodku oraz osoby sytuujące się po bokach liny, zapewne marzące o przeciąganiu jej w inną stroną. Lecz aż 18 proc. to ci, którzy w zasadzie, gdyby kierować się deklaracjami ideowymi, powinni głosować na Dudę. Zostali jednak zrażeni przez liczne przywary obozu rządzącego.

Utrata osób znajdujących się po przeciwnej stronie ideowego spektrum oznaczałaby dla prezydenta stratę ok. 600 tys. wyborców. Wystarczająco dużo, by przegrać, ale na oko to niewielki margines. Dla Trzaskowskiego utrata wyborców skłaniających się raczej ku prawicowości i solidarności byłaby odejściem niemal 2 z 10 milionów wyborców. Te liczby potwierdzają coś, co podpowiada obu stronom intuicja, wstrzymując zwycięzcę przed euforią, a przegranych przed depresją: w kolejnych wyborach wszystko może potoczyć się inaczej. A zabieganie o wyborców centrowych, czy też stojących z boku tej wyraźnie już ukształtowanej liny, to wielka sztuka.

Samopoczucie a rzeczywistość

Dociekanie, co przesądziło o wyniku, oddala od przyjętych wcześniej oczywistości. Wielkim wyzwaniem jest też opisanie tych zjawisk tak, by choć umiarkowani po obu stronach mogli się pod takim ujęciem spraw podpisać.

Być może Polacy dzielą się na mądrych i uczciwych? Ci pierwsi w świecie boją się bardziej głupoty, ci drudzy oszustwa. Może właśnie takie ujęcie pozwoli dostrzec to, co boli drugą stronę? W ostatnich wyborach szczególnie bolesna była bowiem sytuacja tych, którzy starali się zachować dystans do obu tych prostych, pierwotnych lęków. Zwłaszcza że rzecznicy obu grup postanowili zamienić się rolami – podłe działania miały bronić uczciwych, choć przecież właśnie one stanowiły zaprzeczenie świata ich wartości. Przyniosłyby też pewnie odwrotny wynik, gdyby nie fakt, że rzecznicy mądrych odpowiedzieli na nie głupotą.

Dobrze byłoby, żeby jedni i drudzy przemyśleli, co poszło nie tak. Troska o własne samopoczucie nie jest poważnym argumentem, by zamykać oczy na rzeczywistość. © JAROSŁAW FLIS

Tam dom twój, gdzie cztery koła twoje

MARIUSZ SEPIOŁO

Polskę zza kółka kampera widać jak przez szkło powiększające.

Pani Aniu, szukam adresu i nie mogę znaleźć – mówię przez telefon, ale chwilę później wszystko już wiem, bo widzę temat naszej rozmowy zaparkowany przed jednym z domów.

– Spotkajmy się przy kamperze – mówi pani Ania. – Zaraz do pana wyjdę.

Pojazd w odcieniach beżu i brązu ma już swoje lata. Konkretnie 33.

– Ja śpię tu – pokazuje na sporej wielkości łóżko w górnej kabinie trzyletnia Zuzia.

– Lubisz jeździć kamperem?

– Taaak!

Kiedy jadą, pani Ania siedzi po stronie pasażera. Przez trzy ostatnie lata nauczyła się czytać mapę, co jest ważne, bo pan Bartek na GPS-ie nie jeździ. Raz wyznaczył trasę z punktu A do B i Google poprowadził przez tak kręte dróżki, że kamper ledwo się mieścił.

W domu na lodówce i w kabinie kampera gromadzą magnesy z punktów, które odwiedzili. Miejsce powoli się kończy. Kamper w środku jest przytulny i wygodny. Powstał podobno na zamówienie bogatego Niemca. Facet zażyczył sobie, by w środku było jak w domu: kilka łóżek, szafki, skrytki większe i mniejsze, prysznic, toaleta, lodówka, kuchenka, nawet agregat prądotwórczy. W końcu bogaty Niemiec umarł, a kamper trafił na zaciszne gdańskie Osowo do rodziny z trójką dzieci.

Właśnie wrócili z trzytygodniowego wyjazdu. Zjechali Polskę z północy na południe. Najdłużej byli w Bieszczadach, po drodze odwiedzali krewnych, a we Włocławku przez okna zobaczyli, jak jeden koleś podczas awantury z drugim wyciąga nóż. I uznali: tu na pewno nie nocujemy.

Daleko od all inclusive

Dawid: – Swój kamper najbardziej lubię za to, że jest duży, solidny i niezawodny, dzięki czemu daje mi absolutną wolność.

Magda: – Za to, że zawsze mogę spać w swojej pościeli, jeść śniadanie, jakie chcę i kiedy chcę. No i oczywiście za to, że moje psy mogą ze mną jeździć.

Sylwia: – Na weekendowy wypad wrzucam tylko trochę żarcia i ciuchów. Reszta jest już załadowana. Decyduję się na wypad najczęściej dzień albo nawet parę godzin przed. Zero rezerwacji.

Łukasz: – Za niezależność, jaką mi daje. W każdej chwili mogę zmienić kierunek. Nie trzymają mnie rezerwacje i opłacone noclegi. Prawie każda wycieczka to spontan.

Joanna: – Za to, że *home is where you park it*. Dom jest tam, gdzie zaparkujesz.

Kamper to nie tylko pojazd – to styl życia. To dom na czterech kołach, który daje wolność wyboru. Ludzie, którzy kampery pokochali, na wakacjach i w codziennym życiu nie lubią schematów. Przy hotelowym basenie, sącząc drinki *all inclusive*, uschliby z nudów. Bywa, że kamper to także zabawa na całe życie lub pasja wyssana z mlekiem matki, przekazywana następnym pokoleniom.

Wyrośli w smutnych czasach państwowych wakacji pod gruszą, dlatego dzisiaj wyjść z domu, przejść kilka metrów, wsiąść do kampera i ruszyć gdzie się chce – to dla nich coś cennego. Innym znudziły się wakacje w Kenii, nurkowanie w Egipcie, zbieranie winogron w winnicach Szampanii. Idą do salonu i mówią: ten proszę. Rośnie też rynek kamperów wypożyczanych. Na urlopy, weekendy.

Renesans kamperów widoczny jest od kilku lat. Jak podaje portal

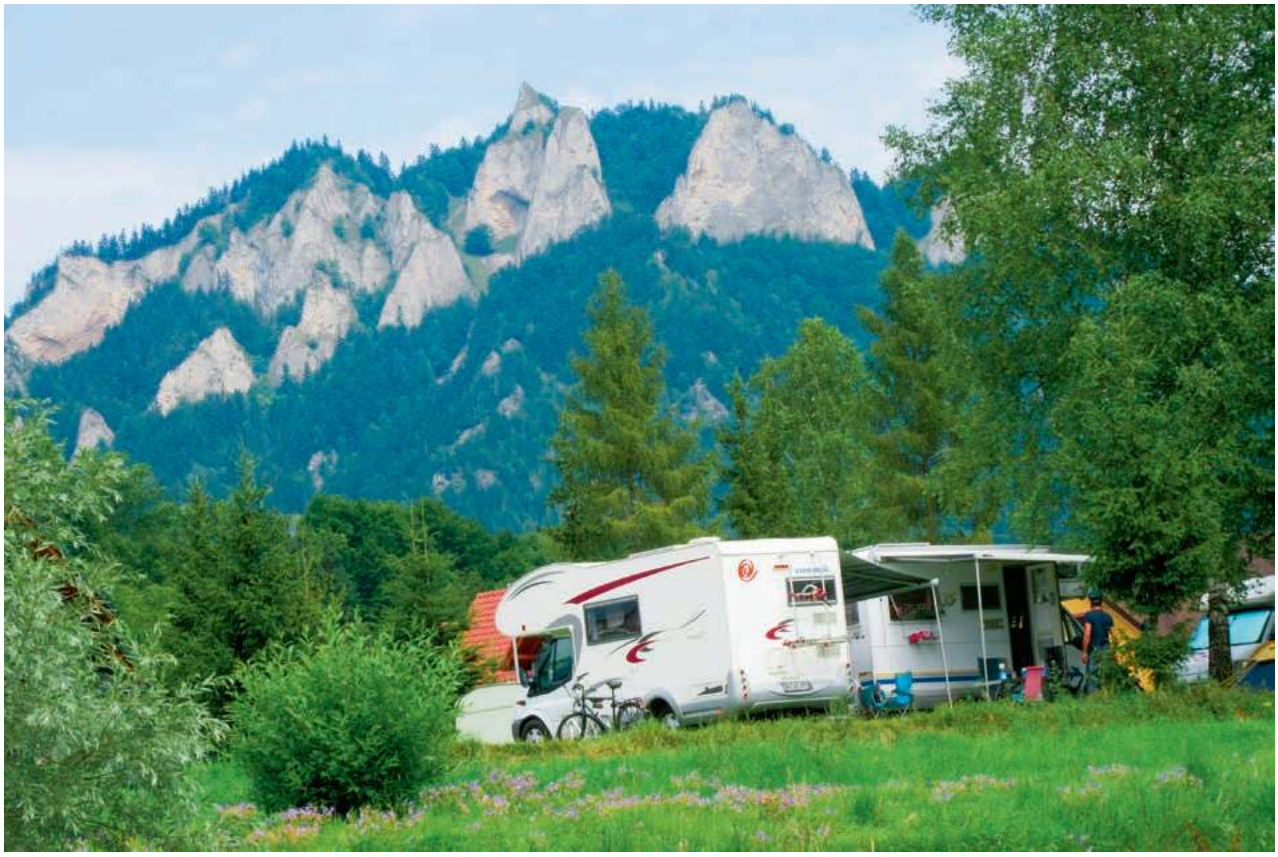

ADAM WYSOCKI / EAST NEWS

Pieniny, pole kempingowe u stóp Trzech Koron, 18 lipca 2019 r.

Motorhome.pl, w 2018 r. zarejestrowano 518 nowych pojazdów tego typu, co stanowiło wzrost o ponad 50 proc. w stosunku do roku poprzedniego. W 2019 r. w rejestrach pojawiły się aż 724 sztuki.

Do kamperowego boomu przyłożyła się epidemia. Światowa Organizacja Zdrowia szacuje, że w tym roku globalna turystyka skurczy się o 60–80 proc. A GUS podawał, że tylko w marcu liczba turystów korzystających z bazy hotelowej w Polsce była niższa o 65 proc. w stosunku do tego samego okresu rok wcześniej. Pierwsze obostrzenia zniesiono w połowie kwietnia, ale turystyka nie podnosiła się jeszcze przez kilka miesięcy. I z mozołem podnosi się do dziś.

Światełkiem w tunelu dla pasjonatów podróży stały się właśnie kampery. Wyposażone we wszystko, co potrzebne do codziennego życia (kuchnię, sypialnię, łazienkę), dawały nawet podczas lockdownu możliwość znalezienia się w dowolnym miejscu w kraju. I daleko od ludzkich skupisk. Choć kempingi (w Polsce jest ich około 450) nie wpuszczały jeszcze gości, to parkować można było na dziko i na łonie natury bezpiecznie zdjąć maseczkę. Dziś kempingi są już czynne, a ich właściciele szeroko otwierają ramiona przed posiadaczami 140 tys. zarejestrowanych w Polsce kamperów.

Zacząć od „dzień dobry"

– Jeśli ktoś mnie pyta: dlaczego nie chcesz do Włoch, Francji, Hiszpanii, odpowiadam: mnie te rejony nie kręcą. Wolę na wschód: do Rosji, Ukrainy, Mołdawii, gdzie przez drogę przechodzą pasące się owce – tłumaczy Paweł Szulc. Właściciele kamperów dobrze go znają. Razem z partnerką Bożeną zjeździli Polskę i Europę. Prowadzą kanał na YouTubie „Kamperem po bezdrożach".

Paweł ma 60 lat i sporą ich część spędził za kółkiem ciągnika z przyczepą, a później kampera. Zaczynał w 1992 r. – wtedy kupił na spółkę z ojcem przyczepę, model N126N. Ale do przygody ciągnęło go od dzieciaka. Na krótkie wypady i dłuższe wczasy w górach i nad morzem zabierał go ojciec, wówczas z plecakiem i małym namiotem.

– Miał przyczepę. Kiedy przychodziła sobota, wtedy jeszcze pracująca, po pracy pakowaliśmy się wszyscy i ruszaliśmy w drogę – opowiada Paweł. – Potem przejąłem tę przyczepę, a dzisiaj używa jej moja córka.

Zaczynał, jak wielu, od utartych europejskich szlaków. Popularne były Włochy, często jeździło się też do Chorwacji. Ale szybko zmienił kierunek, by omijać najpopularniejsze wśród turystów miejsca. Wielkie, masowe pola kempingowe już go nie kręcą.

– Jak sąsiad z parceli obok rozkłada markizę metr od twojej, to można w końcu stracić cierpliwość – mówi Paweł. – W tej kulturze są pewne zasady, których powinno się przestrzegać, żeby wszystkim było wygodnie. Zostaw te trzy-cztery metry przestrzeni między jednym kamperem a drugim. Nie rozstawiaj przedsionka „twarzą w twarz", postaraj się, aby wejście było z drugiej strony.

– Niepisane reguły? Warto zacząć od zwykłego „dzień dobry", jeśli rano widzisz sąsiadów – mówi Łukasz, pasjonat. – Rozumiem, że człowiek to zwierzę stadne, ale stawanie jeden na drugim przy dużej ilości miejsca też jest straszne. Grill? Okej, sam też lubię pieczoną kiełbasę, ale staram się robić tak, by sąsiad nie miał łez w oczach od dymu. Zdarza się też męczenie sąsiadów głośną muzyką, wydzieranie się, bo od rana trwa zakrapiane śniadanie. Pozostawianie po sobie syfu, bo „przyjechał pan, zapłacił, to mu się należy". Albo psy... Sam podróżuję z trzema, ale dla mnie smycz to świętość. Mimo że moje psy są łagodne. ↦

Na dziko

Anna i Bartek kupili pojazd trzy lata temu. Swoje przejechał, ale daje jeszcze radę. Poważnie popsuł się tylko raz. Bartek potrafi wszystko przy nim zrobić, a że kamper w całości można rozłożyć i złożyć, przyczynę awarii znajduje bez problemu. Instalację ogrzewania też zrobił sam.

Zatrzymują się na noc, w dalszą trasę wyjeżdżają po południu. Nie chcą tracić dnia. Od rana mogą zwiedzać, plażować, kąpać się w jeziorach, w morzu, chodzić po górach i miejskich starówkach. W kamperze tylko śpią.

Unikają raczej pól kempingowych, wyznaczonych płatnych miejsc. Te potrafią być drogie. Wolą zaparkować na dziko, nieco dalej od zgiełku. W Polsce w ten sposób można się zatrzymać na noc przy dworcach kolejowych.

– Zazwyczaj szukamy też placu zabaw – mówi Ania. – To w końcu wakacje, dzieci muszą się wyszaleć. Lubimy też parki linowe.

Jeśli nie uda im się znaleźć miejsca idealnego na postój, dzieciaki kładą się spać, a Bartek wychodzi i szuka punktu, do którego można się przeparkować. Nos nigdy go nie zawodzi. Może dlatego, że niejedno w życiu poznał. Pracuje na statkach, najczęściej jako mechanik. Był już na Alasce, nie raz w głębi lądu w Stanach Zjednoczonych, przepłynął Amerykę Środkową, na Bahamach przeżył huragany. Ale Polski nie zamieniłby na inne miejsce.

– Zarabiałem na wielkim statku pasażerskim. Praca odbywała się pod głównym pokładem, dwanaście godzin dziennie, siedem dni w tygodniu – opowiada. – W czasie wolnym mogliśmy sobie wyjść, korzystać z barów, restauracji, teatru. Ale taki statek szybko się nudzi. Na pewno nie chciałbym mieszkać w Stanach. Tam na każdym kroku jest policja. Poszliśmy kiedyś z kolegą na piwo, nie było miejsc, więc przysiedliśmy na krawężniku. I zaraz pytania, co tu robimy. Niby wolny kraj, a wolności mało.

Odczep się, Polaku

Na kempingu pod Bydgoszczą nie widać, że są wakacje. Między kamperami i paroma przyczepami przestrzenie takie, że można pograć w piłkę. Ale nie gra nikt. Każdy przy swoim pojeździe: w komórce, w tablecie, w książce. Może to rozsądek, zachowanie społecznego dystansu?

> Wyrośli w smutnych czasach państwowych wakacji pod gruszą, dlatego dzisiaj **wsiąść do kampera i ruszyć** – to dla nich coś cennego.

A może pogoda? W końcu dzisiaj słońce specjalnie nie grzeje.

Kamper mógłby Polaków połączyć chociaż na wakacjach. Sprawić, że blokady i podziały znikają, liczy się tylko przygoda.

Nie zawsze się udaje. Często im dalej od granic, tym nieufność większa.

– Jest taki zwyczaj, że jak na drodze mijają się kampery, to pozdrawiamy się machnięciem ręki albo mignięciem świateł – mówi Paweł. – Ale jak jedzie na polskich rejestracjach, nie zareaguje. To mnie boli.

Kiedyś na wyboistej drodze Paweł zerwał w swoim kamperze zderzak. Jechał Polak z przyczepą – nie zatrzymał się. Pomógł mu dopiero Austriak. Innym razem, kiedy koła zapadły się w grząskim gruncie, Niemiec przyszedł z własną linką i wyciągnął z błota.

– Mój kamper specyficznie wygląda. Jest oklejony naklejkami i symbolami – opowiada Paweł. – Kiedy pojawiam się na kempingu gdzieś w Europie, od razu zbiera się grupka zainteresowanych. Polak? Rzadko albo nigdy nie zagadał. Nie wiem, z czego to wynika. Z zazdrości? Może ludziom się wydaje, że aby mieć taki kamper, muszę być bardzo bogaty?

Polskę zza kółka widać jak pod szkłem powiększającym.

– Z jednej strony fajnie, że jest tyle wyremontowanych dróg i przyjemnie się jeździ, ale z drugiej ciągle brakuje punktów serwisowania kamperów. Chodzi o miejsca do tankowania świeżej wody, wylewania zużytej i opróżniania toalety – opowiada Dawid. – Trzeba sobie wtedy radzić na własną rękę i przydaje się w tym polska zdolność do kombinowania. Dużo jest mniej lub bardziej eleganckich kempingów i pól namiotowych, sporo też fajnych miejsc do biwakowania na dziko. Jeśli ktoś bardzo boi się covida, kamper jest dla niego super rozwiązaniem. Można podróżować, a jednocześnie skutecznie się izolować.

Wypożyczeńcy w natarciu

Paweł: – Ostatnie dwa, trzy miesiące? Do caravaningu weszły osoby, które wcześniej nie miały o nim pojęcia. Kupują albo wypożyczają kampery, przyczepy. I zaczynają szpanować.

Według Pawła caravaning to nie tylko podróże, ale też dbanie o swój pojazd, często latami.

– Ludzie kupowali kampery 15-, 20-letnie, które stopniowo zmieniali w prawdziwe cacka. Takie pojazdy może na zewnątrz nie rzucają się w oczy, ale wewnątrz są wypasione. W tym roku, przez cholernego wirusa, nowiutkie kampery są sprzedawane na pniu. Powstały dziwne relacje. Między tymi, którzy przyjeżdżają swoimi zadbanymi staruszkami, a tymi, którzy niedawno wyjechali z salonu.

– Przybyło osobników, którzy biorą się za caravaning trochę na siłę, w związku z covidem – mówi Łukasz. – Ja nazywam ich „wypożyczeńcy". Nie znają zasad współżycia na kempingach, niektórzy okazują się gburami. Co ciekawe, mają takie oczekiwanie, że kamper to tania forma spędzania wolnego czasu. A to jest raczej sposób na życie. Tyczy się to zresztą nie tylko Polaków, ale też innych narodowości.

Kamil ma pojazd z długim rodowodem. Na dołkach skrzypią amortyzatory – ale za to klimat jak z filmów drogi. – My do tych z wypasionych kamperów nawet nie podchodzimy – mówi. – Od razu widać, że mają się za ważnych. Nieraz się człowiek wstydzi kiełbasę na grill położyć, bo zaraz szepczą coś na ucho. Oni przy kamperze nie jadają, wolą restauracje. Dla mnie to są, no przepraszam, snoby.

Ognisko jak stół

Paweł i Bożena się nie zrażają. Jeżdżą po Polsce i Europie, poznają ludzi podobnych do nich. Jeszcze w tym roku szykują im się grupowe spotkania. Paweł jest współorganizatorem imprez, np. wymyślił festiwal pieczonek. Każdy przywiezie swój zapas wędlin, mięsa i podzieli się nim z innymi.

– Wspólne ognisko, jak wspólny stół. Powinno ludzi łączyć – mówi.

© MARIUSZ SEPIOŁO

ANNA

Dziewit-Meller:
W korytarzu opinii

Mamo, a co to jest ambiwalencja? – pyta ciekawe świata dziecko. Tłumaczę, że to np. to uczucie, które mu towarzyszy, gdy myśli o powrocie do szkoły we wrześniu. Zarazem ciesząc się, że zobaczy kolegów, i smucąc się, że znów trzeba będzie wstawać rano i dojeżdżać na zajęcia.

To przykład stosowny dla dzieci. Ale mam i inny – dla dorosłych. Ambiwalencja to emocja, która zalewa mnie, gdy na portalu TVP Info widzę artykuł, którego autor ekscytuje się tekstem w „Le Figaro" zatytułowanym „Cenzura, groźby, przemoc – trudna wolność słowa na francuskich uniwersytetach". Pytanie o granice cenzury, także na uczelniach, dawno chodzi mi po głowie, lecz satysfakcja redakcji TVP Info wynikająca z tego, że „lewactwo" jest w stanie krytykować samo siebie (czego „prawactwo", jak wiemy, za bardzo nie potrafi), drażni mnie i irytuje. Spory wewnątrz jednej banieczki – a już osobliwie spory dotyczące takich kwestii, jak cenzura – po drugiej stronie przyjmowane są ze zrozumiałą radością.

I choć „Le Figaro" jest centrową gazetą trzymającą się bliżej prawej strony, więc w sumie nie ma co się podniecać, to wiadomo – zawsze miło zacytować zagraniczne medium o znanej marce, zwłaszcza gdy idzie o kwestie poprawności politycznej, tożsamości i lewicowej wewnętrznej cenzury, stojącej na straży godności i czci najróżniejszych wykluczonych. Naprawdę – bardzo, ale to bardzo nie chcę, by prawicowa propaganda mogła odwracać ogonem nasze koty, tymczasem czyni to z coraz większą pewnością siebie i przestaje mnie to już dziwić.

Ambiwalencja uczuć nie opuszcza mnie ostatnio na krok – bo np. zaczynam się czuć coraz bardziej niepewnie na swojej pozycji. Z jednej strony, jako kobieta żyjąca w Polsce, jestem zwolenniczką trzymania się politycznej poprawności jako pewnego skryptu ułatwiającego poruszanie się po wyboistej rzeczywistości. Z drugiej, jako, dajmy na to, osoba mająca przywilej publikowania w ogólnopolskim tygodniku – zaczynam myśleć, że może za chwilę, przez wzgląd na nowe wytyczne poprawnościowe, będę za mało wykluczona, by móc w ogóle zabierać głos.

To pułapka, z której nie bardzo umiem znaleźć wyjście. Czy raczej „korytarz opinii" – by posłużyć się tym szwedzkim określeniem (*åsiktskorridor*) oznaczającym wszystkie opinie, których nie tylko nie wypada publicznie wypowiedzieć na głos, ale również w ogóle pozwolić im przyjść do głowy. We Francji i Stanach Zjednoczonych nie od dziś głośno o coraz węższym świetle tego korytarza. Gazety – nie tylko skrajnie prawicowe – rozpisują się na temat wydarzeń takich, jak protest przeciwko profesorce cytującej na zajęciach teksty Jamesa Baldwina, w których znalazło się słowo na „n", albo francuski ruch oporu przeciwko wystawianiu „Błagalnic" Ajschylosa na Sorbonie, ponieważ reżyser spektaklu użył czarnych masek, które nakazał nosić córkom króla Danaosa. A TVP Info siedzi i pisze te swoje paski.

Zaczynam także w Polsce dostrzegać tendencję do odmawiania prawa do zmiany zdania na różne tematy, przemyślenia poglądu, reformy wewnętrznej. Rodzisz się z określoną świadomością i z nią umieraj, nikt ci nie uwierzy, żeś gotów do przemiany.

Gdy pisarz Zygmunt Miłoszewski w wywiadzie dla „Wysokich Obcasów" przyznaje się do pracy, jaką wykonał, by odnaleźć w sobie feministyczną wrażliwość, pośród komentarzy znajdują się i takie, które głoszą, że sorry, ale ten pociąg dla pana już dawno odjechał i żenująca jest taka opieszałość intelektualna, bo jak można dokonywać zmian w światopoglądzie dopiero po czterdziestce? Krótko mówiąc – daremne twoje próby, trzeba było wcześniej przejrzeć na oczy.

Czy zatem dobrze jest mieć sojuszników, czy raczej nie? Kto może być sojusznikiem różnych spraw i do jakiego stopnia? Czy można zabierać głos w sprawie nie swojej walki? Jak używać dawnych tekstów, w których znajdują się słowa dziś uznane za obraźliwe czy wykluczające? Niektórzy mówią, że z centrum widać najwięcej, ale szczerze mówiąc, ja przestaję widzieć cokolwiek, bo moja prawa i lewa strona są coraz gęściej zarośnięte transparentami. ©

REKLAMA

Sprzedaj używane książki w **Tezeuszu** – największym antykwariacie w Polsce!

Wszystko załatwimy za Ciebie

Szybka wycena książek

Miejsce na nowe książki

Recykling literatury

Działamy na terenie całego kraju! Bezpłatny dojazd i odbiór książek! Płatność gotówką przy odbiorze. Interesują nas także duże zbiory instytucjonalne, wycofywane z bibliotek. Mniejsze zbiory możesz sprzedać samodzielnie na **www.skupksiazek.pl**

tel. +48 539 915 890
kontakt@skupksiazek.pl
www.skup.tezeusz.pl

WIARA

ALE NAS ZBAW ODE ZŁEGO

Olę od małego uczono chronić się przed szatanem. Nie nauczono jednak bez niego żyć.

TEKST JOLA SZYMAŃSKA
ILUSTRACJA JOANNA RUSINEK

Do Lewiatana dalej tak średnio chodzę. Latami wierzyłam, że to imię demona. Z muzyką oswajam się bardziej. Jeśli teksty są wulgarne albo sprośne, wyłączam. Kiedyś dostałam na kartce spis wykonawców, których nie wolno słuchać: Sting, AC/DC, Pink Floyd, takie tam. Znałam zasady i widziałam wtedy w swoim życiu głęboki sens. A teraz? Zarabiam fajną kasę, mam super pracę w start-upie. Czy to jest takie fajne? – pyta Ola, wzruszając ramionami.

Tamten rozdział zamknęła trzy lata temu, ale przeszłość ciągle wraca. Wraca, gdy Ola ma katar, a mama ostrzega: „To dlatego, że mieszkasz z chłopakiem". Gdy brat zabrania jej śpiewać psalmy na swoim ślubie. Gdy tata nie mówi nic. Wróciła też na pierwszej randce z Marcinem. Kiedy rozmawiali, dostał SMS-a. Zastygł. Pokazał jej. Przeczytała: „Uważaj".

Przeszłość wraca – jakby nie wierzyła, że Ola przestała się bać.

Więcej niż inni

Pełna i praktykująca katolicką wiarę rodzina, uczestnictwo w co najmniej kilku mszach o uzdrowienie, opinia księdza proboszcza. Potem już tylko kolejka do zapisów na wstępne rekolekcje ewangelizacyjne, podpis pod regulaminem wyjazdu. I cierpliwość.

Tak można było dołączyć do wspólnoty, w której wychowała się Ola. Chyba że się w niej urodziło. Wtedy od małego rozumiesz, że pytań nie zadaje się publicznie. Że te kilkanaście rodzin to ciocie i wujkowie. Że zamiast dyskusji jest modlitwa.

I że wspólnota rozumie więcej niż „inni".

Ola czuła to od małego. Wiedziała, że dla Jezusa trzeba być lepiej i bardziej. Dziś priorytetami grupy nazwie „gorliwość" i „wymaganie od siebie". Wspomni wspólne czytanie Biblii w starogrece, której nikt na sali nie znał. I księdza, który wtajemniczał w wiedzę, jakiej „zwykły katolik" nie posiada.

Jej formacja rozpoczęła się w wieku 13 lat. Już wtedy chodziła na spotkania, wykłady teologiczne, modlitwy charyzmatyczne, a na koniec roku zdawała z nich egzaminy.

Demon agresji

Rozmowa pierwsza, mówi Ola: „Mieliśmy problemy rodzinne".

Rozmowa druga: „Tata miał problemy. Z emocjami. Bywał nerwowy, bardzo krzyczał, zdarzała się przemoc".

Rozmowa trzecia: „Bił paskiem, kijem od miotły albo od bilarda. W połowie liceum, po mojej osiemnastce, nie chciałam odkurzyć mieszkania. Kopał mnie i uderzył kilka razy". Szybko dodaje: „Ale to były takie pojedyncze sytuacje".

Wspólnota pomogła je zinterpretować. Ale na początku trzeba było zająć się tatą. Bo przestał się angażować. Kiedy po rekolekcjach spędzały z mamą godziny nad katechizmem, mówił: „Zakon sobie w domu otwierają". Mama wytłumaczyła Oli, że tata jest nerwowy, bo widzi religijność – tak samo, jak samochody psują się w drodze na rekolekcje, bo Zły nie chce, żeby dojechali. Zastanawiały się, czy ma w sobie demona agresji. Mówiono o takim na rekolekcjach.

Dzisiaj Ola uważa, że była natrętna. Mówi, że dla taty musiało być nieprzyjemne, gdy wracała z rekolekcji i próbowała go nawrócić. Z rodzeństwa była najbardziej gorliwa. Kiedy bracia grali na komputerze, ona modliła się przy zapalonej świeczce. A że obrywała najwięcej, uwierzyła, że napady taty to ataki szatana. Tak podpowiadano jej we wspólnocie.

Przemoc nie zniknęła. Ale Ola coraz sprawniej ją uzasadniała.

We wspólnocie usłyszała, że opętany nie wejdzie do pomieszczenia z solą egzorcyzmowaną. Jeszcze w gimnazjum rozsypała granulki w swoim pokoju. Ale tata wszedł spokojnie, nie wpadł w szał. Może demon był sprytniejszy od Oli? Nie takie historie słyszała.

Pamiątka z wakacji

Rodziny z dziećmi na rekolekcje jeździły zawsze w zimie (tydzień) i lecie ↦

↦ (dziesięć dni). Dzień zaczynał się modlitwą, kończył – konferencją, modlitwą i mszą. A właściwie: modlitwami po mszy, bo gdy dzieci kładziono spać, rodzice zostawali jeszcze do pierwszej w nocy.

Z takich rekolekcji prawie każdy wyjeżdżał z wodą święconą i solą. Święcono ją w kilogramach, potem mama Oli używała jej do potraw. Trzeba było pamiętać, że nie można nią solić wody na makaron – przecież po zagotowaniu taką wodę się wylewa. A niczego posolonego święconą solą nie można wyrzucić.

Ale z rekolekcji najważniejsze wynosiło się w sercu. I to miało nieść się w świat.

Latem młodzież miała własne rekolekcje. Konferencje, wykłady, modlitwy wstawiennicze o uwolnienie. Bo młodym mówiło się dużo o demonach i zagrożeniach duchowych. Kiedyś wyświetlono symbole ruchów satanistycznych i twarze muzyków rockowych. Znajoma psycholog szepnęła: „Spójrz, jakie on ma oczy. Od razu widać, że coś jest z nim nie tak". Innym razem na rekolekcjach ksiądz święcił wodę w basenie. Potem mieli się w niej kąpać opętani.

I tak przez dwa tygodnie.

Pierwszy raz

Dzieci nie chodziły na wykłady, nie zdawały egzaminów, kładły się spać wcześnie. Ale to nie tak, że to wszystko ich nie dotyczyło.

Ola miała dziewięć lat. Młodszy brat spał obok, a pościel na łóżku mamy była pusta. Na ścianie wisiał krzyż (nie pamięta, czy na krzyżu wisiał Jezus). Pamięta, że był środek nocy. Że trwały letnie rekolekcje rodzin, a tata został w domu. I że nie mogła spać. Usłyszała coś z dołu. Krzyki? Nie pamięta. Modlitwy? Może. Wyskoczyła z łóżka i wyszła na zimny, ciemnoszary korytarz. Zbiegła po schodach, dźwięki dochodziły z kaplicy. Pamięta, jak otwierała wielkie, drewniane drzwi. Pamięta kamienną podłogę pod stopami. I szeroki dywan, rozłożony przez środek, na wprost głównej nawy.

Ale najwyraźniej pamięta ludzi, leżących między ławkami. Próbowała między nimi przejść, szukając mamy. Twarz za twarzą. Ciało za ciałem. Ktoś przewrócił się przy jej ramieniu. Raz, drugi. Czy są chorzy? Ten ktoś zemdlał? Stało się coś strasznego? Pamięta, że w końcu znalazła mamę. Że mama zaprowadziła ją z powrotem do pokoju. Że rekolekcyjni wujkowie i ciocie zostali w kaplicy.

Nigdy o tym nie rozmawiały.

Niedługo po tamtej nocy jeden z wujków opowiadał o działaniu Pana Boga w jego życiu. Na środku kaplicy, przez mikrofon. I też nagle się przewrócił. Ola nie rozumiała, dlaczego tak się wujkowi dzieje. Przez kolejne kilkanaście lat widziała w kościele plucie, wymioty, jęki, wrzaski. Słyszała głos demona, który krzyczy przez wijącą się kobietę: „To ja jestem drogą, prawdą i życiem!". I raz za razem rozumiała coraz więcej.

Nauczyciele

Nastoletnia Ola wierzyła, że agresja taty to znak, że może otrzymać stygmaty. Czytała o ludziach, którzy przeżyli coś podobnego.

O ojcu Pio, włoskim stygmatyku. Potem przez kilka lat śnił jej się pies, który chce się na nią rzucić. Tak jak na zakonnika, którego w ten sposób atakował demon.

Czytała „Wyznania egzorcysty" Gabriele'a Amortha. Nasilały się jej wtedy lęki nocne i nie mogła spać, ale coraz bardziej docierała do niej powaga sytuacji.

O św. Janie Marii Vianneyu, mistyku, który chodził po barach, knajpach i potańcówkach. Kiedy ludzie tańczyli, on widział w nich demony. Po tej książce czujność Oli na muzykę bardzo się nasiliła. Zastanawiała się, jak oceniłby ją Vianney.

Stopniowo zaczęła rozumieć, że szatan jest wielką siłą, która ma do niej dostęp. I jest blisko, coraz bliżej. Nieraz widziała ludzi wrzeszczących w trakcie egzorcyzmów. Latami bała się, że sama jest zniewolona. Myślała: „a co, jeśli we mnie też coś siedzi, a o tym nie wiem?". Przecież mogła gdzieś przez przypadek posłuchać Michaela Jacksona.

Gdyby wtedy wysłuchał jej ktoś zaufany, może przyznałaby to, co mówi teraz: „Bałam się nie tylko samego szatana. Bałam się wypędzania go z mojego ciała. Spoczynków w Duchu Świętym, modlitwy wstawienniczej. Tego, że będą mnie egzorcyzmować. Tak jak innych".

Ola pamięta jedną z egzorcyzmowanych dziewczyn i trzy zupełnie różne tony jej wrzasku. Niepodobne do jej normalnego głosu. Słyszała na własne uszy, brała udział w jej uwalnianiu. Dziewczyna była jak większość egzorcyzmowanych: słuchała techno, sporo imprezowała, dużo piła. Miała lekki FAS [alkoholowy zespół płodowy – przyp. JS], ktoś w jej rodzinie się powiesił. Zniewoleni byli zwykle po przejściach.

Trzecia w nocy

– Ludzie w moim wieku uprawiali seks z przypadkowymi osobami, a ja byłam zdolna do wielkich, pięknych rzeczy – mówi Ola i patrzy mi prosto w oczy. Od małego uczono ją, że szatan działa przez ludzi, którzy są mniej religijni („a już na pewno, jeśli nie są w stanie łaski uświęcającej"). Przez seks („nie wiem jak, ale przez seks. Ogólnie. Przez seksualność"). Przez masturbację („absolutnie!").

W sprawie zagrożeń dostawała maile ze wspólnoty. O Hello Kitty, grach komputerowych. O tym, że o. Adam Szustak mówi o Harrym Potterze w swoim filmie. Tytuł maila brzmiał wtedy: „Uważajcie na ojca Szustaka".

Unikała jogi i pilatesu, bo on ponoć też taki nie za bardzo. Nigdy się nie spiła. O papierosach słyszała, że są poświęcone demonowi. Że nad każdą jedną paczką wielkie ryty są odprawiane w fabrykach. Na komputerze grała tylko w „Simsy", ale wiedziała, że są gry, które mają nazwy i fabuły podejrzane. Ponoć w jednej przy logowaniu podpisuje się dla żartu cyrograf. Była też ostrożna przy wyborze ubrań, bo zawsze gdzieś tam może być pentagram.

Bała się ataków szatana, szczególnie w nocy. Z pisma dla młodzieży „Miłujcie się" zapamiętała świadectwa zniewolonych. Bała się strasznie o trzeciej w nocy, często budziła się o tej godzinie – wtedy sataniści odprawiają swoje rytuały. To był dla niej jasny znak.

Kiedyś dostała od chrzestnej złoty pierścionek: wąż owijający się trzy razy wokół palca. Schowała go głęboko w szafce. Śniło jej się, że jest na rekolekcjach i że ktoś, kto mówi kazanie, każe jej do siebie podejść długim korytarzem i mówi: „Wyjmij rękę". Ola patrzy, a tu pierścionek na palcu. Słyszy: „To demoniczny symbol, nie powinnaś go mieć". Następnego dnia go sprzedała. Zastanawiała się tylko, czy to moralne, bo zarobiła na demonicznym przedmiocie.

Wciąż zasypiała z lękiem. Aż zrozumiała, że drogą do ukojenia jest męczeństwo. Jeśli zrobi wystarczająco dużo dobra, Pan Bóg w końcu ją zauważy.

Dowody

Na to wszystko były dowody. Co najmniej dwa.

Raz jeden ksiądz, który ma dar proroctwa, powiedział jej, że ma taki obraz („wizję w głowie"), że Ola jest na łące, zbiera kwiaty, bardzo się z nich cieszy. I że Pan Bóg by chciał, żeby się cieszyła i była wdzięczna za Jego dary. Za to, co ma. Ola poszła wtedy do ławki, uklękła, zaczęła się modlić. I nagle zaczęła ryczeć. Płakała i płakała, jak bóbr. Ten jeden raz miała silne poczucie spokoju, miłości, dobra.

Dowodem może być też ostatnie proroctwo, które usłyszała we wspólnocie. Według niego chowała się w kielichu eucharystycznym, gdy szykował się na nią jakiś duży atak. Trudno o silniejsze potwierdzenie, że całe jej życie jest duchową walką.

Męczennica

Kiedy miała 21 lat, wiedziała już, co to jest szczęście: sprzedawanie świec Caritasu pod kościołem (regularnie), prowadzenie przedszkola na oddziale onkologii dziecięcej (przez pół roku), całodobowa opieka nad umierającą na nowotwór kobietą (przez trzy miesiące, aż do jej śmierci), robienie i rozdawanie kanapek bezdomnym (co sobotę), opieka nad dziećmi z ubogich rodzin (kiedy potrzeba), wakacyjne wolontariaty w domach dziecka (dwukrotnie po trzy tygodnie), opatrywanie ran i gotowanie u sióstr misjonarek miłości od jej ukochanej świętej – Matki Teresy (kiedy się da).

Ola chciała pomagać wszystkim, wszędzie i na wszelkie sposoby. Randki też były ku temu okazją. Mówiła chłopakom o Bogu: „Fajnie, że ci się podobam, przy okazji może też opowiem ci o tym, co jest w życiu ważne".

Reagowali różnie. Jeden zaprosił ją na wieczór ze śniadaniem, bo akurat odkurzył. Wytłumaczyła mu wtedy, jakie ma wartości. Popatrzył na nią i stwierdził: „Jezu, jak ty się marnujesz". Ola zdziwiła się, że w ogóle można tak myśleć.

Innym razem starała się pomóc pijanemu mężczyźnie. Wyglądał na punka. Przewracał się na nią w tramwaju, kiedy wracała ze wspólnoty. Pomogła mu wysiąść, spytała, jak pomóc, a on, że właśnie rozstał się z dziewczyną, że życie nie ma sensu. Wzruszyła się. Odprowadziła go na dworzec, sprawdziła mu godzinę odjazdu, czekali. On zaczął ją całować. To był jej pierwszy pocałunek. Wymienili się numerami, umówili się. Dla Oli wyglądało to na idealną historię przyszłego

Wciąż zasypiała z lękiem.
Aż zrozumiała,
że drogą do ukojenia
jest męczeństwo.
Jeśli zrobi wystarczająco
dużo dobra,
Pan Bóg w końcu ją zauważy.

nawrócenia. Tylko on na umówione spotkanie nigdy nie przyszedł.

Po maturze był chłopak o osiem lat starszy. Mówił: „Piję wódkę, ale też się modlę", więc była przestrzeń na nawrócenie. Tylko kiedy zaczął naciskać na seks, Oli zrobiło się ciężko. Starała się z tego wykręcić. Usłyszała: „Oddaj Bogu co Boskie, cesarzowi co cesarskie". I odeszła.

A potem wypiła pierwsze piwo.

W kolejnym związku przyjęła zaręczyny, aby nie zranić chłopaka odmową. Znali się pięć miesięcy. Miał na imię Tomek, był gotowy zrobić dla niej wszystko i potrzebował wsparcia. Trochę było też tak, że stała się w rodzinie czarną owcą. Studia rozpoczęte, a tu ciągle nowe związki. Były też żarty, że „o, kolejny Oli chłopak". A brat z koleżanką ze wspólnoty wziął ślub w wieku 21 lat.

Kilka lat wcześniej

W wieku 16 lat Ola chciała być zakonnicą. Miała koszulkę „Pan jest pasterzem moim". Rozrysowała plan. Ferie zimowe: opieka nad bezdomnymi u sióstr misjonarek. Lato i weekendy: wolontariat, rekolekcje wspólnoty. Na szkolnych przerwach: książki religijne. Postanowiła też, że nie może marnować dłużej swojej wiedzy o zagrożeniach duchowych. Musi pomóc innym.

Okazja nadarzyła się szybko. Kiedy kolega słuchał na przerwie ciężkiej muzyki, Ola ostrzegła go: „Krzysiek, to niebezpieczne. A ty jeszcze karate kiedyś uprawiałeś". Chłopiec był przerażony, bał się opętania. Jego mama zadzwoniła do szkoły. Nastolatkę wezwała dyrekcja. Była rozmowa z księdzem, wychowawczynią.

Ola: – Usłyszałam, że mam nie straszyć, i pomyślałam, że we wspólnocie mieli rację. Uprzedzali, że ludzie tego nie rozumieją. A ja od małego widziałam, jak szatan działa.

Mdłości

Nie wiadomo, dlaczego się zatrzymała. Ani Ola, ani Tomek nigdy nie brali nikogo na stopa. Wracali z rekolekcji, na których narzeczony miał się nawrócić. Zacząć żyć jak dorosły człowiek. Znaleźć jakieś hobby, coś poza nią. Tak, żeby mogła czasem porozmawiać w cztery oczy ze współlokatorką. Tomek mieszkał osobno, ale poza pracą i snem miał tylko ją. Kiedy do Oli przyszedł nauczyciel angielskiego, Tomek czekał pod blokiem. Czekał też na uczelni, pod pracą, na zakupach. Przyjęła jego zaręczyny, bo nie chciała go skrzywdzić. Uczepiła się więc nadziei na to całe nawrócenie.

– Wtedy dotarło do mnie, że jest beznadziejnie. Mimo że modlę się, chodzę do spowiedzi, jestem animatorką we wspólnocie, robię wszystko, co powinnam. Stosuję wszystkie techniki i zasady, a zamiast cieszyć się, płaczę, nie mogę spać, mam mdłości z nerwów – mówi Ola.

Była studentką III roku psychologii – i była w szoku.

Wtedy do auta wsiadł Łukasz. A potem coś między nimi się wydarzyło. Ciężko powiedzieć co.

Ola pamięta, że Łukasz z niej zażartował, że współczuje Tomkowi jej charakteru. Bo Tomek wyszedł na delikatnego, cichego gościa, a ona na tę odważniejszą. Strasznie się wkurzyła, ale wzięła numer, bo okazał się zakonnikiem. To od ojca Łukasza po raz pierwszy w życiu usłyszała, że robi za dużo. Za dużo praktyk, pompejanek, charyzmatycznych odjazdów. I jeszcze to pytanie: „Może terapia?".

A potem zerwała zaręczyny.

Egoistka

„Terapia" – to brzmiało jak porażka. Ola studiowała psychologię, bo chciała pomagać ludziom. Znała możliwości, ale nie myślała nigdy, że może ich ↦

potrzebować. Przecież pomocy potrzebują ci, którzy sobie nie radzą. A ona? Ona wie, dokąd zmierza, jak należy. Nie rozumiała tylko smutku, rozdarcia i bezradności. Czy to droga do Boga? Może to dobrze, że jest szczęśliwa tylko wtedy, kiedy zapomina o sobie? Może tak właśnie powinno być.

Obiecywano jej, że będzie szczęśliwa i spokojna. A było coraz gorzej. Dlatego poszła na terapię. Dopiero na niej dowiedziała się, że nie musi być święta.

Dwa lata psychoterapii to dla Oli także inne wnioski. Pierwszy: „modlitwa i rekolekcje nie wystarczą, żeby być szczęśliwym". Drugi: „praktyki religijne nie naprawią związku". Trzeci: „w odpoczywaniu i przyjemności nie ma niczego złego". Czwarty: „życie z kimś, kogo kocham, wcale mnie nie przekreśla". Piąty: „liczą się nie tylko zasady i reguły, ale też moje pragnienia i potrzeby". I szósty: „to, czego uczono mnie we wspólnocie, nie jest dla mnie dobre".

W ten ostatni najtrudniej było jej uwierzyć.

– Stałam się egoistką – mówi dzisiaj. – Moim wierzącym przyjaciółkom, które angażują się w pomaganie i wspieranie innych, mówię „weź, zadbaj też o siebie". To nie egoizm? No, może. Ale dziś jestem uparta, a byłam altruistką.

Kiedyś myślała, że musi kochać. To znaczy, być zawsze cierpliwa, spokojna, pomagać innym, żeby było im lepiej. Dzisiaj kocha narzeczonego i siebie, a kiedy kolega w pracy zrobi coś głupiego, nie martwi się o niego za bardzo. Kiedyś „dobro" rozumiała jako działanie zgodne z określonymi zasadami. Dziś nie wie do końca, czym dobro jest.

Kiedyś poprosiłaby gości weselnych o darowizny na przybory szkolne dla dzieci w Tanzanii. Dziś, zamiast tego, zbiera z narzeczonym pieniądze na własny dom. I rasowe ragdolle, bo są piękne i spokojne. Dawniej wzięłaby na pewno kota ze schroniska.

Czarodzieje

Ola poznała Marcina na początku terapii. Coraz rzadziej zdarza się jej uciekać. Ucieczki to takie momenty, kiedy zaczynają być blisko i coś jej się przypomina. Zaczyna się modlić i płakać, nagle chce iść do kościoła, mimo że jest środek tygodnia. Chce natychmiast odmawiać różaniec. I musi się uspokoić. Przypomnieć sobie, że wcale nie chce tego wszystkiego robić. Że to nie jej pragnienia, tylko stare mechanizmy reakcji na lęk. Z dnia na dzień boi się coraz mniej. Chyba że trafi na jakiś film z czarodziejami.

Ostatnio widziała taki fragment. Kilka osób na ekranie stało w kółku i nagle wstąpił w kogoś szatan. Usłyszała własny krzyk i płacz, a potem cały wieczór wracała do siebie.

Ola: – Ja wciąż nie wiem, czy to wszystko było prawdziwe. Nie wiem nawet, czy wierzę w egzorcyzmy i szatana. To było cały czas tuż obok mnie, a teraz tego nie widzę. I nie wiem, może nie widzę, bo na to nie patrzę? Czy ta rzeczywistość jest tak blisko, jak mi się wydawało? Nie poukładałam sobie tego. Nie wiem, jak szatan funkcjonuje w obecnym świecie.

Ola wie, że już go na co dzień nie czuje. A to bardzo dużo.

Czasem marzy o kawie z koleżanką, która uciekła ze wspólnoty zaraz przed nią. I słyszy w głowie słowa księdza-lidera: „Nie wszyscy tu będą dłużej, nie każdemu wystarczy gorliwości".

– To o nas. O dzieciach. Dlatego chciałabym z nią porozmawiać, dowiedzieć się, przez co musiała przejść. Może dalej jest gorliwa, ale inaczej? Bo ja, mimo że tak ciężko było mi się z tego wyplątać, i tak tęsknię. Brakuje mi tej duchowości – mówi.

Ale wracać nie chce.

Nieprawda

Ola i Marcin za miesiąc biorą ślub.

Przyjaciel Marcina, kiedy poznał Olę, powiedział, że to, co o niej wcześniej słyszał, to nieprawda. I przytulił ją.

Bliscy Oli mają obawy, ale cieszą się, że ślub będzie sakramentem.

Ola myśli często o spowiedzi przedślubnej. Boi się jej.

Ma 26 lat i po raz kolejny zaczyna nowe życie.

© JOLA SZYMAŃSKA

Imiona bohaterów zostały zmienione. Grupa modlitewna, do której wciąż należy rodzina Oli, jest oficjalną katolicką wspólnotą. Nie podajemy jej nazwy ze względu na ochronę tożsamości bohaterki. Działa w kilku dużych polskich miastach.

weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego", zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: **zamowienia@tygodnik.com.pl**, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 dowolnych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

* Cena pojedynczego wydania w tej ofercie – 15 zł.

W ofercie można zamówić następujące tytuły wydań specjalnych „TP": „Do Betlejem!", „Moc czytania", „Polska żydowska", „Smak wolności", „Zwierzenia zwierząt", „Halo, tu Ziemia", „Moc kobiet".

TYGODNIK POWSZECHNY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Nieuchwytna relacja

PIOTR SIKORA

Czy da się być człowiekiem moralnym, nie wierząc w Boga? Każda jednoznaczna odpowiedź na to pytanie uwikłana jest w doniosłe problemy filozoficzne.

Jeden z największych światowych ośrodków badawczych, amerykański Pew Research Center, opublikował wyniki ankiet przeprowadzonych w 2019 r. Kilkudziesięciu tysiącom ludzi z 34 krajów zadano pytanie: „Czy wiara w Boga jest konieczna, by być człowiekiem moralnym oraz posiadać właściwe wartości?". Ogółem 45 proc. badanych odpowiedziało, że tak, 51 proc. – nie.

Pomiędzy poszczególnymi krajami występują oczywiście różnice. Konieczny związek pomiędzy wiarą w Boga a moralnością widzi 96 proc. Indonezyjczyków i Filipińczyków, 95 proc. Kenijczyków, a tylko co dziesiąty Szwed. Nie widzi takiego związku także ośmiu na dziesięciu Australijczyków, Francuzów i Czechów. Afryka, Azja i Ameryka Łacińska postrzega związek między wiarą a moralnością znacznie silniej niż Ameryka Północna oraz (tym bardziej) Europa.

Jeśli prześledzi się jednocześnie wyniki badań nad poziomem religijności, to widać, że w krajach, w których ludzie częściej deklarują, iż Bóg i religia odgrywają w ich życiu ważną rolę, większa populacja widzi wiarę jako warunek bycia moralnym. Jednakże ostatni raport sugeruje (bo nie przedstawiono danych szczegółowych z poszczególnych państw), że średnio jedna czwarta ludzi deklarujących się jako religijni wspomnianego związku nie widzi.

Korelacja – tym razem odwrotna – istnieje także pomiędzy odpowiedzią pozytywną a dobrobytem ekonomicznym: im społeczeństwo zamożniejsze, tym więcej ludzi nie postrzega wiary jako koniecznego warunku moralności. Istotnym czynnikiem różnicującym jest też w większości badanych krajów (24 na 34) edukacja. Ludzie mniej wyedukowani są częściej skłonni widzieć konieczny związek między wiarą a byciem moralnym.

Na całym świecie, wewnątrz niemal każdego kraju, można zauważyć prawidłowość związaną z wiekiem osób udzielających odpowiedzi. Starsi częściej od młodszych uważają, że wiara jest konieczna, by być moralnym. Chociaż także różnice międzypokoleniowe są większe bądź mniejsze w różnych krajach. W Korei Południowej, Grecji czy Argentynie to ponad 30 punktów procentowych, a w Indiach, Nigerii i Szwecji – około pięciu.

Jak na tym tle wygląda Polska? Można powiedzieć, że jesteśmy w tej kwestii średniakami europejskimi. 36 proc. Polaków twierdzi, że wiara jest konieczna, by być moralnym, a 62 proc. neguje istnienie tego związku. Spora jest jednak różnica międzypokoleniowa. W grupie tych, co przeżyli już połowę wieku, 46 proc. odpowiedziało twierdząco na zadane pytanie. Wśród trzydziesto- i czterdziestolatków takich osób jest 28 proc., a w grupie wiekowej 18-29 lat – 26 proc. Gdy chodzi o edukację, to w Polsce badacze za granicę pomiędzy mniej i bardziej wyedukowanymi przyjęli maturę. Odsetek tych, którzy widzieli związek między religią i moralnością, był o 14 punktów procentowych niższy w grupie osób, które kontynuowały edukację po maturze.

Złudzenie prostego wyjaśnienia

Pobieżna analiza narzuca dość prostą interpretację: bieda i brak wykształcenia sprzyjają dostrzeganiu nieistniejących związków; większy kapitał kulturowy pozwala bardziej adekwatnie rozumieć rzeczywistość. Jednak próbując dogłębnie zrozumieć wyniki badań – oraz sam postawiony problem – trzeba obraz skomplikować. Pytanie zadane przez badaczy nie jest bowiem, wbrew pozorom, jednoznaczne, a przynajmniej – może być bardzo różnie rozumiane.

Po pierwsze, choć pytanie ma ogólną formułę – wydaje się dotyczyć powszechnej zależności – można je także odczytywać z osobistej perspektywy: czy dla mnie wiara w Boga jest konieczna do bycia moralnym? Z raportu nie wynika, czy w badaniu brano pod uwagę to rozróżnienie. A warto by było, ktoś mógłby bowiem uważać, że dla niego osobiście istnieje konieczny związek pomiędzy wiarą a zachowaniem moralnym, nawet jeśli dopuszczałby, że w przypadku innych owego koniecznego związku nie ma.

Uwzględnienie tej osobistej perspektywy może wyjaśniać niektóre zależności pomiędzy odpowiedzią twierdzącą a religijnością i wykształceniem. Oczywiste jest, dlaczego ludzie niereligijni nie postrzegają wiary w Boga jako koniecznego warunku bycia moralnym – jako niewierzący musieliby sami siebie uznać za niemoralnych. Ponieważ zaś określenie „niemoralny" jest pejoratywne, niewielu ludzi jest gotowych się tak nazwać.

Osobista perspektywa jest zapewne nie bez znaczenia także w przypadku ludzi religijnych. Jeśli w czyimś osobistym oglądzie świata Bóg stanowi – z definicji – źródło wszelkich wartości, to takiemu człowiekowi może być trudno wyobrazić sobie obraz świata, w którym istnieją obiektywne kryteria dobra i zła, niezakorzenione w Bogu.

Tu oczywiście pojawia się pytanie: czy człowiek religijny nie może sobie wyobrazić osoby, która zachowuje się moralnie, pomimo tego, że jej obraz świata nie posiada jawnych kryteriów dobra i zła? Zapewne może. Zauważmy jednak, że pytanie zadawane badanym miało dwie części: dotyczyło nie tylko tego, czy wiara jest konieczna, by być moralnym, ale też, czy jest konieczna, by mieć właściwe wartości. Pytanie łączyło w sobie dwa mniejsze, pomiędzy którymi istnieją skomplikowane zależności.

Czym jest moralność

Co to bowiem znaczy: być człowiekiem moralnym? Czy wystarczy zachowywać się zgodnie z pewnymi etycznymi regułami, nawet jeśli nie posiada się jasnej świadomości tych reguł i/lub nie potrafi się uzasadnić ich obowiązywalności? Jeśli tak, to rzeczywiście, prosta obserwacja zachowania otaczających nas ludzi pozwala ocenić, czy ktoś jest człowiekiem moralnym. Jeśli dana osoba nie łamie przyjętych etycznych reguł, a deklaruje się np. jako ateista (a takie łatwo znaleźć) – należy zaprzeczyć, by wiara w Boga była koniecznym warunkiem moralności. ↦

↦ Ograniczenie moralności do zachowania zgodnie z przyjętymi regułami ma jednak tę wadę, że czyni z etyki zagadnienie „mechaniczne". W takiej perspektywie roboty są bytami moralnymi, jeśli tylko działają zgodnie z programem obejmującym komendy w rodzaju „zaprzestań działania, które czyni fizyczną krzywdę człowiekowi" – nawet jeśli owe roboty nie posiadają ani ogólnej idei dobra i zła, ani samoświadomości, ani nie są zdolne do współczucia. Podobnie za moralnych należy uznać ludzi, którzy nie łamią (jak dotąd nie łamali) przyjętych w danej społeczności reguł etycznych tylko z powodów konformistycznych, nie widząc w nich jednak żadnego dobra i będąc gotowymi do ich złamania, gdy tylko to im się jakoś opłaci.

Istnieją poważne argumenty filozoficzne przeciwko takiemu ujęciu moralności, jako zbyt redukcjonistycznemu. Wedle jego krytyków, np. Józefa Tischnera, do tego, by dany czyn miał wartość moralną, jego podmiot musi posiadać pewne doświadczenie czy też przeżycie dobra (wartości), które ów czyn realizuje. Musi więc posiadać ogólne pojęcie dobra i zła, którego dana wartość, realizowana przez konkretne postępowanie, jest szczegółowym przypadkiem.

W takiej perspektywie bycie człowiekiem moralnym i posiadanie właściwych wartości okazują się ściśle ze sobą związane. Prosta obserwacja zachowania nie pozwala na ocenę, czy dana osoba jest moralna, czy nie. Kwestia normatywnych aspektów jej obrazu świata zaczyna odgrywać istotną rolę. A wówczas powraca kwestia Boga – i to nie tylko w mniemaniu ludzi niewykształconych.

Absolutny horyzont

„Jeśli Boga nie ma, wszystko jest dozwolone" – nihilistyczne hasło Smierdiakowa z „Braci Karamazow" współgra z dokonywanym raz po raz przez samego Nietzschego wyjaśnieniem okrzyku „Bóg umarł! Bóg nie żyje! Myśmy go zabili!" – jaki w „Wiedzy radosnej" wznosi człowiek oszalały. To Leszek Kołakowski argumentował, iż wspomniane literackie intuicje mają podstawy logiczne. Dowodził, że jeśli odrzucimy absolutnego Boga, to rzeczywiście „zmażemy widnokrąg" (jak poetycko ujął to Nietzsche), czyli staniemy przed poważnym problemem uzasadnienia obiektywnego charakteru dobra i zła.

To nie tylko ludziom religijnym i niewykształconym, którzy mają trudność z wyobrażeniem sobie innej niż własna poznawczej perspektywy, wiara w Boga zaczyna jawić się jako warunek posiadania jakichkolwiek – a więc i właściwych – wartości, a zatem jako warunek bycia podmiotem faktycznie moralnym, a nie tylko mechanicznie stosującym społecznie narzucane reguły zachowania.

Rozumowanie Kołakowskiego, jak większość argumentacji filozoficznych, nie ma takiego charakteru, który by przekonywał wszystkich ludzi myślących. Jednym z powodów tego stanu rzeczy jest niejasność i wieloznaczność innych kluczowych pojęć, także tych użytych przez badaczy Pew Research Center.

W tym miejscu ujawnia się zatem kolejna niejasność i wieloznaczność pytania postawionego w badaniu. Nawet pobieżne zaznajomienie się z różnorodnością religii świata pozwala dostrzec, że pomysł, iż wszyscy ludzie tak samo zrozumieją pojęcie wiary w Boga, jest złudzeniem.

Między bogiem a Bogiem

W wielu tradycjach religijnych, zwłaszcza spoza kręgu trzech religii monoteistycznych – judaizmu, chrześcijaństwa i islamu – kategoria wiary pełni rolę marginalną albo wcale nie występuje. Nawet jednak tam, gdzie jest ona centralna, można ją rozumieć bardzo różnie. Dla jednych będzie ona intelektualnym przyjęciem pewnych poglądów, dla innych zaś fundamentalną opcją życiową. Jeszcze inni za autentyczną wiarę uznają rzeczywistą relację z rzeczywistością boską, dającą egzystencjalne doświadczenie.

Jeszcze bardziej wieloznaczne jest pojęcie Boga. Możliwe różnice, istotne w kontekście pytania o związki między wiarą w Boga a moralnością, można zilustrować odwołując się do myśli Platona. Wykorzystywał on mitologiczne motywy, które dobrze pokazują, jak ludzie mogą myśleć o Bogu. W dialogu „Timajos" wprowadza postać boga-demiurga – twórcy świata. Istotne jest to, że demiurg tworzy świat na wzór idei istniejących niezależnie od niego. W dialogu „Fajdros" Platon przedstawia obraz bogów olimpijskich, którzy zachowują swój boski status dzięki kontemplacji świata idei, z najwyższą ideą dobra-piękna na czele.

W obu dialogach istnieją postacie nazywane bogami, posiadające charakter – by

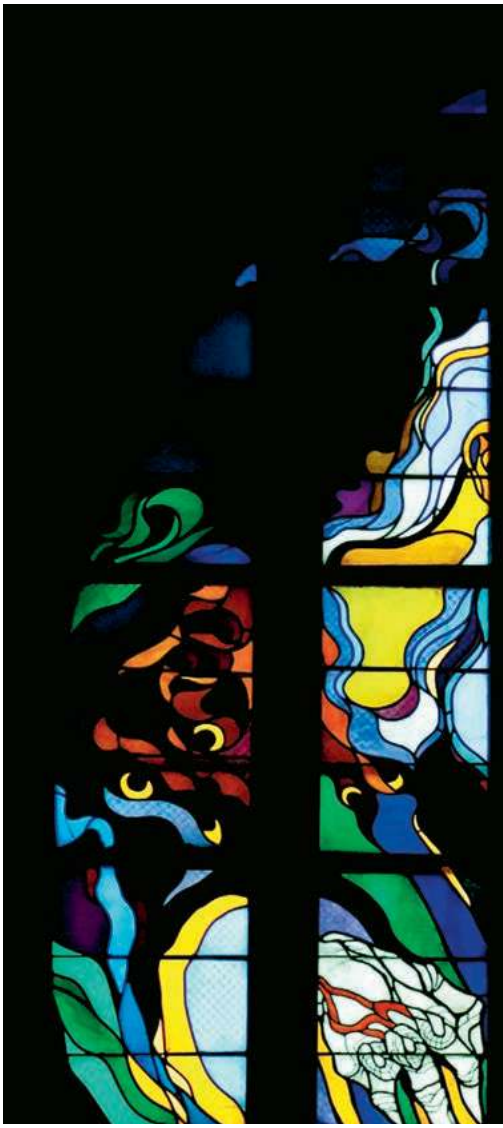

tak rzec – osobowy. Zwłaszcza demiurg z „Timajosa" jako twórca świata dobrze nadaje się do roli, którą zwykle przypisujemy w religii Bogu. Jednak ani on, ani olimpijscy bogowie z „Fajdrosa" nie są bytem najwyższym, absolutnym. Jego miejsce zajmuje „istota istotnie istniejąca", czyli idea dobra-piękna. To relacja z tą Rzeczywistością, uczestnictwo w niej, nadaje jakąkolwiek wartość działaniom i rzeczom – całej pozostałej rzeczywistości. Platon jest jednak świadomy, że może ona pełnić swoją rolę – zwornika wszystkiego, co jest i ma wartość – tylko za cenę pozbawienia cech antropomorficznych – jako absolutna, staje się też absolutnie niewyrażalna.

To, co Platon rozdziela w swoich mitologiczno-filozoficznych dziełach, czyli antropomorficznie ujętych bogów i niewyrażalne absolutne dobro-piękno-byt, tradycje religijne wyrosłe z religii Izraela usi-

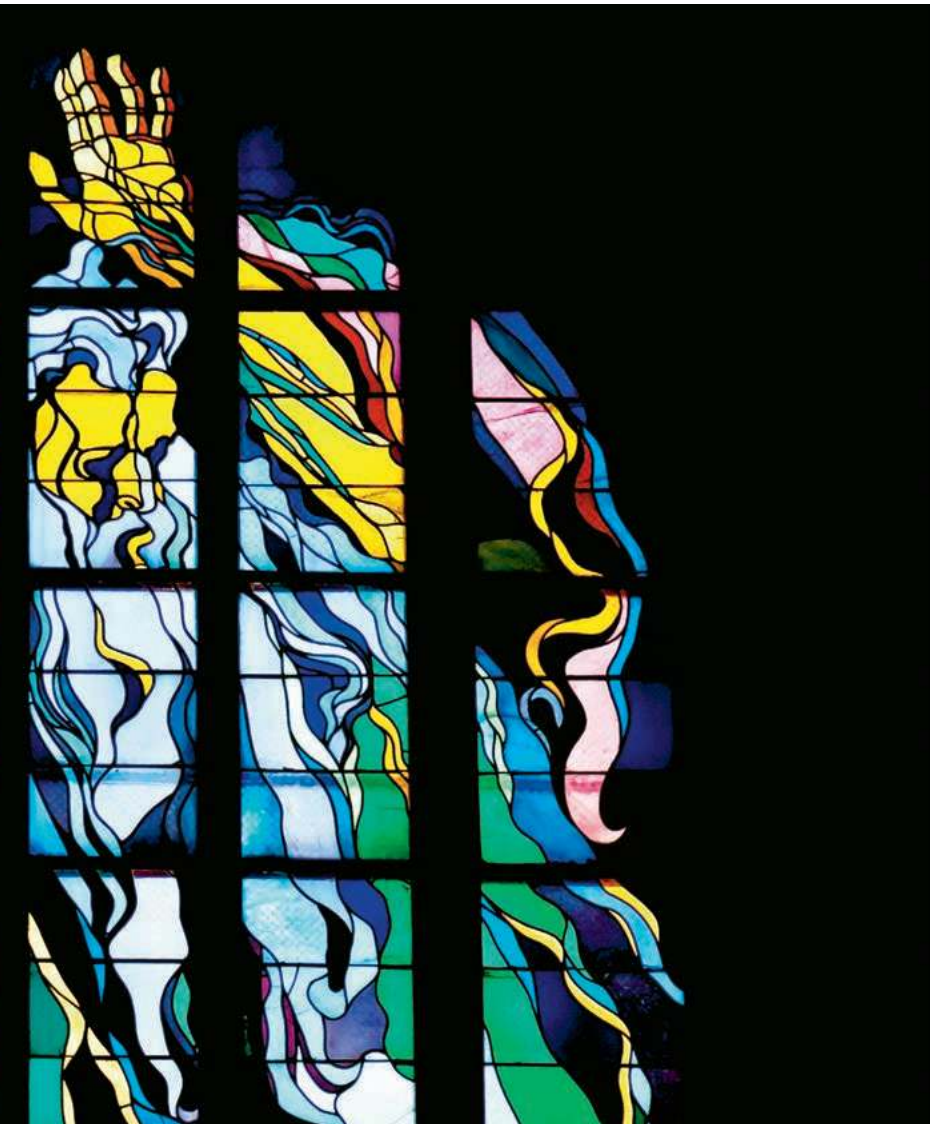

PIOTR WOJNAROWSKI / FORUM

Witraż „Bóg Ojciec” w bazylice oo. Franciszkanów w Krakowie

łują zintegrować w idei absolutnego Boga – Stwórcy (nie: twórcy) świata. Z punktu widzenia dojrzałej religijności jest to posunięcie jak najbardziej uzasadnione – bezpośredni cel dążeń religijnych (czyli Bóg) powinien mieć charakter absolutny. Bogowie, którzy absolutni nie są, nie zasługują na religijną cześć ani nawet na zainteresowanie.

Platon też miał tę świadomość – jego osobista religia (wiara religijna?) to związek nie tyle z bogami, co dążenie do coraz głębszego uczestnictwa w absolutnym dobru-pięknie. Niestety, utrzymanie takiej postaci religijnego dążenia (wiary?) nie jest łatwe. Absolutne dobro-piękno wymyka się naszemu poznaniu i naturalnej tendencji do antropomorfizacji przedmiotu religijnej wiary. Prawdopodobnie liczni wyznawcy religii abrahamicznych *de facto* w swoim myśleniu rozdzielają antropomorficznie pojętego Boga (boga?) i świat absolutnych idei-wartości, jak dobro i piękno. Dzieje się tak za każdym razem, gdy ktoś zastanawia się, czy Bóg, który dopuścił do cierpienia niewinnych, jest dobry i wszechmocny, albo gdy jako sensowne pojawia się w naszym umyśle pytanie z Platońskiego „Eutyfrona”: czy coś jest dobre, bo Bóg tego chce, czy też raczej Bóg czegoś chce, bo to jest dobre?

Ostatnie pytanie sprowadza nas z powrotem do wyjściowej kwestii: czy wiara w Boga jest koniecznym warunkiem, by być człowiekiem moralnym i posiadać właściwe wartości? Stawiam tu hipotezę, że jeśli jest to wiara w Boga (boga?) jakoś antropomorficznie ujętego w konkretnej doktrynie określonej tradycji religijnej, to odpowiedź powinna być negatywna. Jeśli jednak uznamy, że pytanie dotyczy żywej egzystencjalnie relacji do absolutnego – a więc wyraźnie nieuchwytnego – horyzontu dobra-piękna, to należałoby raczej skłaniać się ku odpowiedzi pozytywnej.

Polityczna instrumentalizacja i nihilizm

Jeśli mam rację, z tych skomplikowanych rozważań płynie ważna społecznie nauka. Stwierdzenie, że wiara w Boga jest koniecznym warunkiem bycia moralnym, może być – i jest – wykorzystywane politycznie. Wystarczy uznać pewną religijną tradycję za ideowy fundament politycznej wspólnoty, a wówczas można wszystkich, którzy do owej tradycji nie przynależą, uznać za niemoralnych. Taka negatywna ocena może stanowić podstawę wykluczenia ze wspólnoty lub przynajmniej uzasadnienie dyskryminacji.

Takie postępowanie – choć często ma miejsce – jest intelektualnie bezpodstawne. Usiłuje bowiem jako konieczny warunek moralności przedstawić jakąś konkretną wiarę, a więc wiarę w określony, najczęściej antropomorficzny, obraz Boga. Żadna taka wiara nie jest jednak koniecznym warunkiem bycia człowiekiem moralnym.

Z zupełnie inną sytuacją mamy do czynienia, gdy łączymy kwestię moralności z „wiarą w Boga” rozumianą jako uznanie i doświadczenie absolutnego horyzontu dobra-piękna jako tła naszego istnienia i działania. Horyzont ten zawsze wymyka się poszczególnym próbom jego ujęcia. Świadomość tego nie pozwala na monopolizację moralności przez żadną wspólnotę czy tradycję. Wyznacza jednak warunek bycia człowiekiem moralnym: nie może nim być ktoś, kto nie widzi żadnego horyzontu dobra, który przekraczałby jego indywidualną perspektywę albo perspektywę grupy, do której należy, i kto dostrzega jedynie instrumentalną naturę wszelkich zasad postępowania jako narzędzi do zaspokajania własnych, pojawiających się w danym momencie, egocentrycznych potrzeb. Człowieka takiego można by nazwać konsekwentnym nihilistą.

Tego, że nihilizm jest poglądem fałszywym, nie da się jednak udowodnić. Potrzebny jest tu rodzaj wiary. Wiary, która najprawdopodobniej jest warunkiem moralności.

©℗ PIOTR SIKORA

JACEK ZELEK / WYDAWNICTWO TYNIEC / MATERIAŁY PRASOWE

Siostra Małgorzata Borkowska, 2018 r.

Wiara dla dorosłych

MACIEJ MÜLLER

Mrówka wędrująca po ludzkiej dłoni widzi naraz centymetr kwadratowy. Podobnie wygląda poznawanie Boga przez człowieka – pisze siostra Małgorzata Borkowska.

Jest oczywiście zasadnicza różnica: „mrówkę człowiek strząsa, a człowieka Bóg prowadzi, aż w końcu doprowadzi tam, gdzie poznanie Go będzie już możliwe". W książce „Po śladach Niewidzialnego" benedyktynka z Żarnowca zawarła kilka rad, jak ten czas poszukiwań przetrwać.

Ostatnie dwa lata od wydania głośnej „Oślicy Balaama" s. Małgorzata Borkowska spędziła na działalności kaznodziejskiej. Konferencje wygłaszała przed audytoriami świeckich i duchownych – co jest krzepiące, bo wymieniona pozycja to jadowita krytyka klerykalizmu, księżowskiej pychy i niedokształcenia. Skoro księża chcą s. Borkowskiej słuchać, może coś w polskim Kościele drgnie?

Milczący przyjaciel

W wydanej właśnie w Tyńcu książce zebrano plon tych kaznodziejskich podróży. Siostra Borkowska, znakomita teolożka i historyczka, mniej uwagi tym razem poświęca Kościołowi, skupiając się na samym Bogu. Opowiada o wierze, w której Jezus nie jest naszym przyjacielem. Albo inaczej: jest, ale nie w taki sposób, jak byśmy chcieli. Jezus to taki przyjaciel, który lubi sobie z nami pomilczeć. Do tego stopnia, że przez całe życie możemy nie doświadczyć żadnego namacalnego dowodu Jego przywiązania ani nawet obecności. I tak ma być – mówi s. Borkowska. „Jeśli odbierasz to jako pustkę, nic nie szkodzi: to po prostu skutek twojej ludzkiej kondycji, prawda o tobie, a prawda zawsze jest lepsza niż wyobraźnia" – tak zakonnica wyjaśnia sens Bożych słów: „wystarczy ci Mojej łaski".

Bóg nie musi udowadniać się ludziom. „Bóg nie ma obowiązku uwzględniać naszych gustów. Bogu nie stawia się warunków. Bogu trzeba zaufać w ciemno" – mówi bez ogródek benedyktynka. I wyjaśnia, z czego wynika ta radykalna asy-

metria w relacji Boga i człowieka. „Nie żyjemy dla siebie, tylko dla Boga; w świecie stworzonym przez Niego, nie przez nas; dla Jego celów, nie dla naszych. (...) Póki o tym nie chcemy wiedzieć, nigdy w nim nie znajdziemy żadnego sensu”.

Mimo swojej niewidzialności i milczenia, Bóg idzie obok nas przez całe życie. Tę drogę to odróżnia od pielgrzymki, że jest ona jednocześnie celem. „Nie szukałbyś mnie, gdybyś mnie już nie znalazł” – przypomina Borkowska słowa, które przypisał Jezusowi Pascal. I tłumaczy: „Są stopnie dążenia, ale nawet najniższy z nich jest już dojściem”. Jak może wyglądać któryś z wyższych stopni? Może tak, jak w duchowości św. Ludwiki de Marillac, która „potrafiła modlić się, by Chrystus odebrał jej nie tylko odczuwalną pociechę swojej obecności, ale nawet w jakimś sensie i samą obecność, jeżeli to jest warunek ukochania Go już nie cząstkową ludzką miłością, lecz w Duchu Świętym”. Przy czym od Ducha Świętego założycielka Sióstr Miłosierdzia też nie oczekiwała udowadniania się przez charyzmaty czy jakiekolwiek inne znaki. Nie chodziło jej o przejawy mocy Boga, ale o Boga samego.

Szukanie Boga musi odbywać się na Bożych warunkach. On zaś chciał, by ta droga biegła przez wiarę, a nie przez widzenie. Na szczęście ten, kto zawierzył Bogu, „na wzór Syna Bożego ma prawo spodziewać się radości u kresu drogi, chociaż oczywiście niekoniecznie przyjemności na wszystkich kolejnych etapach”.

Ile warte jest ludzkie „spodziewanie się”, pokazuje s. Borkowska na przykładzie uczniów idących do Emaus. Jezus – pisze zakonnica – musiał być nieźle ubawiony słuchając, jak ci dowodzą, że On na pewno nie żyje. To boskie poczucie humoru może się wydać trudne do przyjęcia, ale ostatecznie to Chrystus miał w tym sporze rację. A to, że jego właśni uczniowie w ciągu kilkunastu godzin zwątpili we wszystko, co im zapowiadał, nie miało wpływu na to, że ich zbawił. Razem z faryzeuszami i Rzymianami, bo przecież „nie wiedzieli, co czynili”.

Na końcu przyjdzie zrozumienie

Myśli s. Borkowskiej płyną z teologicznego ujęcia, w którym Bóg stwarza wszechświat nie dla nas, lecz dla siebie, dla wyrażenia miłości między Osobami Trójcy. A ludzkość „została stworzona po to, żeby Syn mógł ją, niejako po drodze, wciągnąć w tę szaleńczą miłość”. Jaka rola pozostaje w tym dla nas? „Dostaliśmy świat materialny, który poprzez swoje skomplikowanie i mnóstwo stwarzanych potrzeb dostarcza nam wciąż okazji do świadczenia sobie nawzajem miłości” – wyjaśnia benedyktynka.

Dojrzała wiara musi zostać oczyszczona z wszelkich ziemskich oczekiwań i wyobrażeń – inaczej albo będziemy się coraz bardziej frustrować brakiem odpowiedzi od Boga, albo popadać w religijność, którą ks. Tomáš Halík nazwał kiedyś zorganizowanym entuzjazmem dla Chrystusa. I uzależniać tym samym wiarę od silnych emocji i podejrzanych objawień. „Gdzie nie ma sensu Go szukać? W krzyku, w tłumie, choćby i tłumie złożonym z chrześcijan, ale zebranym po to tylko, żeby zaliczyć masowe religijne przeżycie” – przestrzega s. Borkowska. Emocje mogą być potrzebne na samym początku odkrycia w swoim życiu Chrystusa, tylko co wtedy, gdy wygasną? „Prawdziwa miłość do Boga nie jest wtedy, kiedy czujemy, że kochamy” – podkreśla zakonnica, przypominając słowa Chrystusa: „kto ma przykazania moje i zachowuje je, ten Mnie miłuje” (J 14, 21). I dodaje: „Nigdy nie nauczymy się wierności, jeśli nie będziemy musieli praktykować jej bez uczuciowego motoru i bez uczuciowej nagrody (...). Zostajemy w uczuciowej pustce nieraz na długie lata. I to nie jest kara, ale szansa”.

Po śmierci wszystkie te dylematy, wysiłki i dociekania staną się zupełnie nieważne. Bo wtedy – pisze s. Borkowska – „Bóg zajmie całą naszą zachwyconą uwagę i nie będziemy jej marnować na siebie i swoje osiągnięcia. Wtedy wiarę, konieczną tu na ziemi jako paszport do raju, zastąpi pełne widzenie i zrozumienie”. ©℗

Małgorzata Borkowska OSB
PO ŚLADACH NIEWIDZIALNEGO. KONFERENCJE I ARTYKUŁY
Tyniec 2020

#łąka powszechna

Pokażcie nam swoją Łąkę!

Toruń, Wieliczka, Kraków, Gdańsk, Sulejówek, Gdynia, Ełk, Chomętowo, Lublin, Białystok, Grudziądz, Rzeszów, Piaseczno i Kocmyrzów-Luborzyca oraz Warszawa – to tylko niektóre miejscowości, gdzie wzrastają Państwa Łąki Powszechne.

Pokażcie nam, gdzie jeszcze wysialiście swoje nasiona; zróbcie zdjęcie rosnących kwiatów i oznaczcie się na FB lub Instagramie hasztagiem #lakapowszechna wraz z nazwą miejscowości lub adresem GPS albo wyślijcie na adres laka@tygodnikpowszechny.pl
Stwórzmy razem mapę naszej wspólnej łąki – niech zakwitnie!

Mieszankę nasion *Łąki Powszechnej* stworzyła Pani Łąka / panilaka.pl – profesjonalny sklep z autorskimi mieszankami nasion łąk kwietnych

pani łąka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

NATALIA FEDOSENKO / TASS / FORUM

TRIO KONTRA DYKTATOR

Twarzą opozycji białoruskiej przeciw Alaksandrowi Łukaszence stały się trzy kobiety. Choć wiadomo, kto ogłosi się zwycięzcą wyborów prezydenckich, najciekawsze rozegra się po ich zakończeniu.

WOJCIECH KONOŃCZUK

Wiec poparcia dla kandydatki na prezydenta Swiatłany Cichanouskiej. Borysów, Białoruś, 23 lipca 2020 r.

Już kilka miesięcy temu stało się jasne, że tegoroczne wybory prezydenckie na Białorusi – rozpisane na niedzielę 9 sierpnia – będą inne niż wszystkie wcześniejsze.

Najpierw władze w Mińsku demonstracyjnie zbagatelizowały koronawirusa, co sprawiło, że Białoruś jest jednym z najbardziej dotkniętych epidemią krajów w Europie. W połączeniu z kryzysem gospodarczym przyczyniło się to do precedensowego wzrostu niechęci wobec urzędującego od 1994 r. prezydenta Alaksandra Łukaszenki. Białorusini zaczęli ustawiać się w kilometrowych kolejkach, aby podpisać się na listach poparcia dla jego rywali.

Żaden z głównych przeciwników Łukaszenki nie miał wcześniej doświadczenia politycznego. Siarhiej Cichanouski jest blogerem, Wiktar Babaryka do niedawna był szefem jednego z dużych banków, a Waleryj Cepkała to były dyplomata i twórca Parku Wysokich Technologii pod Mińskiem. Niespodzianką nie było natomiast, że w rozpoczętej rozgrywce nie liczyła się „stara" opozycja antyłukaszenkowska, tradycyjnie podzielona i niepopularna.

Cuda i represje

Władze najszybciej doceniły przeciwnika w charyzmatycznym Cichanouskim: bloger trafił na kilka dni do aresztu, pod wydumanym pretekstem, co uniemożliwiło mu zarejestrowanie swojej grupy inicjatywnej. Udało się to jednak jego żonie Swiatłanie, która ogłosiła start w imieniu męża. Ten miał poprowadzić jej kampanię wyborczą, ale w wyniku milicyjnej prowokacji (rzekomo zaatakował milicjanta) pod koniec maja ponownie trafił do aresztu, skąd nie został wypuszczony do dzisiaj.

Zgodnie z białoruskim prawem status zarejestrowanego kandydata może uzyskać osoba, która zdobędzie poparcie co najmniej 100 tys. obywateli (to bardzo wysoki próg – tyle samo podpisów trzeba uzyskać w czterokrotnie ludniejszej Polsce). Swiatłana Cichanouska zebrała trochę ponad 100 tys. podpisów i formalnie uzyskała status kandydatki. Znacznie więcej, bo rekordowe 426 tys. podpisów, zebrał Babaryka, Cepkała zaś 212 tys. Jednak w ich przypadku Centralna Komisja Wyborcza (CKW) za ważne uznała, odpowiednio, tylko 165 tys. i 75 tys. podpisów – co wyeliminowało Cepkałę z wyścigu prezydenckiego.

Jeszcze większe „cuda" zdarzyły się w przypadku dwóch innych kandydatów – formalnie opozycyjnych, choć przez władze uznawanych za niegroźnych i w tym sensie przydatnych, bo poprzez swój udział mających dowodzić demokratycznego charakteru głosowania. Była posłanka Anna Konopacka złożyła 110 tys. podpisów, a CKW naliczyła ich aż 147 tys. Z kolei Siarhiej Czeraczeń (lider socjaldemokratycznej partii Hramada) przedstawił 106 tys., a po „komisyjnym" sprawdzeniu okazało się, że jest ich 143 tys. Jedynym wytłumaczeniem jest fakt, że Lidia Jermoszyna – sprawująca funkcję szefowej CKW od 1996 r. – jest sprawdzoną sojuszniczką reżimu.

Na kolejny zwrot w kampanii nie trzeba było długo czekać. Wyzwaniem dla władz pozostawał bowiem popularny Babaryka, który zyskał rozpoznawalność dzięki wspieraniu kultury białoruskiej. Jednak i w tym przypadku reżim znalazł sposób. 18 czerwca został on aresztowany pod zarzutem nielegalnych operacji finansowych i łapownictwa. Dało to pretekst CKW do ogłoszenia, że Babaryka nie został zarejestrowany.

W odpowiedzi w wielu miastach wybuchły protesty; w Mińsku zgromadziły one kilka tysięcy osób. Władze odpowiedziały przemocą: zatrzymanych zostało niemal 300 osób. Łącznie od maja na różne kary – zwykle do kilkunastu dni aresztu – skazano ponad 700 osób.

„Prezydentem będzie facet"

W efekcie tych działań na początku lipca władze mogły sądzić, że sytuacja została opanowana: dwóch najgroźniejszych jak dotąd rywali Łukaszenki siedziało w areszcie, a trzeci nie został zarejestrowany. Na arenie przedwyborczej pozostało troje *quasi*-opozycyjnych i mało popularnych kandydatów – oraz 37-letnia Swiatłana Cichanouska, była nauczycielka języka angielskiego, a obecnie gospodyni domowa.

Łukaszenka nie widział w niej przeciwnika. Zresztą jeszcze w maju uznał, iż „społeczeństwo nie dojrzało, aby głosować na kobietę", dodając, że „prezydentem będzie facet". Wkrótce potem kontynuował wątek, stwierdzając bez ogródek, że „nawet mężczyźnie ciężko jest nieść brzemię [władzy]. A jeśli nałożyć je na kobietę, to biedulka nie da rady". Zaproponował również, aby objęcie stanowiska głowy państwa uzależnić od odbycia służby wojskowej.

Jednak władze zdają sobie sprawę, że nastroje społeczeństwa wobec prezydenta zmieniły się diametralnie. Tezy tej nie da się wprawdzie potwierdzić wynikami badań opinii publicznej, bo te zostały *de facto* zakazane kilka lat temu – Białoruś jest jedynym państwem w Europie bez niezależnej socjologii. ↦

Rozbudzone aspiracje

Na wszelki wypadek reżim nasilił więc przygotowania do głosowania. Po raz pierwszy w niemal 30-letniej historii niepodległej Białorusi misja OBWE nie będzie obserwować wyborów. Mińsk wystosował wprawdzie zaproszenie, ale zrobił to dopiero w połowie lipca, gdy było jasne, że jest za późno na jego przyjęcie. Zagraniczni dziennikarze mają problem z uzyskiwaniem akredytacji, a prezydent rozkazał swoim urzędnikom „wyrzucenie" tych spośród nich, którzy „nie przestrzegają naszego prawa".

Zaktywizowała się też propaganda ze strony mediów państwowych. Jej zadanie jest trudniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Tym razem Łukaszenka nie składa tradycyjnych wcześniej obietnic przedwyborczych, gdyż nikt nie ma złudzeń, że brakuje na to pieniędzy. Słychać natomiast straszenie powrotem do biednych lat 90. XX w. („gdy chodziliśmy w łapciach i bez spodni") i groźby destabilizacji wewnętrznej przez opozycję.

Na Białorusinach nie robi to jednak wrażenia. Widzą, że reżim podważył ich podstawowe wartości – zdrowie i bezpieczeństwo ekonomiczne – oraz że w najlepszym wypadku może zagwarantować *status quo*, ale żadnego programu pozytywnego.

Tymczasem aspiracje społeczeństwa znacznie wzrosły – i wygląda na to, że największy od 26 lat jego odsetek zaczął rozumieć, iż bez zmiany władzy i normalnego mechanizmu wymiany elit nie ma szans na poprawę standardu życia, na podniesienie go do poziomu, który widać choćby za Bugiem. Łukaszenka, sam tego nie rozumiejąc, stał się anachroniczny, a jego działania budzą bardziej politowanie niż strach.

Nieoczekiwany sojusz

W drugiej połowie lipca doszło do kolejnego nieoczekiwanego zwrotu. Okazało się, że Łukaszenka nie docenił determinacji oponentów. Swiatłana Cichanouska połączyła siły z 38-letnią Marią Kalesnikową (byłą szefową sztabu wyborczego Babaryki) oraz z nieco tylko od niej starszą Weraniką Cepkałą, której mąż nie został zarejestrowany. W rezultacie tego sojuszu twarzą białoruskiego ruchu protestu stały się trzy kobiety, które jeszcze niedawno nie miały nic wspólnego z polityką.

Choć niedoświadczone, zdają sobie sprawę, na co się porywają. Na wszelki wypadek Cichanouska wysłała dwójkę dzieci wraz z babcią do jednego z państw Unii, a Waleryj Cepkała, obawiając się aresztowania, zabrał małoletnich synów i wyjechał do Rosji. W obu przypadkach wyjazd poprzedziły „anonimowe" groźby, że dzieci mogą trafić do sierocińca za działalność rodziców. W przeszłości podobne przypadki zdarzyły się opozycjonistom.

Wydawać by się mogło, że zaskakujący sojusz gospodyni domowej (Cichanouska), zawodowej flecistki po konserwatorium muzycznym w Stuttgarcie (Kalesnikowa) i pracowniczki korporacji międzynarodowej (Cepkała) nie może się udać. Tymczasem gdy na trzy tygodnie przed wyborami trzy kobiety rozpoczęły objazd po Białorusi, na ich wiecach wyborczych, organizowanych pod gołym niebem w większych i mniejszych miastach, zaczęły gromadzić się tysiące ludzi.

I tak, w 18-tysięcznym miasteczku Głębokie przyszło około tysiąca, w 110-tysięcznej Orszy przy granicy z Rosją ponad 3 tys., z kolei w 380-tysięcznym Mohylewie, uchodzącym za tradycyjną bazę wyborczą Łukaszenki, około 8 tys. Białorusinów. Choć na wiecach dominują ludzie przed czterdziestką, to widać również wielu przedstawicieli starszego pokolenia, które dotychczas zwykło głosować na Łukaszenkę.

Zgromadzeń o takiej skali Białoruś nie widziała od początku lat 90., gdy kraj uzyskiwał niepodległość (wcześniej także wiece Łukaszenki czy „starej" opozycji były niezbyt liczne). W wielu miejscowościach były to w ogóle największe zebrania publiczne w ich najnowszej historii.

W rytm „Murów"

Odwaga trzech kobiet, które w tradycyjnym i zmaskulinizowanym społeczeństwie rzuciły wyzwanie dyktatorowi, musi imponować. I niewątpliwie są one znacznie trudniejszym przeciwnikiem dla władz. Wrażenie robi też ich aktywność. Wiedząc, że do wyborów jest już niewiele czasu, odwiedzają po trzy miasta dziennie. Widać też, że połączone siły trzech sztabów (około stu osób) mają pomysł na kampanię. Szybko pojawił się symbol kobiecego tria: serce, zaciśnięta pięść i „V", znak zwycięstwa. Zdjęcia wyrażających je, uśmiechniętych Cichanouskiej, Kalesnikowej i Cepkały obiegły Białoruś. Towarzyszy temu biała wstążka noszona na przegubie ręki.

Hymnem kampanii opozycjonistek stały się „Mury" ze słowami Jacka Kaczmarskiego. Pieśń ta – zarówno w wersji rosyjskiej, jak i białoruskiej – towarzyszy każdemu ich wiecowi. Oglądając nagranie, na którym kilkanaście tysięcy mieszkańców Homla – jednego z najbardziej zsowietyzowanych miast białoruskich – śpiewa słowa „Wyrwij murom zęby krat! / Zerwij kajdany, połam bat!", można znaleźć potwierdzenie tezy, jak bardzo zmieniło się społeczeństwo.

Obserwując spotkania wyborcze Cichanouskiej i jej dwóch sojuszniczek widać, że same są zaskoczone tym, jakie tłumy na nie przychodzą. Z każdym kolejnym radzą sobie coraz lepiej, nabierają pewności siebie, są coraz odważniejsze. A przecież żadna z nich jeszcze dwa miesiące temu nie myślała, że będzie przemawiać do wielotysięcznych rzesz. Ich wielkim atutem jest entuzjazm, energia i naturalność, a także jasny i wiarygodny język, jakim mówią. Ich idealizm, pewnie przez wielu uznawany za naiwny, robi wrażenie.

Każdy wiec wyborczy zaczyna występ Cichanouskiej, po czym dołączają do niej Kalesnikowa i Cepkała. Najważniejszy punkt ich programu jest prosty: wygranie wyborów i odsunięcie od władzy Łukaszenki. Przy czym podkreślają konieczność pokojowych zmian, odżegnują się od rewolucji.

Cichanouska obiecuje, że po swoim zwycięstwie ogłosi nowe wybory prezydenckie, w których nie będzie startować. Jej celem jest „jedynie" stworzenie warunków dla zorganizowania głosowania autentycznie pluralistycznego i demokratycznego. Drugie kluczowe hasło to głębokie zmiany w kraju, w tym reformy gospodarcze. Na wiecach kobiecego tria widać zarówno flagi państwowe, jak i historyczne biało-czerwono-białe.

Nie ma natomiast dyskusji o tym, jaki miałby być priorytet w polityce zagranicznej. Co najwyżej można usłyszeć, że „Białoruś powinna być krajem europejskim" – co pokazuje, że punktem odniesienia nie jest Rosja jako model rozwoju.

„Nie daj Bóg stanie się majdan"

Gdy na wiece Cichanouskiej przychodzą tłumy, Łukaszenka wizytuje wielkie przedsiębiorstwa i odwołuje się do filaru swojej władzy, czyli resortów siłowych. Nie ma mowy o organizowaniu spotkań z wyborcami – zapewne z obawy, że frekwencja nie byłaby imponująca.

VASILY FEDOSENKO / REUTERS / FORUM

Kandydatka w nadchodzących wyborach prezydenckich Swiatłana Cichanouska (w środku), Maria Kalesnikowa, przedstawicielka biura wyborczego polityka Wiktara Babaryki (z prawej), i Weranika Cepkała, żona opozycjonisty Waleryja Cepkały, biorą udział w wiecu wyborczym. Mińsk, 30 lipca 2020 r.

Pod koniec lipca prezydent złożył wizytę w elitarnej jednostce wojskowej, gdzie ponownie straszył: „W odwodzie należy mieć przygotowanych żołnierzy. Na wszelki wypadek. (...) Jeśli, nie daj Bóg, gdzieś stanie się jakiś majdan, to ta jednostka może zostać zgodnie z prawem wykorzystana dla zaprowadzenia porządku".

Trudno o jaśniejsze sformułowanie. W dodatku władze zapowiedziały, że na początku sierpnia do Mińska, Brześcia i Witebska zostaną wprowadzone oddziały wojsk powietrznodesantowych – pretekstem jest obchodzone wówczas ich święto.

Prezydentowi wtórują media rządowe. Dziennik „SB. Biełaruś Siegodnia" wprost pyta czytelników: „Czy jesteście gotowi na to, że w waszej rodzinie, w waszym domu, w waszym otoczeniu ktoś zginie? Przygotowujcie się".

Czy władze rzeczywiście są w stanie użyć siły? Nawet jeśli na tym etapie służy to jako straszak i presja psychologiczna, w ostateczności nie można tego wykluczyć. Jeśli dojdzie do sytuacji, w której Łukaszenka uzna, że jego rządy są realnie zagrożone, sięgnie po wszelkie możliwe sposoby ich utrzymania.

Scenariusz siłowej pacyfikacji protestów byłby korzystny dla Rosji: skutkowałby zamrożeniem relacji Białorusi z Zachodem i zarazem sprawiłby, że Mińsk stałby się bardziej podatny na naciski Moskwy, od lat zmierzającej do zacieśnienia kontroli nad sąsiadem.

Wagner na Białorusi

Na nieco ponad tydzień przed wyborami władze ogłosiły, że pod Mińskiem zatrzymano 33 bojowników rosyjskiej prywatnej firmy wojskowej Wagner, którzy rzekomo mieli przygotowywać się do zdestabilizowania sytuacji w kraju. Co więcej, mają oni być członkami dwustuosobowej grupy operującej już na Białorusi.

Wokół sprawy jest dużo znaków zapytania. Jeśli rzeczywiście Rosja chciała przygotować prowokację, złamane zostały wszystkie zasady konspiracji. Wagnerowcy nie kryli się ze swoją obecnością, poruszali się w dużej grupie, w strojach wojskowych. Innym wytłumaczeniem ich obecności może być wykorzystywanie lotniska w Mińsku jako punktu tranzytowego w podróżach na Bliski Wschód i do Afryki, gdzie zwykle jest popyt na ich usługi.

Łukaszenka nie zdecydował się na otwarte oskarżenie Rosji o próbę ingerencji w sytuację wewnętrzną. Również reakcja Moskwy pozostaje umiarkowana. Na tym etapie najbardziej prawdopodobne wydaje się, że jest to zaplanowana prowokacja ze strony białoruskich służb specjalnych, co ma służyć dalszemu zastraszeniu społeczeństwa. Jeśli tak jest w istocie, to jest to tylko potwierdzenie, że – kreując atmosferę zagrożenia – reżim może sięgnąć po brutalne środki wobec przeciwników.

A skoro o Rosji mowa – co o bezprecedensowej kampanii wyborczej na Białorusi myśli Kreml? W obecnym układzie utrata władzy przez Łukaszenkę wcale nie byłaby na rękę Rosji, ale z historii wiemy, że Kreml zwykł „na wszelki wypadek" przygotowywać również alternatywne scenariusze. W biografiach Siarhieja Cichanouskiego, Waleryja Cepkały i Wiktara Babaryki można dopatrzeć się mniejszych lub większych śladów rosyjskich. Dlatego precyzyjna odpowiedź na to pytanie musi poczekać.

Koniec kwestią czasu?

Sprawa wagnerowców nie zniechęciła zwolenników opozycji. Na wiec Cichanouskiej w Mińsku przyszło ok. 60 tys. ludzi, co było największym zgromadzeniem publicznym w białoruskiej stolicy od wielu lat.

Nie ma jednak wątpliwości, że Centralna Komisja Wyborcza ogłosi, iż wybory 9 sierpnia wygrał Łukaszenka. Zapewne usłyszymy, że poparło go jakieś 80 proc. głosujących. Najważniejsze jest jednak pytanie, co stanie się później. W jakim stopniu rozbudzona w ostatnich dwóch-trzech miesiącach energia Białorusinów, postrzeganych dotąd jako społeczeństwo apolityczne, zostanie utrzymana?

Dlatego też bardzo dynamiczna kampania kobiecego tria służy dalszej aktywizacji społecznej oraz jej zachowaniu na dłużej. Ich sztab liczy zapewne, że jeśli antyłukaszenkowski ruch protestu się utrzyma, w końcu dojdzie do rozłamu w nomenklaturze.

W niedawnym wywiadzie dla rosyjskiego dziennika „Kommiersant" Maria Kalesnikowa – flecistka i nieoczekiwana polityczka, a zarazem najbardziej charyzmatyczna postać z tria – powiedziała: „W szachach jest pozycja zwana zugzwang [to sytuacja, gdy każdy krok gracza pogarsza jego położenie – red.]. Władze właśnie się w niej znalazły. Cokolwiek by zrobiły, koniec jest po prostu kwestią czasu".

© WOJCIECH KONOŃCZUK

Tekst ukończono 31 lipca.

AUTOR *jest wicedyrektorem Ośrodka Studiów Wschodnich imienia Marka Karpia w Warszawie, stale współpracuje z „Tygodnikiem".*

ALEKSEY FILIPPOV / AFP / EAST NEWS

Dostarczanie pizzy na pierwszą linię frontu. Mariupol, Ukraina, 2018 r.

Pizza Veterano zaprasza na degustację

MONIKA ANDRUSZEWSKA Z KIJOWA

„Weteran jest zagrożeniem głównie dla samego siebie. Problemy zaczynają się, gdy zostaje ze sobą sam" – tak uważa Jaryło, były zwiadowca, dziś właściciel salonu tatuażu.

Od 2014 r. już prawie 400 tys. Ukraińców wzięło udział w walkach z prorosyjskimi separatystami i wojskami rosyjskimi na wschodzie kraju. Weterani wojenni lub czynni żołnierze stanowią dziś mniej więcej jeden procent społeczeństwa.

Wielu mówi, że na froncie było łatwiej. Bo kiedy wracają do cywila, słyszą, że społeczeństwo zmęczyło się wojną. Pytają ich: „Po co jeździcie na tę wojnę? Dla pieniędzy?", „Jak długo jeszcze będziecie walczyć?". Tak jakby zakończenie rosyjskiej agresji zależało od nich albo od rządu w Kijowie. Potencjalni praco-

dawcy dają im do zrozumienia, że przez wojenne traumy zapewne nie można na nich polegać. Szybko rozumieją, że są zdani na siebie.

Dlatego ukraińscy weterani stworzyli organizacje samopomocy i kilkaset dobrze prosperujących biznesów, w których zatrudniają towarzyszy broni.

Skupia je platforma internetowa Veterano Service, założona przez wolontariuszy. Jeśli ktoś chciałby skorzystać z usług obrońców kraju, oferta jest bogata: od produkcji rekwizytów teatralnych, biżuterii czy tortów na zamówienie po restauracje albo salon manicure. Wszystkie projekty opatrzono zdjęciami ludzi w mundurach, z opisem ich służby.

Zwiadowca

Der Igel to po niemiecku jeż. Miłe zwierzątko, ale też drapieżnik. Wobec zagrożenia zwija się w kłującą kulkę, a jeśli zaufa, pokazuje miękki brzuszek. Uroczy i zawsze gotowy do obrony. Zupełnie jak weteran, który wrócił z frontu, stale gotowy do pokazania swoich kolców.

Tak przynajmniej uważa Jaryło, były żołnierz aerozwiadu (czyli zwiadowca nowego typu, posługujący się dronami), a dziś właściciel studia tatuażu. Studio znajduje się w zabytkowej kijowskiej dzielnicy Padół i nosi nazwę Der Igel.

Jaryło to jego frontowy pseudonim. W przedchrześcijańskiej mitologii to imię boga wiosny i płodności. O powód takiego wyboru nie trzeba pytać: niemal dwumetrowy, jasnooki i brodaty blondyn wygląda jak archetyp słowiańskiego wojownika.

Opowiada, że kiedyś nie lubił tatuaży, kojarzyły mu się z sowiecką kulturą więzienną. Ale front zmienia człowieka. Gdy po dwóch latach wrócił z wojny, zrozumiał, że nie będzie już zajmować się budownictwem. Choć równocześnie nie wiedział, co ze sobą zrobić. Ani w ogóle jak sobie poradzić w nowej rzeczywistości. Bo, jak mówi, na froncie wszystko było łatwiejsze, czarno-białe.

Wtedy zadzwonił kuzyn Jewhen, były donbaski górnik, który wcześniej prowadził mały salon tatuażu niedaleko frontu (tatuaże są popularne wśród żołnierzy). Jewhen pokazał mu swoje prace, a Jaryło był pod wrażeniem. Uznał, że tatuaże mogą być sztuką. I pomyślał, że byłoby świetnie, gdyby właśnie on taką sztuką się zajmował. W końcu tatuaże zostają człowiekowi tak jak wojenne doświadczenia – na całe życie.

Standardy

Tak zaczęła się historia salonu Der Igel, założonego wspólnie przez weterana i uchodźcę z Donbasu. Jewhen to gwiazda salonu, podobno klienci przyjeżdżają do niego nawet z zagranicy. Na drugim stanowisku tatuaże robi Serhij, były żołnierz piechoty morskiej.

Mówią, że do ich studia przychodzą też zwykli kijowianie, a nawet turyści z Polski, Izraela czy Kanady. Salon jest znany z przystępnych cen i standardów bezpieczeństwa. Bo Jaryło chce popularyzować standardy higieniczne: w końcu jego kraj jest w niechlubnej światowej czołówce pod względem zachorowań na AIDS i żółtaczkę.

– Na froncie napatrzyłem się na robienie tatuaży w okopach, w straszliwie niehigienicznych warunkach – mówi Jaryło. – To niewyobrażalne, że młode chłopaki, które wymknęły się śmierci, mają potem umierać z powodu chorób przenoszonych przez brudne narzędzia. Dlatego staramy się uczyć. W mobilnym punkcie dentystycznym przy froncie robiliśmy wojskowym, równocześnie, tatuaże i wykłady o sterylności.

Zwracam uwagę, że poza kilkoma łuskami na szafce w salonie nie widać wojskowej symboliki, a Jaryło ubrany jest po cywilnemu. Uśmiecha się: – Nie mam potrzeby nosić wojskowych atrybutów. I tak wszyscy wiedzą, kim jesteśmy.

Salon oferuje zniżki dla tych, którzy brali udział w walkach na donbaskim froncie.

Terapia

Wśród tych, którzy skorzystali z usług salonu Der Igel, jest Dima. Podczas największych walk w 2014 r. służył jako snajper w batalionie ochotniczym „Donbas".

– Gdy wróciłem z niewoli, wydawało mi się, że jesteśmy straconym pokoleniem, jak u Hemingwaya albo Remarque'a – wspomina. – Sądziłem, że poza frontem nie ma przed nami przyszłości. Znam ludzi, którzy zanurzyli się w swoich przeżyciach i nawet nie próbują o siebie zawalczyć. Oni być może są straceni. Jednak jeśli człowiek zmaga się ze swoimi demonami i stara się żyć, odnosi sukces.

Dima wiele przeżył. Po słynnej bitwie w kotle iłowajskim, gdzie ukraińskie siły zostały otoczone przez regularne wojska rosyjskie, spędził prawie pół roku jako jeniec. Zwolniony, udał się na rehabilitację do Polski i mieszkał tu przez trzy lata. Próbował sił prowadząc firmę przewozową, ale biznes nie wyszedł, więc wrócił na Ukrainę. Dziś pracuje w korporacji logistycznej. Jak mówi, każdego dnia gotowy, aby spakować wojskowy plecak, gdyby Rosja znów uderzyła.

Jewhen tatuuje mu całe ramię w kwiatowy ornament.

– Wszyscy mówią o PTSD wśród żołnierzy, ale przecież ktoś, kto przeżył wypadek samochodowy czy pobicie przez chuliganów, też może mieć syndrom stresu pourazowego – dodaje Jaryło. – Weteran jest zagrożeniem głównie dla samego siebie. I problemy zaczynają się właśnie wtedy, gdy zostaje ze sobą sam. Taki człowiek zaczyna pić, wspominać, gubi sam siebie. Dlatego aktywizacja zawodowa jest tak ważna; to forma terapii przez pracę.

Laleczki

W kijowskim mieszkaniu byłego czołgisty Serhija Bondara rodzą się wymarzone dzieci. Serhij jest jedną z kilku osób na Ukrainie tworzących z winylu i silikonu lalki typu *reborn* i *realborn*, które do złudzenia przypominają niemowlęta. Jest też, jak mówi ze śmiechem, chyba jedynym na świecie weteranem, który wybrał sobie taką formę rehabilitacji.

Serhij uważa, że z tego, co przeżył na froncie, nigdy się nie wyleczy. Wspomnienia zostaną na zawsze. Jedyne, co może zrobić, to myśleć o czym innym. Przykładowo o tym, jaki kolor oczu wybrać lalce.

– Siadam sobie sam, rozluźniam się. Zamykam się w takim wewnętrznym pancerzu. Słucham muzyki i robię swoją laleczkę – opowiada 36-latek. Po tym, jak w sierpniu 2014 r. jego czołg najechał na minę, miał problemy z motoryką dłoni. Wcześniej naprawiał buty, ale po powrocie z frontu za bardzo trzęsły mu się ręce, żeby mógł znów pracować w zawodzie.

To żona zaproponowała, żeby zrobił lalkę, w ramach ćwiczeń i rehabilitacji. I okazało się, że gdy bierze do rąk lalkę, jakoś wszystko się udaje. Bez trudu maluje najdrobniejsze szczegóły, łącznie z naczynkami krwionośnymi prześwitującymi przez cienką skórę niemowlęcia. Serhij nazywa to siłą arteterapii. ↦

↦ Jego lalki trafiają do szkół rodzenia, do bezpłodnych par z całego świata. Dla nich Serhij tworzy od zera wyczekane dziecko, uważnie konsultuje szczegóły. Czasem zamawiają je też rodzice, aby przygotować kilkuletnie dzieci na nadejście rodzeństwa.

Bywają również inne historie. Na podstawie starych zdjęć robił lalkę dla kobiety, której siostra bliźniaczka zmarła w dzieciństwie. Serhij: – Usłyszałem od niej, że siostra jest dokładnie taka, jak ją zapamiętała. To było wzruszające. Miałem też przypadek starszej kobiety, której rodzina mieszkała za granicą. Tęskniła za bliskimi. Dziś mówi, że gdy bierze laleczkę na ręce, ma wrażenie, że tuli wnuczka.

Serhij ma swoje zasady. Nie siada nigdy do lalki, gdy jest zły lub chory, bo uważa, że złe emocje przechodzą na jego dzieło. Uważa też, że lalki same wybierają sobie kolor włosów, rysy, emocje, a nawet imiona: – Czasem zaczynasz przyszywać włosy, a one się nie trzymają, wyłażą. Próbujesz z innym kolorem i od razu pasuje. Jakby ta konkretna laleczka chciała być ruda.

Nigdy nie wie, jaki będzie efekt końcowy: – Czasem, gdy mam zamówionego chłopca, w trakcie pracy okazuje się, że wyszła dziewczynka. Wtedy proponuję „rodzicom" zamianę płci lub oczekiwanie na następny model, który okaże się chłopcem. W końcu to jak namiastka dziecka. Tłumaczę, że przecież z prawdziwymi dziećmi też nigdy nie wiadomo, co się urodzi.

Marka

Powracający z okopów mają swoje miejsca spotkań: to lokale posługujące się wspólną nazwą Pizza Veterano.

Założona przez Łeonida Ostalcewa, byłego strzelca z 30. Brygady Zmechanizowanej, pierwsza taka pizzeria jest dziś nie tylko miejscem, gdzie przy dźwiękach rocka pizzę przygotowują dawni piechurzy i desantowcy. Szybko przekształciła się w nieoficjalne centrum socjalizacji i aktywizacji zawodowej.

Dziś lokale pod charakterystycznym szyldem Pizza Veterano są w wielu miejscowościach Ukrainy. W ślad za pizzeriami powstały kolejne biznesy prowadzone przez byłych wojskowych: kilka ciastkarni Veterano Brownie, kawiarnie Veterano Coffee, a także firma taksówkarska Veterano Cab. Firmy należące do Veterano Group dają zatrudnienie kilkuset osobom.

MONIKA ANDRUSZEWSKA

STRZELEC ŁEONID OSTALCEW *w swoim lokalu Pizza Veterano w Kijowie, lipiec 2020 r. Za jego plecami ściana pizzerii, na której przyczepione są naszywki ukraińskich oddziałów walczących w Donbasie.*

STAROŚTENKO / ARCHIWUM PRYWATNE

CZOŁGISTA SERHIJ BONDAR *z jedną z lalek, które tworzy w ramach psychoterapii. Kijów, lipiec 2020 r.*

MONIKA ANDRUSZEWSKA

ZWIADOWCA JARYŁO *w swoim studiu tatuażu Der Igel w Kijowie, lipiec 2020 r.*

– Celem naszego projektu jest także pokazanie, że weterani to odpowiedzialni obywatele, którzy nie tylko wzięli na siebie obowiązek obrony kraju, ale chcą dalej żyć zgodnie z prawem i budować Ukrainę razem z tymi, którzy nie walczyli – Łeonid zaczyna nieco patetycznie.

I dodaje: – Mówiąc wprost, chcemy się pozbyć wyrosłych po wojnie w Afganistanie sowieckich stereotypów, że weterani tylko piją i mają nierówno pod sufitem.

Łeonid uważa, że dzięki takim oddolnym inicjatywom wykonano już wielką pracę na rzecz zmiany postrzegania weteranów przez społeczeństwo: – A co ciekawe, zajmują się tym nie władze, lecz wolontariusze.

Nie pierwszy raz tutaj i pewnie nie ostatni.

Stygmatyzacja

Czytając doniesienia w ukraińskich mediach, faktycznie można odnieść wrażenie, że jedynymi doświadczeniami wojskowych mogą być albo heroiczna śmierć na froncie, albo samobójstwo, depresja czy alkoholizm. Jednak żadne statystyki nie wskazują, aby ta grupa wyróżniała się większą skłonnością do przestępstw niż reszta społeczeństwa.

– Dlaczego nikt nie liczy, ilu strażaków czy hydraulików popełnia przestępstwa? A gdy weteran zrobi coś złego, od razu jest we wszystkich mediach. Weteran zabił, zgwałcił, okradł... To krzywdząca stygmatyzacja – denerwuje się Łeonid Ostalcew.

W środowy poranek, 22 lipca, ukraińskie media obiegła wiadomość: uzbrojony człowiek wziął w Łucku zakładników, pasażerów autobusu. Twierdził, że ma przy sobie broń i materiały wybuchowe, groził wysadzeniem pojazdu. Od najważniejszych osób w państwie, w tym od prezydenta, zażądał „przyznania się, że są terrorystami". Znacząca była reakcja społeczna. „To na pewno weteran" – diagnozowali od razu internauci. Kilka godzin później okazało się, że mężczyzna ma problemy psychiczne – i nic wspólnego z frontem.

– Taki jest stały przekaz medialny i ludzie to łykają. Media żywią się skandalami. O weteranach, którzy po powrocie z frontu robią świetne rzeczy, nikt nie pisze, bo to za mało dramatyczne – uważa Łarysa Mykytion, wolontariuszka, która

zainicjowała powstanie portalu Veterano Service.

Łarysa zna problemy wojskowych, na wojnie byli jej mąż i brat. – To prawda, że wielu nie daje sobie rady w cywilu – opowiada. – Niektórzy po powrocie przez kilka miesięcy nie chcą wychodzić z domu. Dosłownie. Mój brat przez miesiąc nie opuszczał domu w ciągu dnia, półtora roku na froncie przyzwyczaiło go do aktywności tylko w nocy. Chłopcy po powrocie mają wyostrzony wzrok i słuch, a tu nagle zostają otoczeni przez bodźce, które ich przytłaczają. Dopiero po mniej więcej pół roku zaczynają wracać do zwykłego życia. Po prostu trzeba dać im czas i udzielić w porę pomocy.

– W naszym serwisie zarejestrowano prawie 300 firm. Ale przedsiębiorstw zakładanych przez weteranów jest o kilkaset więcej – szacuje Łarysa. – Wielu chłopców nie chce afiszować się, że mają swój biznes, bo w sytuacji, gdy dziennikarze polują na każdą związaną z weteranami sensację, to ogromna odpowiedzialność.

Łarysa Mykytion uważa, że wielu weteranów to w swoim zawodzie perfekcjoniści: – Jeżeli będą piec ciastka, muszą one być najlepszej jakości, żeby nie splamić dobrego imienia, żeby nie było wstydu przed towarzyszami broni. Gdy ktoś z moich znajomych czegoś potrzebuje, od razu mówię: zwracajcie się do weteranów.

Pandemia

Nie wszystkie biznesy weteranów przetrwają, nie tylko z powodu konkurencji. Na Ukrainie epidemia COVID-19 już przyniosła klęskę wielu prywatnym przedsiębiorstwom, szczególnie tym działającym w sferze usług. Według państwowych statystyk z powodu kwarantanny zbankrutował co piąty ukraiński biznes. W kraju nie ma praktycznie żadnego parasola ochronnego dla firm.

– Nasze obecne zarobki idą na pokrycie długów i finansowych dziur, które powstały przez to, że lokal nie pracował. Ale wygramy. Nie mamy innych opcji – Łeonid Ostalcew uśmiecha się mimo wszystko.

Mam wrażenie, że ma na myśli nie tylko swoją pizzerię, ale też wojnę na wschodzie kraju.

© MONIKA ANDRUSZEWSKA

Rozproszeni

MAGDALENA CHODOWNIK Z SYRII I ARMENII

Biografie kolejnych pokoleń Ormian naznaczone są tułaczką. Najnowszy rozdział tej historii to los ormiańskiej diaspory z Syrii.

Ta opowieść zaczyna się ponad sto lat temu, gdy Ormianie – uciekający z terenu dzisiejszej Turcji w czasie ludobójstwa – osiedlają się w Syrii. Choć kraj ten – po I wojnie światowej pozostający pod zarządem francuskim, a od 1944 r. niepodległy – szybko staje się dyktaturą, mniejszości chrześcijańskie mogą czuć się bezpiecznie. Oczywiście pod warunkiem, że popierają władzę lub zachowują wobec niej neutralność.

Gdy w 2011 r. zaczyna się syryjska wojna, część tutejszych Ormian ucieka do Armenii. Ci, którzy zostają, stają między młotem a kowadłem.

Domy dla uchodźców: Armenia, Erywań, rok 2016

Drzwi tymczasowego mieszkania Nazik strzeże ikona z Jezusem. Wyraźnie stara, jakby spłowiała, może od promieni bliskowschodniego słońca. W jej domu – tym, który kilka lat temu musiała opuścić wraz z bliskimi – też wiszą Jego podobizny, wciąż jeszcze, choć dziś żyją w nim muzułmanie. Dawni sąsiedzi: podnajmując, opiekują się jej rodzinnym domem.

Nazik uciekła z Aleppo ponad trzy lata temu. Gdy przybyli do Armenii, dano im to mieszkanie w bloku, w którym właśnie jesteśmy. Przestrzenne i puste. Nie zdążyli ze sobą wiele zabrać. Na półkach stoją pojedyncze pamiątki, fragmenty poprzedniego życia. Tych kilka pokoi to była pomoc dla nich, uchodźców i krajan zarazem, bo przecież Ormian.

Prócz rodziny Nazik w kilku niskich domach z szarego betonu na peryferiach Erywania, stolicy Armenii, zamieszkało może 20 rodzin, większość z Syrii.

– Najpierw staraliśmy się to wszystko przeczekać w Aleppo, ale w końcu nie było ani wody, ani światła. Studiowałam przy świeczkach – mówi Nazik. Ma 21 lat, w Erywaniu kontynuuje studia ekonomiczne. – Pierwszy wyjechał ojciec. Chciał przygotować wszystko na nasz przyjazd do Armenii. W końcu i my wsiadłyśmy do autobusu: matka, ciotki, babcia i ja. W Aleppo byli terroryści, opozycjoniści, rebelianci. Chcieli tam kalifatu.

Nazik przyznaje, że do Armenii przybyła ze łzami w oczach. Tak, uczono ją, że to jej prawdziwa ojczyzna. – Ale gdybym nie musiała, nigdy bym nie wyjechała – przyznaje.

W Aleppo, mieście nazywanym „matką diaspor ormiańskich", mieli swoje kościoły, centrum kultury i dużą zżytą społeczność. Rząd się nimi opiekował: dawał przywileje, poczucie bezpieczeństwa, możliwości. Mieli tam dobrze, choć ich zadowolenie często było wykorzystywane politycznie: dzięki nim reżim mógł pokazywać światu swoją rzekomą otwartość, tolerancję i hojność. Bo nie wszystkim w Syrii wiodło się tak dobrze.

W każdym razie, gdy przyszła wojna, Ormianie nie stanęli przeciw Asadowi.

W szkole, do której uczęszczała Nazik, mieli co tydzień dodatkowo cztery lekcje języka ormiańskiego i dwie religii. Szkoła nosiła imię Karen Jeppe: duńskiej wolontariuszki, zwanej „Duńską Matką Ormian", która przybyła do Syrii na początku XX w. Ormianie potrzebowali pomocy po fali pogromów, masakrze w mieście Adana w 1909 r. i pierwszowojennym ludobójstwie.

Wtedy, w 1915 r., także przodkowie Nazik uciekali przed Turkami. Pochodzili z Miden, wsi w rejonie Tur Abdin (południowo-wschodnia Turcja). Bezpieczne miejsce znaleźli właśnie w syryjskim Aleppo. Tam, gdzie pomagała Karen Jeppe.

Minęło stulecie i potomkowie tamtych uciekinierów musieli opuścić dom, szukając kolejnego bezpiecznego schronienia. Aleppo, jedno z miast najtragiczniej dotkniętych wojną syryjską, ↦

zmieniło się nie do poznania: z bezpiecznej przystani w piekło.

Nazik spędza popołudnie z bliskimi. Wspólnie gotują, oglądają telewizję, rozmawiają z tą częścią rodziny, która została w Syrii. Jej siostry mieszkają z mężami i dziećmi w Kesab, przy granicy z Turcją.

Na palcu Nazik błyszczy pierścionek. Jest zaręczona. Surowa tradycja mówi, że jej mężem może zostać tylko Ormianin. I jej wybranek nim jest. Tyle że ona uciekła do Armenii, a on do USA. Nazik: – Rodzina nie pozwoli mi do niego wyjechać. Moim obowiązkiem jest zostać tu i się nimi opiekować.

W bloku dla uchodźców małżeństwa mieszane, ormiańsko-arabskie, to rzadkość. Nie do końca akceptowana przez konserwatywną w większości diasporę.

Kościół ormiański: Syria, Kesab, rok 2019

Droga do Kesab, miasteczka w północno-zachodniej Syrii, w prowincji Latakia, jest dziś pustawa. Jadąc nią, mija się porośnięte drzewami okolice, przeplatane a to zbombardowanymi budynkami, a to oznakami życia: otwarte sklepiki przy drodze oferują parzoną kawę, czasem minie nas pędzące auto albo wóz ze skoszoną trawą.

W Kesab jest cicho. Musi tak być, bo tak wygląda dziś Syria. A przynajmniej ta część, którą z pomocą Rosjan i Irańczyków znów zawłaszczył Asad. Wszędzie roi się od mundurowych i punktów kontrolnych. Ludzie nawet nie szepcą po kątach. Tu kąty mają uszy.

– Dziś w Kesab mieszka ok. 700 ormiańskich rodzin – mówi ksiądz z Ormiańskiego Kościoła Katolickiego. Jego świątynia nosi wezwanie Michała Archanioła. Dzieci z przykościelnej szkoły mają akurat przerwę – jedne od lekcji ormiańskiego, inne od religii. Wybiegają radośnie na dziedziniec. Śmieją się głośno, siadają na murku i obserwują miasto ze wzgórza, na którym stoją świątynia i szkoła. Z innego zbocza, przez zielone liście drzew, patrzy na nie posąg Matki Bożej. Maryja jest leciwa, spłowiała i jakby trochę zakłopotana tym wszystkim.

– W 2014 r. także Kesab zostało zaatakowane przez terrorystów – mówi ksiądz. – Musieliśmy uciekać, na trzy miesiące schroniliśmy się w Latakii. Tam przeczekaliśmy, aż się uspokoiło i mogliśmy wrócić.

Nazik jest zaręczona. Tradycja mówi, że jej mężem musi być Ormianin. I jej wybranek nim jest. Tyle że ona uciekła do Armenii, a on do USA.

Kesab od wieków było miastem Ormian, częścią legendarnej Armenii. W 1909 r. również tu wydarzył się pogrom. Gdy część mieszkańców uciekła, szukając schronienia w oddalonej o 60 km Latakii, bojownicy Armeńskiej Federacji Rewolucyjnej bronili miasta. Jednak, wedle danych amerykańskiej wolontariuszki Effie M. Chambers, w atakach spalono 516 domów, 63 sklepy, a 153 osoby zostały zabite, owdowiało 79 kobiet i osierocono 64 dzieci poniżej 15. roku życia (w całej masakrze z 1909 r. zginęło 20–30 tys. Ormian).

Sześć lat temu mieszkańcy Kesab znów szukali schronienia w Latakii. To przyjemne nadmorskie miasteczko, tętniące życiem, dziś znane jest przede wszystkim jako „bastion Asada". Niedaleko, w Humajmim, znajduje się główna rosyjska baza w Syrii i lotnisko, z którego rosyjskie samoloty startują do nalotów.

Prócz Ormian mieszka tam wielu Alawitów – mniejszości, do której należy sam Asad. Dlatego dziś Latakia ma się dobrze, mimo wojny: restauracje i hotele są otwarte, ludzie swobodnie przechadzają się po ulicach, siedzą w kawiarniach, palą sziszę i popijają owocowe koktajle. Gdyby nie wszechobecni mundurowi, trudno byłoby odgadnąć, że trwa jakaś wojna.

W atakach z 2014 r. spalono budynek domu kultury w centrum Kesab. Podobnie jak posterunki, przypomina on dziś tamte chwile grozy. A także ożywia wspomnienia o pokoleniowej traumie.

Ksiądz rozgląda się uważnie i rzuca na odchodne: – Zachowujemy swoje tradycje. A przy Asadzie jest dobrze.

Ucieczka po raz pierwszy: Baku, rok 1989

Sara pierwszy raz musiała uciekać z domu, gdy miała 17 lat.

– Był rok 1989 – wspomina. – Chwilę wcześniej rodzice wysłali mnie z Baku do Erywania. Właśnie skończył się rok szkolny i miałam tam zacząć szkołę medyczną. Już wtedy w Azerbejdżanie były pogromy Ormian. Na naszych oczach zginęli sąsiedzi. Ale rodzice zostali, bo długo nie mogli sprzedać domu. Pewnej nocy przyszedł do nich nasz sąsiad, Azer. Pracował w powiecie jako prokurator. Wziął ich do siebie do domu. Tej nocy banda innych Azerów zapukała do naszych drzwi. Przyszli po rodziców i dziadków. Ale wyszedł do nich ten prokurator. Powiedział, że kupił od nas dom, a my już uciekliśmy. Poszli, a on opiekował się moją rodziną przez kilka dni, aż w końcu wywiózł wszystkich na lotnisko i odprowadził do samolotu. Powiedział, że jak znajdzie kupca, sprzeda ich dom i odda im pieniądze. Po kilku miesiącach się odezwał. Ojciec pojechał spotkać się z nim w Tbilisi. Odebrał pieniądze i tak mogliśmy w końcu poszukać własnego kąta w Armenii.

Ucieczka po raz drugi: Kobane, rok 2014

W szkole medycznej Sara poznała przyszłego męża. Był Ormianinem z Syrii, w której wtedy panował pokój. Pobrali się i jakiś czas później przeprowadzili tam z Erywania. On miał dom po rodzicach na wsi niedaleko Kobane. Chcieli wieść spokojne życie. Otworzyli sklep. Ich spokojne życie trwało 20 lat, potem przyszła wojna.

Pierwsze trzy wojenne lata żyli w potrzasku: nie mogli nigdzie wyjechać, czasem nawet wyjście z domu było ryzykowne. Brakowało wody i światła. W 2014 r. Kobane zostało otoczone przez bojowników Państwa Islamskiego. W dramatycznej bitwie, która miała trwać kilka miesięcy, Kurdowie – wspierani przez zachodnie lotnictwo – obronili miasto. Ale początkowo zdawało się, że Państwo Islamskie zwycięży. Gdy więc Turcja otworzyła granicę dla uchodźców, postanowili uciekać.

– Uciekać do Turcji to był jednak strach – mówi Sara. – Baliśmy się, że jak ktoś dowie się, że jesteśmy Ormianami, zrobi nam krzywdę. Po tym, co spotkało tam naszych przodków, nikt z nas tam nigdy nie jeździł. Ale trzeba było podjąć decyzję. W Kobane śmierć była pewna, tam nie.

Sara przebrała w strój muzułmanki córkę i siebie. Granicę przekroczyli pieszo wspólnie: ich rodzina i trzy inne, także ormiańskie. Nieśli niewielkie tobołki,

YASIN AKGUL / AFP / EAST NEWS

Kobane, Syria, wrzesień 2015 r.

nic więcej. Gdy dotarli nad granicę, nie wiedzieli, co ze sobą zrobić. Usiedli i tak siedzieli aż do nocy. Nie znali nikogo, kto mógłby pomóc, podpowiedzieć, dokąd iść.

Gdy tak siedzieli wpatrzeni w horyzont, widzieli w oddali eksplozje.

W końcu ktoś powiedział im, że niedaleko jest szkoła przeznaczona dla uchodźców z Syrii. Wsiedli do autobusu i pojechali tam, gdzie im wskazano.

Obóz dla uchodźców: Suruç, Turcja, rok 2015

W szkole spotkali innych uchodźców. Dostali jedzenie. Dla Sary i jej rodziny znalazł się nawet odrębny pokój. Spędzili w nim kilka nocy śpiąc na podłodze. Potem zaczęto zwozić poduszki i inną pomoc rzeczową.

Zdążyli się przyzwyczaić do tego pokoju i nawet jakoś urządzić. Żyli w nim osiem miesięcy. Codziennie powtarzali rytuał: szli nad granicę, aby patrzeć, co się dzieje po drugiej stronie, w okolicy ich wioski. Z nadzieją, że może czas wracać. Ale sytuacja długo się nie poprawiała, a oni nie mieli już pieniędzy. Gdy ONZ zorganizowała obóz dla uchodźców w mieście Suruç, przenieśli się tam. W Suruç żyli kolejnych siedem miesięcy.

W tym czasie walki w Kobane ucichły, niektórzy uchodźcy zaczęli wracać. Sara nie była zdecydowana, ale sąsiedzi, którzy zostali, ponaglali: przez telefon mówili, że przecież sklep został i jak nie przyjadą, to już niczego nie będzie. Mąż postanowił wracać. Wziął ze sobą syna. Na miejscu okazało się, że prawie wszystko zostało zniszczone. Zaczęli więc powoli odbudowywać dom. Sara jeszcze nie chciała wracać – nie miała siły i bała się.

Po namowach w końcu pojechała, do męża i syna. Ale młodsze dzieci zostawiła w Turcji. – Nie mogłam tam spać ani jeść. Wszystko było zbombardowane. Wszędzie były trupy – wspomina. – Gdy sprzątałam, w jednym z pokojów w naszym domu znalazłam tyle obciętych ludzkich włosów, że można by z nich materac zrobić.

Po kilku dniach wróciła do Turcji. Mąż nalegał. A ona to odkładała i odkładała.

Tego dnia, w Suruç, została obudzona wczesnym rankiem. Ktoś krzyczał, że terroryści weszli do ich wioski, że była strzelanina.

Resztę poznała później, z relacji. Jej mąż wyszedł napić się po sąsiedzku porannej herbaty. Nastawił czajnik. Ich syn Aram zdążył powiedzieć, że idzie do znajomego. W tym momencie zjawili się żołnierze. Podobno mieli kurdyjskie mundury. Ale gdy się zbliżyli, mąż musiał się zorientować, że coś jest nie tak, że to nie Kurdowie. Chciał schować się w sklepie. Padły strzały. Syn, który nie odszedł daleko, zobaczył leżącego ojca i krew. – Dużo ludzi zginęło tego dnia – mówi Sara.

Sąsiedzi zabrali Arama i pojechali z nim na granicę. Ale tureccy żołnierze nie otworzyli przejścia od razu. Czekali trzy dni, bez jedzenia i wody. Tylko czasem, jak nikt nie widział, żołnierze tureccy podrzucali im kilka butelek.

– I tak zostałam sama z trojgiem dzieci, bez domu, w obozie dla uchodźców w Turcji – mówi Sara. – Później uciekliśmy do Armenii. Autobusami.

Krajobraz bliskowschodni: Erywań, rok 2019

Szacuje się, że od początku syryjskiej wojny do Armenii przybyło 22 tys. Ormian z syryjskiej diaspory. Jakieś 10 tys. ↦

MAGDALENA CHODOWNIK

Gajdzak Dżabakczurjan w swojej restauracji w Erywaniu, czerwiec 2019 r.

z nich w kolejnych latach opuściło kraj: część wróciła do Syrii, część pojechała dalej, głównie do Kanady lub Europy. Za to obecność tych, którzy zostali, zmieniła nieco atmosferę Erywania. Choć z początku nie wszyscy miejscowi byli ufni, to dziś bliskowschodnia egzotyka zagościła na dobre w tym postsowieckim kraju.

– Ormianie z Syrii są uważani za najbardziej konserwatywnych i patriotycznych ze wszystkich diaspor. Nie zawierają mieszanych małżeństw. Nawet tu, w Armenii, tworzyli swoiste getta – mówi Anna Kamay, działaczka społeczna.

– Zmienili nasz krajobraz, przywożąc kolory, etykę pracy, tj. bezpośredniość i dotrzymywanie słowa – dodaje Kamay – ale też nowe smaki, urozmaicenie w zwyczajach, zaczynając choćby od szortów i klapek u chłopców, co wcześniej nie było u nas dobrze widziane. To burzyło stereotypy na temat wyglądu czy zachowania, które istniały w naszym społeczeństwie.

Dziś są już bardziej zintegrowani, bardziej otwarci na siebie nawzajem. Ormianie, a jednak inni. Starają się ułożyć życie na nowo. Zakładają firmy i restauracje, wielu się powodzi. Choć nie wszyscy wyrobili sobie tutejsze dokumenty: o armeńskie paszporty występowały z reguły kobiety i osoby starsze. Unikają tego młodzi mężczyźni, z obawy przed poborem do wojska – czyli tym, przed czym uciekali z Syrii.

Ale są też syryjsko-ormiańscy rolnicy, którzy ze względu na dobrą ziemię osiedli w Górskim Karabachu: regionie, o który 30 lat temu Armenia i Azerbejdżan stoczyły wojnę. Od tego czasu pozostaje on w rękach Ormian, ale pokoju jak nie było, tak nie ma (niedawno, w lipcu, na armeńsko-azerbejdżańskim froncie znów przez kilka dni trwała wymiana ognia, byli zabici).

Anna Kamay: – Ci, którzy zamieszkali w Karabachu, są najbardziej patriotyczni. Wierzą, że zwycięstwo w Karabachu nad Azerami było pierwszym sukcesem po serii klęsk w historii ormiańskiego narodu. Twierdzą, że nigdy nie oddadzą tej ziemi, że trzeba o nią walczyć do końca. W przeciwieństwie do wojny syryjskiej, która nie jest ich, tę uważają za swoją.

Placek z przyprawami: Erywań, rok 2019

– Do istniejącej tu kultury kulinarnej, której wcześniej nie znałem, dodaliśmy tę bliskowschodnią – tłumaczy swoją filozofię gotowania szef kuchni Gajdzak Dżabakczurjan, który z Aleppo do Erywania przybył w 2012 r. Kilka miesięcy później otworzył restaurację, która zyskała uznanie miejscowych.

Miał 12, może 13 lat, gdy zaczął gotować w restauracji swojego ojca w Aleppo. Z czasem dorobił się własnej. O ile Gajdzak nie chce rozmawiać o wojnie i polityce, o tyle z zapałem opowie o smakach, które w swojej restauracji łączy na cienkim placku lahmacun: tutejsze przyzwyczajenia z bliskowschodnimi przyprawami, w wersjach wegańskiej, wegetariańskiej i mięsnej. – To, co znaliśmy z naszych zachodnioarmeńskich domów, łączymy z tym, co lokalna społeczność zna ze swoich, armeńskich – tłumaczy.

Bo jedzenie w Armenii i Armenii Zachodniej bardzo się różni. – Może przed ludobójstwem było podobne, ale potem wszystko się zmieniło. Wschodnia Armenia stała się częścią Związku Sowieckiego, a my wychowaliśmy się na Bliskim Wschodzie. To wpłynęło na kulturę jedzenia – mówi Gajdzak.

Z sentymentem wraca wspomnieniami do Syrii. Ale nie ma złudzeń: – Wszystko tam się rozpadło. Straciliśmy przyjaciół: niektórzy umarli, inni zostali inwalidami. Część z nich wraca do życia, ale to życie nie jest już takie jak wcześniej. Za dużo się wydarzyło.

Jego restauracja w Aleppo jest zamknięta, lokalu pilnują wujkowie, którzy zostali. Gajdzak: – Teraz jestem tu. Życie moje i mojej rodziny toczy się dalej. To najważniejsze.

© MAGDALENA CHODOWNIK

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Chełmie, I Wydziale Cywilnym, w sprawie I Ns 814/19 z wniosku Jana Cudaka toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Józefie Cudaku zmarłym 17 marca 1969 roku w Chełmie, ostatnio stale zamieszkałym w Chełmie.

Wzywa się wszystkie zainteresowane osoby, a w szczególności spadkobierców Józefa Cudaka, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosiły i udowodniły swoje nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięte w toczącym się postępowaniu o stwierdzenie nabycia spadku.

WOJCIECH

Bonowicz:
Oczy kota

Leon wie wszystko. Może dlatego, że zajmuje się głównie snem i obserwacją (a podejrzewamy, że również obserwacją przez sen). Czyli właściwie przez całą dobę jesteśmy inwigilowani. W przyszłości służby specjalne na pewno znajdą sposób, jak wydobyć z kotów rejestrowane przez nie informacje. Myślę o tym z lękiem – nic nas już wtedy nie obroni. Bo na razie broni nas kocia dyskrecja.

Owszem, są krótkie momenty ulgi, kiedy Leon spuszcza nas z oczu i zajmuje się, powiedzmy, ćmą, muchą albo rybikami w łazience. Czasem też szaleńczo poluje na wyobrażone ofiary lub ucieka przed wyobrażonymi napastnikami. Tu sprawa jest zagadkowa – sporo pisano o tym, czy zwierzęta mają wyobraźnię, czy nie. Leon na pewno coś ma, inaczej nie zrywałby się nagle do szaleńczego biegu po schodach, nie wskakiwał z wysuniętymi pazurami na poduchy i nie miauczał tak przeraźliwie, umykając przed nie wiadomo kim. Coś musi widzieć, czego my nie widzimy; być może w domu jest nas znacznie więcej, niż się nam wydaje. To zresztą nie byłoby wcale dziwne.

Świat jest pełen duchów, a zmarli nie odchodzą od razu. Tak się kiedyś wierzyło – i nie była to wiara bez podstaw. Spotykało się błądzące duchy; podróżując, zmarli hałasowali w kuchni, szukali czegoś w szafach, czasem spadł potrącony przez nich obraz albo stawał zegar, obok którego przeszli. Granica między istnieniem a nieistnieniem była płynna, zresztą prawie nikt nie wierzył, że człowiek, umierając, idzie w nicość. Co to za nicość, skoro się tłucze garnkami na piecu, może mignąć w lustrze albo pokazać się w wiadrze wody? Czy nicość mogłaby nas obudzić, potrząsając przez sen za ramię albo szepcąc nad uchem? Zmarli odchodzili i wracali, ale najłatwiej było im porozumieć się ze zwierzętami. Pszczoły w ulu robiły się niespokojne, kiedy czuły, że w pobliżu jest duch zmarłego właściciela. Podobnie krowy i psy.

Koty wiedzą o nas dużo i były za to w historii karane. Kiedy Leon patrzy ci w oczy, wiesz, że czyta w nich jak w otwartej księdze. Czasem niby spogląda w okno – np. na tego martwego gołębia po drugiej stronie podwórka, co to go sąsiad od miesięcy nie potrafi usunąć z balkonu, tłumacząc, że jest na to zbyt wrażliwy. Kot Leon niby spogląda, ale kątem oka sprawdza, czy czegoś nie kombinujesz. Wie, kiedy o nim piszesz, wie, kiedy pracujesz i kiedy pozorujesz pracę, wie, o czym i o kim myślisz, wie nawet prawdopodobnie, co ci się śniło. Jeśli zapisałeś coś na kartce, kładzie się na niej i po chwili jej treść jest już w środku Leona, nie wiem, czy w jego umyśle, ale w jakimś „środku" jest na pewno. Kot Leon jest dokładny jak skaner i życie nasze jest w nim odbite na kocią wieczność.

Wieczność to jest zresztą coś, czego akurat przy kotach można zaznawać bardzo często. Nie darmo wylegujący się kocur to symbol czasu, który się zatrzymał. A jeszcze lepiej – kilka wylegujących się kocurów. Wieczność to chwila, która nie mija, nie przechodzi, która rozciąga się i puchnie, która zajmuje w sposób absolutny wszystko, co zająć można. Nie wiadomo, przed czym Leon zwiewa w podskokach, ale wiadomo, przed czym leży, jaki to kult i jaki ołtarz. Kot jest zwierzęciem na wskroś religijnym, jeśli chciałoby się w tych terminach rzecz rozpatrywać. Wiarę swą, graniczącą z pewnością, ogłasza nienachalnie, spontanicznie i całym sobą. To, co duchowe i co wieczne, staje się dzięki niemu namacalne.

Wieczność wpatruje się w nas jego żółtymi oczami. ©

TYGODNIK POWSZECHNY
Podkast Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cyklów podkastów „Tygodnika Powszechnego"

Punkt zwrotny
Katarzyna Kubisiowska i jej goście

#DOM
czyli rozmowy Krzysztofa Storego o małej ojczyźnie

LEKtura
czyli Grzegorz Jankowicz o tym, co i dlaczego warto dziś czytać

Sztuka powszechnie nieznana
Magdaleny Łanuszki, która odkrywa dla nas na nowo średniowieczne dzieła

Miesiąc w nauce
z autorskim przeglądem newsów naukowych Łukasza Lamży

Opowieści z Izraela
korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet

Więcej na powszech.net/podkast

weź, słuchaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

HISTORIA

OCHOTNICY ROKU 1920

„Wczoraj wieczorem trochę nas ćwiczono. Dowodził jeden porucznik, który też jest harcerzem" – pisał sto lat temu do rodziców Lech Dymecki z Warszawy, który wraz ze swoją drużyną zgłosił się do wojska.

KRZYSZTOF PIĘCIAK

Tamtego lata Józef Mądry miał już skończone 18 lat. Nie wiemy, czy tego dnia czuł się choćby trochę raźniej, czy odwagi dodawał mu fakt, że w końcu była ich całkiem spora gromadka – we wspomnieniach, które później spisał, emocjom poświęcił niewiele uwagi.

Wraz z Józefem, z Dzikowca, Trześni, Wielowsi i okolicznych wiosek w powiecie kolbuszowskim zebrało się tego dnia 52 chłopaków. Byli wśród nich rolnicy i rzemieślnicy, było też kilku pracowników z pobliskiego majątku. Zorganizował ich i wyposażył – płacąc za mundury i karabiny oraz ofiarowując konie – Zdzisław Tarnowski, miejscowy ziemianin i polityk (wcześniej poseł do galicyjskiego Sejmu Krajowego i działacz Naczelnego Komitetu Narodowego, reprezentacji Polaków w Galicji podczas I wojny światowej). Pierwszym ochotnikiem, który się zgłosił, był jego 17-letni syn Artur.

Część z nich służyła wcześniej w armii austro-węgierskiej, jeden w Legionach, inni wcześniej nie mieli broni w ręku. Najstarszy z ich grupy, Stefan Chruścicki, miał 36 lat – z zawodu technik elektronik, jeszcze podczas I wojny światowej został zmobilizowany do armii rosyjskiej i z niej zdezerterował. Najmłodszy, Stefan Leżajski, miał lat 16. Na liście ochotników przy jego nazwisku uczciwie odnotowano: „Nie otrzymał pozwolenia rodziców".

„Niech spieszą wszyscy"

Sto lat temu, latem 1920 r., dopiero co odzyskana niepodległość Polski wisi na włosku. Kilka miesięcy wcześniej w trwającej od początku roku 1919 wojnie polsko-bolszewickiej następuje zwrot: Wojsko Polskie i sprzymierzona armia Ukraińskiej Republiki Ludowej uderzają na Armię Czerwoną, wyzwalając Kijów i środkową Ukrainę [patrz „TP" nr 20 – red.]. Jednak to sukces przejściowy: Armia Czerwona szybko zaczyna kontrofensywę, przełamuje front południowy, a wkrótce uderza też na odcinku środkowym, na terenie Białorusi. Odtąd siły polskie są w odwrocie.

Gdy staje się jasne, że prędzej czy później bolszewicy dojdą do Warszawy i Lwowa, Sejm powołuje Radę Obrony Państwa. Złożona z przedstawicieli rządu, parlamentu i armii, na pierwszym posiedzeniu Rada dyskutuje nad ogłoszeniem ochotniczego zaciągu do wojska.

Przymiotnik „ochotniczy" ma kluczowe znaczenie, gdyż formujące się od półtora roku Wojsko Polskie ma ograniczone rezerwy ludzkie. Wielu potencjalnych poborowych nie nadaje się do służby – wcześniej potracili zdrowie na frontach I wojny światowej (szacuje się, że do trzech armii państw zaborczych powołano co najmniej 2 mln Polaków). Zaciąg ochotniczy otworzyłby armię na tych, których nie obejmuje pobór: uznanych za niezdolnych do służby weteranów pierwszowojennych, a zwłaszcza młodzież – w tym harcerzy, z których wielu ma za sobą szkolenie paramilitarne.

3 lipca Rada Obrony Państwa wydaje odezwę „Ojczyzna w potrzebie". Kolportowana po kraju, wzywa: „Niech spieszą wszyscy: i ci młodsi i siłę czujący w żyłach, co żelazem odpierać będą najazd wroga, i ci, którzy stanąć mogą do pracy w instytucjach wojskowych, by zwolnić z nich i zastąpić tych, co na froncie przydatni być mogą". Apel popierają wszystkie stronnictwa polityczne, od prawa do lewa (rzecz jasna, za wyjątkiem komunistów). Na wsi decydujący jest głos Wincentego Witosa, chłopskiego przywódcy.

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Grupa literatów, żołnierzy Armii Ochotniczej, m.in. ppłk Marian Dienstl-Dąbrowa, Eugeniusz Małaczewski, Emil Zegadłowicz, Władysław Rabski, Edward Ligocki, redaktor Władysław Buchner, major Jan Grabowski, 1920 r.

„Nastąpiła ogólna mobilizacja, która przy płomiennych przemówieniach i odezwach Witosa znalazła posłuch i dyscyplinę. Szli młodzi i starzy jako ochotnicy ratować swoją Ojczyznę, a ja z nimi" – wspominał później Józef Mądry.

Sto tysięcy

Generalny Inspektorat Armii Ochotniczej tworzy się 7 lipca. Dowództwo obejmuje Józef Haller, wcześniej oficer Legionów i komendant Błękitnej Armii, sformowanej z Polaków we Francji. W całym kraju powstają punkty werbunkowe. Przyjmują wszystkich chętnych od 17. do 42. roku życia (w przypadku oficerów granicą wieku jest 50 lat). Zaciąg obejmuje nawet tych niezdolnych do służby frontowej, którzy mogą jednak być kierowani do formacji pomocniczych, zastępując żołnierzy wysyłanych na front.

Armię Ochotniczą po części finansują obywatele, przekazując pieniądze i wyposażenie (np. siodła, czasem nawet broń). A także konie – bo oprócz pułków piechoty tworzone są też formacje kawaleryjskie.

W ciągu trzech miesięcy, do końca września, do Armii Ochotniczej zgłosi się prawie 106 tys. osób, z tego niemal połowa w pierwszych dwóch tygodniach sierpnia. Ponad 50 tys. z nich trafi do piechoty, co dziesiąty do kawalerii lub artylerii, reszta do służb technicznych i tyłowych. To spora siła: dla porównania, 1 września 1920 r. stan całej armii będzie wynosić niespełna 950 tys. żołnierzy, z tego 350 tys. na froncie.

Uczniowie, studenci, chłopi

Zgłaszający się trafiają nie tylko do specjalnie formowanych jednostek, które w nazwach mają przymiotnik „ochotniczy", ale także do istniejących już oddziałów.

Takich jak 20. Pułk Piechoty, utworzony już pod koniec 1918 r. w Krakowie. Mówi się, że służą w nim miejscowe „kindry i chachary krakowskie" („kinder" to gwarowe określenie chłopaka z przedmieść Krakowa, a „chachar" to łobuz). Do niego trafia Józef Mądry. „Większość żołnierzy to byli profesorowie z Krakowa, akademicy [tj. studenci] i zwykli obywatele z okolic Krakowa. Każdego tygodnia odchodziła jedna kompania ochotnicza na front bolszewicki. Szli starsi żołnierze, niektórzy z poważnymi brzuszkami, i młodzi osiemnastoletni" – będzie wspominać. On sam zostaje przydzielony do batalionu zapasowego, zajmującego się szkoleniem; ostatecznie nie weźmie udziału w walkach.

Z powiatu tarnowskiego, w którym silne są wpływy ludowców, stawia się 600 chłopaków ze wsi (to prawie co trzeci z chłopskich ochotników, którzy stawili się na początku sierpnia w Krakowskiem). Zgłaszają się też rzemieślnicy: kucharki, szwaczki, krawcy, szewcy ↦

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Członkowie Generalnego Inspektoratu Armii Ochotniczej. Gen. Józef Haller w drugim rzędzie, ósmy od lewej, 1920 r.

↦ – odtąd pracujący na potrzeby armii. Jednak najwięcej jest przedstawicieli inteligencji: młodzieży akademickiej i gimnazjalnej.

„Do oddziałów ochotniczych zgłaszają się również Żydzi" – zauważa węgierski oficer obserwujący bieg tej wojny. Wśród nich jest Izrael Stempel z Tarnobrzega, uczeń siódmej klasy. Zgłasza się w grupie 15 uczniów miejscowej Szkoły Realnej. Czterech z nich nie wróci.

W Gimnazjum i Liceum im. Króla Stanisława Leszczyńskiego w Jaśle zgłasza się 300 chłopaków – prawie połowa uczniów – pod komendą dwóch nauczycieli. Jeden z nich, porucznik Roman Saphier, polegnie wkrótce pod Firlejówką koło Lwowa wraz z pięcioma swoimi uczniami, gdy atak bolszewickiej kawalerii wywoła panikę wśród słabo wyszkolonych żołnierzy.

Potrzeby i okoliczności

Najmłodszym ochotnikom za całe przeszkolenie musi wystarczyć kilkanaście dni ćwiczeń. Nie wszyscy są tym zaniepokojeni. „Dla mnie wojsko to była zmora. Nie wojna, nie bitwa, a właśnie koszary, mundur, sierżant, musztra, cały tryb wojskowy, który był mi nienawistny" – wspominał nastoletni Witold Gombrowicz, przyszły pisarz.

W 201. Pułku Ochotniczym z braku podoficerów w pierwszych dniach harcerze uczą musztry tych, którzy jej nie znają; wymarsz na front nastąpi po dziesięciu dniach szkolenia. W notatkach Leona Masztanowicza – ucznia seminarium nauczycielskiego, który 19 lipca trafia do koszar 10. Pułku Piechoty – czytamy, że intensywne ćwiczenia zajmują mu niemal cały dzień. Po czym pod datą 9 sierpnia widnieje zapis: „Wyjazd z Łowicza na front".

W innych okolicznościach tak krótkie szkolenie byłoby niemożliwe, ale latem 1920 r. okoliczności są wyjątkowe: straty w walkach z bolszewikami są ogromne. Gdy Józef Mądry zgłasza się do wojska, jego przyszła jednostka, 20. Pułk, zwany „krakowskim", bije się pod Brodami. Po paru miesiącach walk z Armią Konną z 2,3 tys. ludzi na pierwszej linii zostaje 700. Miesiąc później Lwowa będzie bronić już tylko 240 żołnierzy „Dwudziestki" (prócz zabitych, rannych i jeńców część strat stanowią żołnierze liniowi, którzy – jak notuje historia pułkowa – przebywali w „rozrośniętych ponad miarę" taborach; pojęcia PTSD jeszcze nie znano).

Nie będzie już wśród nich studenta prawa Józefa Dominika z podkrakowskich Dobczyc, który na front trafił wraz z uzupełnieniami jeszcze w czerwcu. 26-letni Dominik, zdolny szachista, któremu przepowiadano karierę, a którego na towarzyskie partie miał zapraszać Piłsudski, umrze 10 września z ran odniesionych pod Krasnem koło Lwowa.

Harcerski pułk

„Wczoraj wieczorem trochę nas ćwiczono. Dowodził jeden porucznik, który też jest harcerzem (...) Podzielono nas, harcerzy, na pięć kompanji. Jest nas 1035 [ochotników], bo są i z Poznania, z Piotrkowa i inni" – pisał w liście do rodziców Lech Dymecki z Warszawy, który zgłosił się wraz ze swoją drużyną.

Na wezwanie Armii Ochotniczej odpowiedział Związek Harcerstwa Polskiego, zwołując chorągwie z centralnej Polski do stolicy (chorągwie Lwowska, Krakowska i Wielkopolska wstępowały do wojska „u siebie"). Gdy sformowany wówczas 201. Ochotniczy Pułk Piechoty ruszał na front, harcerze stanowili w nim 70-80 proc. składu – dlatego nazwano go pułkiem harcerskim (później wydano rozkaz, że oddziały, w których druhowie stanowią ponad połowę żołnierzy, mają nosić miano „harcerskich"). Do 201. Pułku dołączyły drużyny wileńskie (wśród nich ochotnik Witold Pilecki) i „oddział szturmowy" krakowskiej 13 KDH – „Czarnej Trzynastki".

Gdy Dywizja Ochotnicza, w skład której wchodziły pułki harcerskie, biła się na północ od Warszawy, 300 harcerzy z 240. Ochotniczego Pułku broniło Lwowa, m.in. w dramatycznej bitwie pod Zadwórzem. Uchodzące za elitarne kompanie szturmowe sformowano w Kutnie z harcerzy tamtejszej drużyny i uczniów liceum.

Historycy szacują, że zgłosiło się wtedy 20-24 tys. harcerzy, chłopców i dziewcząt – zatem co piąty ochotnik był harcerzem. Większość pełniła służbę pomocniczą. Uwzględniając walczących w regularnych pułkach, ich liczba na froncie mogła sięgnąć 9 tys.; kilkuset zginęło.

Ciechanowska radiostacja

Gdy 15 sierpnia 1920 r. kawalerzyści z 203. Ochotniczego Pułku Ułanów – sformo-

wanego z ziemian, chłopów i młodzieży szkolnej spod Kalisza, Włocławka i Płocka – ruszali do ataku na zajęty przez bolszewików Ciechanów, nie mogli wiedzieć, że mają przed sobą sztab bolszewickiej 4. Armii. Uciekając, pozostawił on w miejscowej cukrowni radiostację. W ten sposób dowództwo 4. Armii straciło łączność ze swymi oddziałami. Pozbawione rozkazów, nie dowiedziały się one na czas, że ich sąsiedzi rozpoczęli odwrót spod Warszawy. Wkrótce 4. Armia została pobita.

Na odniesione w sierpniu 1920 r. zwycięstwo złożyło się wiele czynników. Atak polskiej 5. Armii gen. Władysława Sikorskiego (a w jej szeregach Dywizji Ochotniczej) nad Wisłą i Wkrą, który związał walką przeciwnika, oraz atak grupy pod dowództwem Józefa Piłsudskiego, wyprowadzony znad rzeki Wieprz na skrzydło Armii Czerwonej. W tym czasie pod Lwowem polskie siły (w tym Małopolskie Oddziały Armii Ochotniczej) zatrzymały natarcie Frontu Południowo-Zachodniego. Na strategiczne zwycięstwo złożyły się także taktyczne sukcesy poszczególnych oddziałów – jak w Ciechanowie.

Mogiła pod Andrzejewem

Szczątki dziesięciu osób. W tym: jedna osoba w wieku 25-30 lat, osiem osób w wieku 17-20 lat i jedna w wieku 14-17 lat. Guziki z orłem, guziki od bielizny... – tak niemal sto lat później będzie brzmieć sucha ocena antropologa, dokonana podczas badań zbiorowej mogiły pod Andrzejewem, na pograniczu Mazowsza i Podlasia.

Mogiłę odnaleziono kilka lat temu. Nieoczekiwanie, bo podczas poszukiwań, które miały dotyczyć pobojowisk z września 1939 r. Tymczasem okazało się, że grób kryje szczątki młodych ofiar wojny roku 1920. Udało się ustalić, że zginęli oni 4 sierpnia 1920 r. podczas walk odwrotowych. Być może pochowani w pośpiechu, być może w nieoznaczonej mogile, zostali zapomniani.

Podczas powtórnego uroczystego pogrzebu odnalezionych żołnierzy – należących do 201. Pułku Ochotniczego – towarzyszył im sztandar drużyny harcerskiej ze Skarżyska Kamiennej. Uszyty w 1919 r. i szczęśliwie przechowany do dziś. Ten sam, który latem 1920 r. odprowadzał ich na front. ©KRZYSZTOF PIĘCIAK

AUTOR *jest historykiem, pracuje w Biurze Poszukiwań i Identyfikacji IPN w Krakowie. Autor opracowań nt. jednostek Wojska Polskiego w latach 1918-39, m.in. 6. Dywizji Piechoty i 20. Pułku Piechoty Ziemi Krakowskiej.*

ROMAN ZAWISTOWSKI / PAP

Tablica na dworcu w Skierniewicach upamiętniająca pomoc Węgier dla Polski w czasie wojny polsko-bolszewickiej.

Miliony węgierskich nabojów

„CZY JEST MOŻLIWE połączyć w węgierskim oddziale Związku byłych legionistów wraz z byłymi ochotnikami Armii Polskiej 1918–1920 r.? Tych ostatnich jest na Węgrzech spora ilość, a część ich służy dotąd w armii węgierskiej" – pisał w 1932 r. do prezesa Związku Legionistów Polskich ambasador w Budapeszcie Stanisław Łepkowski. Korespondencja dotyczyła Węgrów, którzy kilkanaście lat wcześniej służyli w polskich jednostkach jako ochotnicy. Już w Legionach Polskich stanowili trzecią najliczniejszą narodowość, po Polakach i Żydach. Natomiast latem 1920 r. węgierscy ochotnicy brali udział w obronie przed bolszewikami Drohobycko-Borysławskiego Zagłębia Naftowego, a w sierpniu pod Stryjem odpierali próbującą obejść Lwów Armię Konną.

„Mam zaszczyt poinformować, że Naczelne Dowództwo Wojska Polskiego (...) zgadza się (...) na uformowanie przy Wojsku Polskim Legionu Węgierskiego" – pisał 10 sierpnia 1920 r. szef sztabu WP gen. Tadeusz Rozwadowski do węgierskiego delegata. Ostatecznie taki Legion nie powstał, Armia Czerwona została odrzucona spod Warszawy.
Było to możliwe również dzięki pomocy materiałowej rządu w Budapeszcie. W 1919 r. Węgry doświadczyły u siebie bolszewickiej rewolucji i wiedziały, że powstrzymanie Armii Czerwonej jest również w ich interesie: jeśli upadnie Warszawa, następnym celem będą Berlin i właśnie Budapeszt. Tymczasem latem 1920 r. polska armia pilnie potrzebowała amunicji, a w kraju nie było ani jednej fabryki, która by ją produkowała. 8 lipca minister obrony István Sréter nakazał skierować do Polski cały zapas nabojów z magazynów armii węgierskiej. Mimo trudnych stosunków z Rumunią (po I wojnie światowej Węgry utraciły na jej rzecz Siedmiogród), Budapeszt wynegocjował tranzyt uzbrojenia dla Polski przez jej terytorium. W pierwszym transporcie pojechał milion nabojów, potem kolejne. W przeddzień rozstrzygających walk pod Warszawą, 12 sierpnia, w Skierniewicach wyładowano węgierskie dostawy: 21-22 mln nabojów. Nie przesadzał gen. Rozwadowski, gdy mówił do przedstawiciela węgierskiej misji wojskowej: „Byliście jedynym narodem, który naprawdę chciał nam pomóc". Łącznie do Polski trafiło 58 mln sztuk węgierskiej amunicji, 40 mln zapalników, a także sporo innego wyposażenia (np. kuchnie polowe). Dla porównania: 5 lipca 1920 r. cały zapas nabojów do poaustriackich karabinów typu mannlicher (jednego z najpopularniejszych typów uzbrojenia w Wojsku Polskim, używanego też przez Węgrów) wynosił ok. 30 mln sztuk – i był to zapas wystarczający tylko na jakieś 25 dni walki. © KP

PRZYBYSZE Z PÓŁKSIĘŻYCA

Już 4-6 tys. lat temu w osadach na ziemiach polskich grasowały koty. Przywędrowały z Bliskiego Wschodu za pierwszymi Europejczykami. I myszami.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

W kwestii pochodzenia jest tajemniczy wręcz przysłowiowo. Zwłaszcza jak na zwierzę domowe żyjące niemal u co czwartego człowieka – według przeprowadzonego w 22 krajach sondażu GfK z 2016 r. przegania go w popularności tylko pies, kompan co trzeciego respondenta. Wciąż stosunkowo niewiele wiemy o tym, skąd się wziął i jak doszło do jego udomowienia.

– Historia kota ma zupełnie kocią naturę – mówi dr Magdalena Krajcarz, archeozoolożka z Instytutu Archeologii UMK w Toruniu. Jest pierwszą autorką opublikowanych właśnie w prestiżowym czasopiśmie naukowym „PNAS" badań, które rzucają nieco więcej światła na ślady kocich łapek odciśnięte krok w krok, acz z pewnym dystansem, za historią naszego gatunku.

Tę historię badacze wyczytali z kilku kostek.

Kocia kołyska

Jeszcze do niedawna nauka nie wiedziała nawet, od którego dzikiego gatunku z rodzaju Felis pochodzą koty domowe. Pretendentami było pięć gatunków żbików: nasz żbik europejski, bliskowschodni kot nubijski zwany też żbikiem afrykańskim, kot kafryjski z Afryki Południowej, kot stepowy z Azji i kot tybetański. Rozstrzygnięcie przyniosły w 2007 r. badania zespołu Carlosa A. Driscolla.

Przetestował on genetycznie 979 domowych i dzikich kotów z całego świata. Badano DNA mitochondrialne, pochodzące z komórki jajowej, a zatem przekazywane wyłącznie przez matki. Takie badania pozwalają np. oszacować, kiedy i gdzie żyła umowna pramatka wielkich grup ludzkości. I tak nasza mitochondrialna Ewa żyła w Afryce ok. 140–240 tys. lat temu. A mitochondrialna prakocica okazała się pochodzić z Bliskiego Wschodu. Ściślej: wszystkie domowe koty świata wywodzą się od kota nubijskiego – z co najmniej pięciu matczynych linii sięgających 100 tysięcy lat wstecz.

Udomowienie kotów, jak wskazują dowody archeologiczne, zaczęło się ok. 9-10 tys. lat temu, podczas rewolucji neolitycznej. To wtedy, po ustąpieniu ostatniego zlodowacenia, ludzie stopniowo porzucają zbieracko-łowiecki tryb życia, który prowadzili przez ostatnie setki tysięcy lat. W dogodnym klimacie, na terenach od dzisiejszego Egiptu przez Syrię po Mezopotamię, zwanych Żyznym Półksiężycem, pojawiają się trawy, których nasiona można zbierać, selekcjonować i siać. A żeby to robić, nie da się już być nomadą, powstają więc coraz gęściej zaludnione osady.

Kot nubijski (żbik afrykański), rycina Christophe'a Annedouche'a, wg Antoine'a J. B. Vaillanta, 1850 r.

SCIENCE & SOCIETY PICTURE LIBRARY / GETTY IMAGES

– Ludzie zaczynają też zarządzać gatunkami, które do tej pory były tylko zwierzyną łowną – opowiada dr Krajcarz. – Ale udomowienie kota przebiegło zupełnie inaczej niż owcy czy kozy.

Otóż protoplastów rogacizny najpewniej schwytano i hodowano w zagrodach. Ale jak schwytać kota nubijskiego? „10 tys. lat temu w Żyznym Półksiężycu nie dało się zamknąć okna – zauważył trzeźwo Carlos A. Discroll na łamach „National Geographic". – Kot w pewnym sensie udomowił się sam".

I nie skłoniła go do tego raczej miseczka mleczka na progu neolitycznego domostwa. Tam, gdzie przechowuje się zboże, tam lgną myszy. I to one przyciągnęły uwagę dzikich mruczków.

Ślady w jaskiniach

– Gdy zaczynaliśmy badania, stan wiedzy na temat obecności kota domowego w Europie był taki, że dotarł on do nas najpewniej ze starożytnego Egiptu, skąd pochodzą dowody na jego udomowienie, poprzez Grecję i Rzym. Na dalsze części świata rozprzestrzeniał się głównie dzięki żeglarzom. I że właśnie w okresie rzymskim, z legionami, dotarł do Europy Środkowej – mówi dr Krajcarz. – Spodziewaliśmy się więc, że najstarsze szczątki kotów z Polski pochodzić będą z początku naszej ery.

Dlatego gdy z zespołem archeologów znalazła kocią żuchwę, która okazała się starsza, bo pochodziła sprzed kilkuset lat przed naszą erą, archeozoolożce zapaliło się czerwone światełko. Ale na

TONY CAMACHO / EAST NEWS

Koty nubijskie występują na wolności niemal we wszystkich afrykańskich ekosystemach oraz w części Azji. Zdjęcie z Kgalagadi Transfrontier Park na terenie RPA.

podstawie samego wyglądu kości nie da się stwierdzić, czy był to kot, czy lokalny żbik europejski. Z pomocą przyszły badania DNA.

– Nasz kot okazał się żbikiem europejskim, ale gdy opublikowaliśmy nasze wyniki, odezwali się koledzy z Krakowa – opowiada. – Właśnie badali kocią kość z Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej, datowaną na okres neolitu. Tylko że z badań genetycznych wynikało, że ich znalezisko to nie żbik europejski, lecz kot nubijski. To było wielkie zaskoczenie.

Badacze postanowili więc przetestować genetycznie wszystkie znane szczątki żbików z terenu Polski, datowanych na okres neolitu lub wcześniej. – Okazało się, że kot nubijski w neolitycznej Polsce to nie takie rzadkie znalezisko – uśmiecha się dr Krajcarz.

Zgromadzili szczątki kotów nubijskich z położonych na Wyżynie Krakowsko-Częstochowskiej jaskiń w Kruczej Skale, Perspektywicznej, w Smoleniu III i Żarskiej. Pochodziły z 4,2 do 2,3 tys. lat p.n.e. Niedaleko, na terenach Niecki Nidziańskiej, znajdowały się wtedy duże osady ludzkie, a na samej wyżynie ówcześni mieszkańcy tych terenów kopali krzemień.

Czy więc owe neolityczne koty mogły już być udomowione? To fundamentalne pytanie, bo kot domowy i jego dziki nubijski przodek genetycznie się w zasadzie od siebie nie różnią. – Tu badania paleogenetyczne nie były nam w stanie dać odpowiedzi – mówi badaczka.

W dodatku to okres, w którym kot jest dopiero udomawiany w Egipcie. Skąd wziąłby się już wtedy w południowej Polsce? Kluczem do rozwiązania zagadki był fakt, że nie tylko my jesteśmy tym, co jemy. Koty także.

Co mówią myszy

Migrując z Żyznego Półksiężyca na północ, ludzie karczowali lasy pod uprawy zbóż, a żeby pola się nie wyjaławiały, nawozili je zwierzęcym nawozem, bogatym w azot. Tak się natomiast składa, że rośliny nawożone zawierają więcej jednego z dwóch stabilnych izotopów azotu występujących w przyrodzie: 15^{N}, czyli liczącego w jądrze 7 protonów i 8 neutronów. W roślinach dzikich udział azotu 14^{N}, z 7 neutronami, jest większy.

– Skład izotopowy naszego pożywienia przekłada się na skład naszych tkanek – tłumaczy dr Krajcarz. – Izotopy w kościach informują nas, jakie rodzaje pokarmu uformowały szkielet. Główne pierwiastki pochodzące z diety, które możemy odczytać z kości, to węgiel i azot. Źródłem tego drugiego są głównie białka zwierzęce.

I tego sygnału szukali badacze w kościach mięsożernych kotów: jeśli jadły myszy, które żerowały na ziarnie z pól uprawnych, w ich kościach powinno się znajdować więcej azotu 15^{N}, niż gdyby polowały na drobne zwierzęta żyjące dziko. Badania interdyscyplinarnego zespołu, w skład którego wchodzili też badacze z PAN, UW, UJ oraz z Niemiec i Belgii, sfinansowało Narodowe Centrum Nauki. Wyniki zespół porównał z rezultatami dla ówczesnych ludzi, gryzoni, psów, ptaków i zwierząt domowych. A także dla żbików europejskich z neolitu oraz tuż sprzed niego.

– Dostaliśmy bardzo jasny obraz, że coś się dzieje w całym ekosystemie – opowiada archeozoolożka. – U niektórych zwierząt dzikich widać sygnał środowiska niezmienionego przez człowieka, ale u części gryzoni wyniki są podobne do zwierząt domowych i człowieka. Pojawia się komponent rolniczy. Musiały więc żerować na polach.

Wyraźną zmianę w diecie widać też u żbików europejskich sprzed neolitu i tych neolitycznych: chcąc nie chcąc, miejscowi kuzyni kotów musieli się ↦

↦ żywić zwierzętami żerującymi na polach, bo tych było coraz więcej.

A koty nubijskie? Okazało się, że chodziły własnymi drogami. – Ich wyniki wypadły w połowie drogi między dzikimi żbikami europejskimi a psem i człowiekiem.

Oznacza to, że neolityczne koty z polskich jaskiń nie były przez człowieka dokarmiane i żywiły się tym, co upolowały – ale polowały w ludzkim otoczeniu, korzystając ze zmian, które w środowisko wprowadzał człowiek. Karczowanie lasów spychało lokalną, żbiczą konkurencję głębiej w knieje, a pola i spichlerze zapewniały obfitość gryzoni i ptaków.

Takie zwierzęta naukowcy nazywają synantropijnymi – przystosowanymi do ludzkiego środowiska. Jak dzisiejsze gołębie, myszy, kuny czy, za przeproszeniem, karaluchy. Kot nubijski nie przywędrował do dzisiejszej Polski z człowiekiem, lecz za człowiekiem.

I być może miał jeszcze jedną przewagę. – Dziki kot nubijski różni się od żbika europejskiego temperamentem – mówi badaczka. – Łatwiej się oswaja, przyzwyczaja się do człowieka. To przyczyniło się do jego sukcesu.

Ale kiedy stał się kotem domowym?

Nowa fala

– To najtrudniejsze pytanie – przyznaje dr Krajcarz. – Wśród szczątków, które datowaliśmy, jest przerwa czasowa. Mamy koty neolityczne, a następne pojawiają się dopiero w okresie rzymskim i jest to inna linia genetyczna niż ta z neolitu.

Niewykluczone, że koty nubijskie, które przywędrowały za pierwszymi Europejczykami, nie zdążyły się udomowić. – Utraciwszy kontakt ze źródłową populacją na południu, mogły wymrzeć bądź rozpłynąć się wśród żbików europejskich, bo oba te gatunki się krzyżują – tłumaczy badaczka. – A później koty pojawiły się u nas za sprawą kontaktów ze światem rzymskim.

Zespół chce zapełnić tę chronologiczną lukę i już zaczyna nowy projekt, skupiony na genetyce żbików.

– Na początek – mówi archeozoolożka – musimy znaleźć więcej kotów.

©℗ MICHAŁ KUŹMIŃSKI

▪ Posłuchaj rozmowy z dr Magdaleną Krajcarz w Podkaście Powszechnym: powszech.net/ /prakoty oraz w Spotify, Apple Podcasts, Google Podcasts i w aplikacji Lecton.

Kto odkrył Amerykę

ŁUKASZ KWIATEK

Coraz więcej dowodów wskazuje na to, że kolonizacja Nowego Świata rozpoczęła się dwa razy dawniej, niż sądziliśmy.

Gdy idzie o szczegóły, paleoantropolodzy rzadko się z sobą zgadzają. Nie ma w tym nic dziwnego – ich teorie opierają się na tym, co uda się wykopać z ziemi, a ludzkich skamieniałości i dawnych narzędzi wciąż mamy zbyt mało, by na ich podstawie odtworzyć kompletny obraz naszej prehistorii.

Obok zasadniczej teorii, zgodnie z którą *Homo sapiens* skolonizował Amerykę ok. 15-16 tys. lat temu, od dawna pojawiały się także mniej popularne sugestie, że do najwcześniejszej migracji do Nowego Świata doszło nawet kilkanaście tysięcy lat wcześniej. Najnowsze odkrycia z Meksyku silniej wskazują na ten drugi scenariusz.

Ziemia obiecana

Nikt nie wątpi, że Ameryki były ostatnimi skolonizowanymi przez *Homo sapiens* kontynentami. Nic też nie wskazuje na to, by jakiś wcześniejszy gatunek człowieka dotarł do Nowego Świata. Dlatego przed pierwszymi Amerykanami – koczowniczymi łowcami-zbieraczami – otwarła się ziemia obiecana. Bogate ekosystemy, ogromna przestrzeń, którą przemierzały stada zwierząt nieprzetrzebione przez żadnych myśliwych. Wśród nich olbrzymie ssaki – mamuty, mastodonty czy leniwce z rodzaju *Megaterium* – które nie miały wcześniej okazji nauczyć się lęku przed drapieżnikami.

Od dawna wiadomo także, że pierwsi mieszkańcy Nowego Świata musieli przybyć z Azji. Nazwanie rdzennych Amerykanów „Indianami" nie było więc aż tak wielką kompromitacją Krzysztofa Kolumba. Jednak dopiero hiszpański jezuita i naturalista José de Acosta prawie sto lat później domyślił się, dlaczego amerykańscy Indianie przypominają Azjatów. Jeszcze przed odkryciem przez Europejczyków Cieśniny Beringa zasugerował on, że gdzieś na północy musiało istnieć lądowe połączenie Azji i Ameryk. I to właśnie tamtędy przywędrowali amerykańscy Indianie, bo prehistoryczne ludy zbieracko-łowieckie nie mogły po prostu zbudować statków, by przeprawić się przez ocean.

Jednak przejście drogą lądową też nie jest proste – wymaga nie tylko rozwiniętej kultury, ale i sprzyjających okoliczności. Poziom mórz musiał być na tyle niski, by można było przejść suchą stopą – lub przepłynąć na tratwach – przez obecną Cieśninę Beringa, z wschodniej Syberii do Alaski. Epoka lodowcowa ułatwiała sprawę: miliony kilometrów sześciennych wody uwięzione zostały na lądzie, co obniżyło jej poziom w oceanie. Jednak lodowiec długo zalegał także na terenie dzisiejszej Kanady – blokując podróż w gościnniejsze regiony Nowego Świata. Potrzebne więc było ocieplenie klimatu, ale niezbyt gwałtowne: takie, by w lodowej pokrywie Ameryki utworzył się „zielony korytarz" w głąb kontynentu, a równocześnie podnoszący się poziom wód nie zalał lądowego przejścia między Azją i Ameryką.

Geny pierwszeństwa

Klimatolodzy ustalili, że takie warunki wystąpiły około 13 tys. lat temu. Na wschód od niegościnnych Kordylierów powstało wąskie przejście między

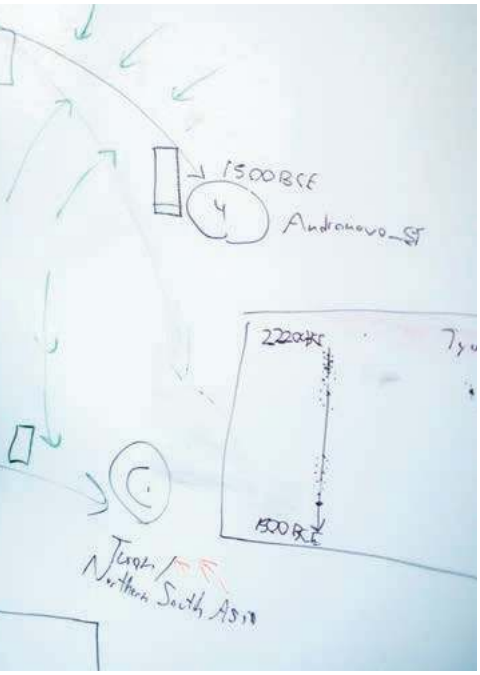

KAYANA SZYMCZAK / NEW YORK TIMES / EAST NEWS

David Reich, genetyk i badacz historii ludzkich migracji. USA, Boston, 2018 r.

dwoma fragmentami lodowca. Paleoantropolodzy znaleźli zaś w pierwszej połowie XX w. w wielu miejscach Ameryki Północnej ślady ludzkiej obecności sprzed ok. 13 tys. lat – ludzkie skamieniałości, kamienne ostrza wytwarzane wszędzie taką samą technologią i pogruchotane szkielety dużych ssaków.

Wszystko zaczęło się układać w spójną opowieść: te ślady pozostawiła jedna populacja, która skorzystała z otwartego przejścia między dwiema częściami lodowca i rozprzestrzeniła się po całym kontynencie, żywiąc się amerykańską megafauną. Jeszcze w latach 90. XX w. uważano, że to z tej grupy – nazwanej kulturą Clovis – wywodzą się wszystkie, tak bardzo zróżnicowane pod kątem języka, wyglądu i kultury populacje obu Ameryk.

O tym, że Clovis nie byli jednak najstarszymi Amerykanami, naukowcy dowiedzieli się pod koniec XX w. dzięki znaleziskom z Ameryki Południowej, m.in. na stanowisku Monte Verde II w Chile. Odkryto tam kamienne groty – bez wątpienia wytworzone ludzką ręką, różne od tych, których używali członkowie kultury Clovis. Co więcej, okazało się, że przynajmniej część z tych narzędzi pochodzi sprzed 14,5 tys. lat. To nie tylko dobry tysiąc lat przed pojawieniem się kultury Clovis – ale także tysiąc lat przed otwarciem się zielonego korytarza w pobliżu Kordylierów. Kim zatem byli ci ludzie – i skąd się wzięli?

W ostatniej dekadzie paleoantropolodzy zyskali nowe, potężne narzędzie: badania genetyczne. Śledząc podobieństwa i różnice genetyczne między członkami różnych populacji – zarówno współczesnych, jak i wymarłych, dzięki badaniom DNA wyekstrahowanego ze skamieniałości – naukowcy zaczęli rekonstruować historię rozmaitych grup ludzi i ich migracji. Zespół Davida Reicha, jednego z pionierów takich badań, wykazał, że współcześni rdzenni mieszkańcy Ameryki wywodzą się z kilku fal migracyjnych, choć zdecydowana większość z nich – z jednej dominującej.

Tę główną grupę o wspólnym dziedzictwie genetycznym Reich nazwał Pierwszymi Amerykanami (do liczebników w paleoantropologii nie warto się jednak przywiązywać). Wywodziła się ona z plemion zamieszkujących Syberię. Przypuszczano, że mogła przywędrować ok. 15-16 tys. lat temu. Być może to ci ludzie dotarli aż do Chile, gdzie zostawili ślady w Monte Verde II.

Populacja Y

Obok Pierwszych Amerykanów zespół Reicha odnalazł także ślady bardziej tajemniczej grupy, nazwanej Populacją Y. Niewielki odsetek ich genów posiadali wyłącznie mieszkańcy kilku amazońskich plemion (pozostała domieszka genów pochodziła u nich od Pierwszych Amerykanów). Okazało się też, że w przeciwieństwie do Pierwszych Amerykanów Populacja Y musiała być bliżej spokrewniona z rdzennymi mieszkańcami Australii i Nowej Gwinei aniżeli z plemionami Syberii.

Genów Populacji Y nie odnaleziono w skamieniałościach pozostawionych przez kulturę Clovis. Obraz migracji mocno się skomplikował – sam Reich sugerował, że członkowie Populacji Y mogli przedostać się przez Cieśninę Beringa wcześniej niż Pierwsi Amerykanie (i jakiś czas po tym, jak oddzielili się od populacji, której część trafiła do Australii). Gdy Pierwsi Amerykanie wędrowali na południe, wypierali członków Populacji Y. Jej spadkobiercy przetrwali do dzisiaj jedynie w najbardziej niedostępnych regionach Amazonii.

Jak jednak obie te grupy przedostały się aż do Ameryki Południowej, skoro na północy zalegał wówczas lodowiec? Być może skorzystały z innej drogi – przybrzeżnej. Od 26 do 19 tys. lat temu epoka lodowcowa znajdowała się w szczytowej fazie – pokrywa lodowa była najgrubsza, a poziom wód najniższy. O przejściu przez Kanadę nie mogło być mowy aż do otwarcia się korytarza 13,5 tys. lat temu. Ale jakiś czas wcześniej – ok. 16 tys. lat temu – lodowiec mógł się zacząć cofać i odsłonił wybrzeże Pacyfiku. Z powodu niższego poziomu wód linia brzegowa musiała się wówczas znajdować znacznie dalej niż dzisiaj. Najstarsi kolonizatorzy Ameryki mogli więc przemieszczać się przy brzegu, obchodząc pokrywający Kordyliery lodowiec z zachodu, w miejscu, które obecnie znajduje się pod wodą – i z tego powodu nie znaleźliśmy żadnych śladów ich wędrówki.

Przy czym nie musieli to być ani Pierwsi Amerykanie, ani Populacja Y – albo przynajmniej jedna z tych grup mogła przybyć do Ameryki znacznie wcześniej.

Ślady z Meksyku

Pod koniec lipca Ciprian Ardelean i współpracownicy poinformowali w „Nature" o znaleziskach z meksykańskiej jaskini Chiquihuite. Odkryto tam prawie 2 tys. kamiennych narzędzi, z których część znajdowała się w warstwach podłoża datowanych na 25-32 tys. lat. Autorzy przekonują, że to znacznie przesuwa okres pierwszej migracji do Ameryki. Żadna taka wyprawa nie mogła się udać w okresie maksimum zlodowacenia, musiała więc odbyć się jakieś 31-33 tys. lat temu. Kim ci ludzie byli i którędy przyszli? Nie wiadomo.

Już wcześniej na kilku mniejszych stanowiskach w obu Amerykach odkryto narzędzia leżące w warstwach ziemi liczących 20-30 tys. lat. Większość specjalistów odrzucała jednak te niepasujące do wiodącej narracji ustalenia, argumentując, że takie narzędzia mogły przypadkiem zagrzebać się w nieco starszym podłożu. Dyskredytowanie odkrycia z jaskini Chiquihuite będzie trudniejsze ze względu na samą liczbę znalezionych artefaktów.

Najbardziej przekonujące byłyby oczywiście ludzkie skamieniałości, które dałyby genetyczny obraz najstarszej amerykańskiej populacji. Niestety, tak starych okazów w Amerykach nadal nie znaleziono. ©℗

WIATR W LEWYM UCHU

PIOTR PAZIŃSKI, PISARZ:

Wyniszczający konflikt między cywilizacją a przyrodą, w którym raz jedna, raz druga strona wygrywa, jest nad Bałtykiem szczególnie odczuwalny.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Ile razy przeszedłeś polskie wybrzeże Bałtyku?

PIOTR PAZIŃSKI: Niektóre odcinki wielokrotnie, ale całość tej trasy – od Międzyzdrojów do Helu – tylko raz.

Ile to zajęło?

Trzynaście dni, ale rozłożone na trzy sezony. Znam takich, co robią tę trasę w dziesięć albo i mniej, w jednym sezonie, ale to mordercze tempo.

Spotykasz podobnych sobie wędrowców?

Poza sezonem to się zdarza. Z jednym mężczyzną minąłem się kilkakrotnie – wyprzedzaliśmy się na zmianę.

Pozdrawiacie się?

Tak, ale nie ma mowy o wspólnym wędrowaniu. Obowiązuje etos samotnej wyprawy. Nawet gdy idziesz ze znajomym, to wciąż przez większość czasu jesteś sam. Co jakiś czas wymienia się kilka zdań, potem godzinami się milczy. No i każdy idzie swoim tempem, to bardzo ważne.

Idziesz pasem mokrego piachu przy samym morzu?

To zależy od pory roku. Latem można boso, więc idzie się tym skrawkiem, który już trochę należy do morza, a trochę jeszcze do plaży. Z kolei w lutym zakładasz trzy polary i najcieplejsze buty, bo inaczej dramat. Wtedy nie możesz sobie pozwolić na zalanie butów, więc cały czas wyszukujesz ścieżki, gdzie piach jest najmniej sypki. Bałtyckie plaże wbrew pozorom nie są jednakowe i mogą mieć najróżniejsze formy. Na przykład w okolicach Słowińskiego Parku Narodowego jest szeroko i równo, a do tego całkiem pusto, bo turyści się tam nie zapuszczają. Gorzej, gdy brzeg robi się stromy, jak np. na Półwyspie Helskim, który jest chyba najtrudniejszym odcinkiem na polskim wybrzeżu. Idzie się wtedy po krzywiźnie, co po kilku kilometrach czujesz we wszystkich stawach i mięśniach.

Kierunek marszu ma znaczenie?

Zazwyczaj idę z zachodu na wschód. W tym kierunku najczęściej wieje wiatr nad morzem, przez co idzie się trochę łatwiej. Albo przynajmniej tak się wydaje. Konsekwencją takiego wyboru jest to, że lewa noga zapada się głębiej, a prawa się przykurcza. Przy dużych odległościach takie rzeczy trzeba brać pod uwagę.

Jakiś specjalny sprzęt?

Kijki są niezbędne. I nie chodzi o jakiś modny *nordic walking*, ale o odciążenie stawów skokowych.

Co jeszcze trzeba zabrać?

Olbrzymi zapas plastrów i maści na otarcia. Kiedyś zużyłem całą tubę podczas jednej wyprawy. Ale też bez przesady, nie jest to żaden sport ekstremalny. Wystarczy trochę kondycji i samozaparcia. A, i najważniejsze – ciepła czapka, nawet w czerwcu. Krótkie spodnie i tiszert wystarczą, pod warunkiem, że masz zakryte uszy. Nikt nie wytrzyma godziny północnozachodniego wiatru wiejącego prosto w lewe ucho. Gdy wędrujesz przez góry, wiatr się zmienia, nad morzem jest jednostajny. To też trzeba brać pod uwagę, zwłaszcza że idziesz przez wiele kilometrów w tym samym kierunku.

Dużo chodzisz na co dzień?

Bez przerwy. Codziennie snuję się po Warszawie, czasem z celem, czasem bez celu.

Liczysz kroki i kilometry?

Nie, absolutnie. Tylko nad Bałtykiem, ale to wynika z pragmatyki. Musisz wiedzieć, ile już przeszedłeś, a ile jeszcze przed tobą.

Jaki był Twój najdłuższy odcinek?

36 kilometrów, w Słowińskim Parku Narodowym. Oczywiście można więcej, ale też chyba nie miałoby to już sensu.

Szukanie kwatery poza sezonem nad polskim morzem nie jest chyba łatwe.

Dlatego wiele osób wybiera namiot, ale ja nie lubię ciężkiego plecaka. Noszę tylko taki dwukilowy namiot, który zdarzało mi się w sytuacjach kryzysowych rozbijać na wydmach. Ratunkiem bywają kampingi, które przyjmują nawet w środku lata. Gorzej z innymi kwate-

PIOTR PAZIŃSKI

rami – w sezonie wynajem na jedną noc w ogóle nie wchodzi w grę. Ale między październikiem a kwietniem wcale nie jest lepiej. Wszystko zamknięte na głucho, a jak się próbujesz dobijać, to patrzą krzywo i mówią, że na jedną noc to bez sensu, bo trzeba by włączyć ogrzewanie, odkurzyć, zmienić pościel i tak dalej. Za te 50 czy nawet 100 złotych nie warto wybudzać się z zimowej hibernacji. Dwa razy – we Władysławowie i w Jastarni – zdarzyło mi się wręcz żebrać o nocleg. Osobny wątek to brak, poza dwoma wyjątkami – w Ustce i Łebie – schronisk PTTK. Współczesny model turystyki wymiótł je znad polskiego morza.

W sezonie – gdy zewsząd atakują pluszowe foki, rozkręcone na maksa automaty do gier i inne dmuchano-plastikowe atrakcje – idziesz mimo wszystko?

W oczywisty sposób jest to straszne, ale wtedy wystarczy omijać kurortowe plaże. A nawet trzeba, bo nie da się po nich przejść – wszędzie zasieki z leżaków i parawanów. Pozostaje szukać innej drogi, np. lasem, który jest przepiękny – sosnowy i pachnący – ale na ładnych parę kilometrów tracisz z oczu morze. Nie zrozum mnie źle – nie chcę narzekać i obrażać się na rzeczywistość, krytykując wszechobecny kurortowy kicz. Po prostu tego nie lubię, podobnie jak nie lubię tłumów. Spokojnie więc przeczekuję najgorętszy moment, bo przez większą część roku tego w ogóle nie ma. Można wtedy co najwyżej spotkać kuracjuszy z domów zdrojowych, a to zupełnie inna historia.

Letnie kurorty zimą mają swój niepowtarzalny urok.

Oczywiście, zwłaszcza jak masz nieco melancholijne podejście do rzeczywistości. Lubię też do nich zachodzić, jak już się robi cieplej, ale jeszcze nie ma nikogo – przełom kwietnia i maja. Zaczyna się krzątanina, ale wciąż panuje cisza przed turystyczną burzą. Te wszystkie dmuchane zamki i dinozaury wciąż leżą sflaczałe na piasku – to dla wyobraźni bardzo kusząca sceneria. Niesamowita wręcz: trochę nierealna, a trochę niepokojąca.

Albo gdy się to wszystko zwija.

Wrzesień to oczywiście najbardziej melancholijny miesiąc. Niesprzedane foki wracają do pudełek, przyczepy zwożą leżaki i kosze z plaży, odjeżdżają ostatnie autokary.

Na plaży w Dębkach przed wojną był słup graniczny – zaczynał się tam ten wąski pasek polskiego wybrzeża. Kiedy wędrujesz brzegiem, widać jeszcze jakąś różnicę?

Nie, to już się dawno rozmyło, urbanistycznie i estetycznie współczesne polskie wybrzeże jest mocno zunifikowane. Ale w wielu miejscach przebijają inne duchy przeszłości – co rusz trafia się na nieczynne poligony wojskowe, bunkry czy inne pomilitarne gruzy. To duża zmiana, bo jeszcze niedawno wiele odcinków wybrzeża było szczelnie ogrodzone drutem kolczastym – między Jarosławcem a Ustką właściwie nie dało się przejść. A teraz, gdy to wszystko się zwinęło, zostały przepiękne, zupełnie puste przestrzenie. Jeszcze nieskolonizowane turystycznie, dlatego to najpiękniejsze miejsca nad Bałtykiem.

Ten spękany beton i zardzewiały metal zostanie z nami na długo.

Bałtyk ze względu na skomplikowaną geopolitykę był chyba jednym z najbardziej zmilitaryzowanych akwenów w naszej części świata. To odcisnęło na nim trwały, fizyczny ślad. Szczególnie na dawnych terenach niemieckich, które były przez dekady umacniane i fortyfikowane. A teraz zostały z tego dziwne zony, nieustannie przypominające o wojnie, a jednocześnie już bezużyteczne. Zdewastowane i anachroniczne. Wszystko powoli, ale konsekwentnie kruszeje i zarasta. Uwielbiam obserwować, jak przyroda odzyskuje wydarte jej wcześnie tereny.

Znowu wracamy do melancholijnego piękna...

↦

↦ ...które jeszcze podbija fakt, że to wcale nie jest dzika, endemiczna przyroda, bo te wszystkie sosenki i dzikie róże, bez których już nie da się pomyśleć bałtyckiego wybrzeża, są tam stosunkowo od niedawna. W większości zostały przywiezione z innych części świata, np. z Alp albo Karkonoszy.

Bunkry zarastają, ale apartamentowce się rozrastają.

Nadmorskie miejscowości rozlewają się po krajobrazie w niekontrolowany sposób. Tkanka urbanistyczna – możemy się oczywiście spierać o jej urodę – która została po PRL-u, znika szczelnie oklejona przez kolejne hotele, apartamentowce i baseny. A wszystko jak to zwykle we współczesnej Polsce – bez pomysłu, bez dbania o przyrodę, za to z nowobogacką pazernością. Architektura z poprzedniej epoki, choć siermiężna, miała swój charakter, o wpisywaniu się w krajobraz nie wspominając. Dlatego wciąż budzi moją sympatię, nawet jeżeli wszędzie łuszczy się farba i zalatuje nieco stęchlizną. Jeżeli trend się nie zmieni, wkrótce polskie wybrzeże będzie wyglądać jak te najgorsze miejsca nad Morzem Śródziemnym, gdzie hotelopodobne budynki ciągną się całymi kilometrami.

Kierunek i krajobrazy mamy już z grubsza omówione. Pozostaje pytanie najważniejsze – po co? Dlaczego ktoś decyduje się na wielodniową wędrówkę przez piach i wiatr?

Oczywiście celem jest bezcelowa wędrówka, a sama trasa to tylko arbitralna rama, pomagająca ogarnąć to logistycznie. No ale dochodzą cele poboczne, choćby potrzeba udowodnienia sobie czegoś. Czy po całym roku siedzenia za biurkiem dasz kondycyjnie radę? A przy okazji przewietrzasz głowę. Nawet trzy dni, kilkadziesiąt kilometrów wystarczy, żeby się wyciszyć, uspokoić, wprowadzić mózg na zupełnie inne tory. Marsz wzdłuż brzegu ma tę przewagę, że wyznacza ci w oczywisty sposób kierunek, ale jednocześnie nie wymusza podążania już wyznaczonymi ścieżkami czy szlakami.

Kiedy to odkryłeś?

Stosunkowo późno. Jako dziecko jeździłem nad Bałtyk – ale wtedy było to doświadczenie stacjonarne. Przyjeżdżało się w jedno miejsce i trzeba było tam siedzieć. Inna sprawa, że wtedy nie dało się inaczej – z jednej strony wszechobecne wojsko, z drugiej brak szeroko rozumianej infrastruktury dla swobodnej włóczęgi. Dlatego dopiero wiele lat później, już jako dorosły, odkryłem, że Bałtyk to dużo więcej niż olejki do opalania i leżenie w plażowym grajdole.

> Nawet trzy dni, kilkadziesiąt kilometrów wystarczy, żeby się **wyciszyć, uspokoić, wprowadzić mózg na zupełnie inne tory.**

Chodzenie to także poważna sprawa literacko-filozoficzna. Ktoś ci patronował?

Chodziarzy w literaturze i filozofii rzeczywiście było sporo, ale nigdy nie chodziłem „z" Robertem Walserem czy W.G. Sebaldem. Choć oczywiście trudno się uwolnić od skojarzeń, skoro cały czas się tym siedzi. W „Pierścieniach Saturna" Sebalda pojawiają się zaskakująco podobne do bałtyckich krajobrazy – puste plaże i porzucone poligony wojskowe na wybrzeżu hrabstwa Norfolk. Jednak patrząc szerzej, ci wszyscy zachodni włóczędzy nie bardzo do Bałtyku pasują. Łatwiej mi o tych przestrzeniach myśleć przez powieści Lema albo Strugackich – lepiej pasują do powszechnej entropii i pustki poprzetykanej dziwnymi postmilitarnymi zonami. Ale to może być moje skrzywienie, bo od dawna fascynuję się powszechną historią zniszczenia. A wyniszczający konflikt między cywilizacją a przyrodą, w którym raz jedna, raz druga strona wygrywa, jest nad Bałtykiem szczególnie odczuwalny.

Chodzenie nie jest czynnością niewinną, zwłaszcza jeżeli mówimy o bezcelowych włóczęgach. Jeszcze w PRL-u włóczęgostwo, przynajmniej w teorii, było karane.

Odświeżałem sobie niedawno teksty Walsera. Sporo z nich opowiada właśnie o spacerze – a to do sąsiedniej wioski, a to po górach. Wszędzie jednak czaili się przedstawiciele władzy – co chwila zza krzaków wychodzi policjant, który go legitymuje i wypytuje skąd, dokąd i po co idzie. To dobrze pokazuje, że jeszcze nie tak dawno temu chodzenie było reglamentowane. W PRL-u nie było aż tak źle, ale łażenie bez celu, szczególnie w pobliżu tych wszystkich zmilitaryzowanych miejsc, jak choćby olbrzymia radziecka baza pięć kilometrów na wschód od Kołobrzegu, mogło uchodzić za co najmniej podejrzane.

Czyli mamy postęp.

To poluzowanie ma swój mroczny rewers, czyli dzielenie i grodzenie ziemi. Także lasów, jezior i rzek – coraz mniej przestrzeni, po której możesz swobodnie chodzić. Plaże na szczęście wciąż są publiczne, ale już pojawiają się odcinki, na których wyjście poza brzeg jest bardzo trudne. Pojawiają się hotele, które mają trzy kilometry ogrodzonego pasa tuż za plażą. Więc w praktyce nie da się na nią dostać inaczej niż przez hotelowe wejście. Mówiąc trochę metaforycznie, zmiana polega na tym, że już nie policjant kontroluje ścieżki, po których chodzisz, tylko ochroniarz.

Ochroniarz to trudniejszy przeciwnik?

Tak, bo mniej konkretny, bardziej rozproszony. Gdy był to milicjant albo żołnierz, to sprawa była w sumie prosta, podział władzy był czytelny. W świecie sprywatyzowanej przestrzeni, pozornie tylko wolnej, nawigować coraz trudniej. Często słyszy się o brutalnych przypadkach pobicia przez wynajętych pracowników jakiejś firmy ochroniarskiej. Jasne, da się w takich przypadkach wyciągać prawne konsekwencje, ale to działanie zawsze jednostkowe, w sumie bez znaczenia dla funkcjonowania całości systemu.

Włóczęga to także marnowanie czasu. Nie lada skandal w późnej nowoczesności, gdzie wszystko ma być podporządkowane logice wydajności i użyteczności. Chodzenie to strategia oporu?

I to stara jak cała nowoczesność. Cóż innego robią bohaterowie „Ulissesa" Joyce'a, którzy włóczą się po Dublinie? Albo Baudelaire i jego kumple, którzy tak długo snuli się po mieście bez celu, aż wymyślili postać flâneura? Ja oczywiście nie mam takich ambicji, swoim

chodzeniem nie rozsadzam systemu. Jestem tylko mieszczaninem, który wsiada do pociągu i jedzie pobyć nad morzem. A trzeba dodać, że nawet ograniczając się do konsumpcyjnego minimum, wciąż nie jest to tania rozrywka – bilety są drogie, kwatery przynajmniej za 50 zł za dobę, a często sporo więcej. O rybie z frytkami i piwem nie wspominając. Obecnie więc bardziej przypomina to rozrywkę klasy średniej niż anarchistyczne stawianie oporu przed społecznymi czy kapitalistycznymi normami zachowań.

Twój największy nadbałtycki zachwyt?

To banał, jednak doszedłem do niego dopiero po wielu latach i licznych podróżach: Bałtyk jest piękny, być może piękniejszy niż wszystkie morza południowe, dla których zachwyt mamy niejako kulturowo wbudowany w głowę. Nad Morzem Śródziemnym właściwie nie da się chodzić, bo skały, laguny – albo ogrodzenia. Do tego cała przyroda jest kolczasta. A poza Europą, na tych wszystkich egzotycznych plażach z folderów turystycznych, rzeczywistość okazuje się dotkliwie smutna. Bo wszystkie biedne kraje świata są zanieczyszczone – uprzątnięty jest tylko ten kawałek piasku, na który przyjeżdżają zachodni turyści. Próbowałem zrobić kilka kilometrów plażą na zachodnim Cejlonie, który jest kwintesencją tropikalnego piękna, ale okazało się to niemożliwe. Śmieci i rynsztoki co chwilę zagradzają drogę. Podobnie na Karaibach. W Kalifornii z kolei pojawił się inny problem – mnogość parków narodowych sprawia, że są tam wspaniałe przestrzenie do samotnych wędrówek, tyle że to wszystko jest zwyczajnie za duże.

A zdziwienie?

Że można się odwrócić od morza o 90 stopni i potraktować je jako linię wędrówki, a nie punkt dojścia. To wydaje się oczywiste i trywialne, ale z drugiej strony większość z nas tak ma – sam tak długo robiłem – że o wyjeździe czy urlopie myśli się w kategoriach statycznych. I że Bałtyk to granica. Aż tu nagle olśnienie – można po prostu iść przed siebie. I, co chyba najważniejsze, to przestrzeń ogromna, ale jednocześnie ograniczona, kameralna w pewnym sensie. Bo Bałtyk da się objąć nie tylko umysłem, ale również nogami.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

ALEKSANDRA KARASIŃSKA

PIOTR PAZIŃSKI (ur. 1973) jest pisarzem i dziennikarzem. Był redaktorem naczelnym miesięcznika „Midrasz" (od 2000 do zamknięcia pisma w 2019). Za debiutancką powieść „Pensjonat" otrzymał Paszport „Polityki", a także nominację do Nagrody Literackiej Nike, wydał także „Ptasie ulice" oraz „Rzeczywistość poprzecieraną" (nominacja do Nagrody Literackiej Gdynia w kategorii esej) i dwie książki o „Ulissesie" Jamesa Joyce'a.

Wspinacz, który słuchał

JAN BŁASZCZAK

Wydany właśnie album „Himalaya and Karakoram. Voices from the Mountains 1971–2003" jest zarazem kroniką sportową, dokumentem o historycznym znaczeniu i dowodem nieprzeciętnej wrażliwości autora.

Nigdy nie zdobył ośmiotysięcznika, a co za tym idzie, nie stał się gwiazdą himalaizmu. Zasługi zmarłego przed ponad rokiem Bogdana Jankowskiego (1938–2019) dla polskiego środowiska wspinaczkowego są jednak nieocenione. Odpowiadał za łączność radiową podczas siedmiu wypraw w Himalaje i Karakorum. Z ramienia Polskiego Związku Alpinizmu przygotowywał też sprzęt dla wielu innych ekspedycji. Zainspirował do wspinaczki Wandę Rutkiewicz, a Krzysztofa Wielickiego wprowadził do Klubu Wysokogórskiego. Począwszy od pionierskiej wyprawy na Kunyang Chhish (1971) rejestrował na taśmie wszystkie łączenia pomiędzy członkami ekspedycji.

– Bogdan pełnił tu bardzo ważną rolę na skalę europejską – twierdzi Krzysztof Wielicki, zdobywca Korony Himalajów i Karakorum. – Na wyprawach zagranicznych nie widziałem, by przykładano taką wagę do nagrywania rozmów. A Bogdan wiedział, że to ma wartość historyczną.

Za sprawą wydanej w czerwcu płyty „Himalaya and Karakoram. Voices from the Mountains 1971–2003" dowiadujemy się, że Jankowski nie poprzestawał na rejestrowaniu wyczynów rodzimych wspinaczy. Wydany przez wytwórnię Saamleng album każe myśleć o himalaiście także jako o pionierze polskich nagrań terenowych (z ang. *field recording*). Pomysł Jankowskiego, by rejestrować wysokogórskie pejzaże dźwiękowe, należy uznać za prekursorski w skali światowej.

– W pierwszej kolejności traktowałem ten materiał jako podwaliny field recordingu w postaci, która jest mi bliska, a która w latach 70. była cały czas domeną rozproszonych jednostek – wspomina wydawca płyty oraz propagator nagrań terenowych Tomasz Mirt. – „The Tuning of the World" Murraya Schafera, czyli książka, która w dużej mierze definiuje to, jak mówimy dziś o audiosferze, to dopiero 1977 rok. A ukuty w niej termin „soundscape" i wynikający z niego sposób słuchania narzuca się sam podczas odbioru nagrań Bogdana Jankowskiego.

Hipotez na temat tego, jaki cel przyświecał wspinaczowi, gdy rejestrował dźwięki karawany, modły buddyjskich mnichów czy dźwięk raków wbijających się w lód, jest kilka. Niewykluczone, że odpowiedź jest jednak prosta.

– To wszystko było dla nas bardzo ciekawe – tłumaczy Anna Okopińska, himalaistka, która z Jankowskim uczestniczyła w wyprawie na Lhotse w 1974 r. – Wtedy wyjechać z Polski to było coś niesamowitego! Przecież nie można było sobie tak po prostu pojechać na wycieczkę do Indii czy Nepalu. Styk z kulturą himalajskich ludów to było coś, co nas wszystkich bardzo poruszało. Bogdan nagrywał ich rozmowy i śpiewy, bo wtedy były to bardzo egzotyczne spotkania.

Od tamtego czasu kontekst polityczno-ekonomiczny radykalnie się zmienił, a zapośredniczony mediami świat bardzo się skurczył. A jednak zebrane na płycie nagrania stanowią coś więcej niż historyczny dokument czy sportową kronikę. Są niezwykłą dźwiękową przygodą.

Audycje i audiencje

Himalaistom dzisiaj znacznie łatwiej wybrać się w podróż do Pakistanu. Kiedy jednak już się tam znajdą, najpewniej nie zostaną potraktowani w taki sposób, jak ekspedycja Andrzeja Zawady z 1971 r. Z artykułu dołączonego do albumu „Himalaya and Karakoram" wy-

ARCHIWUM BOGDANA JANKOWSKIEGO

W namiocie technicznym. Polska zimowa wyprawa na Mount Everest, 1980 r.

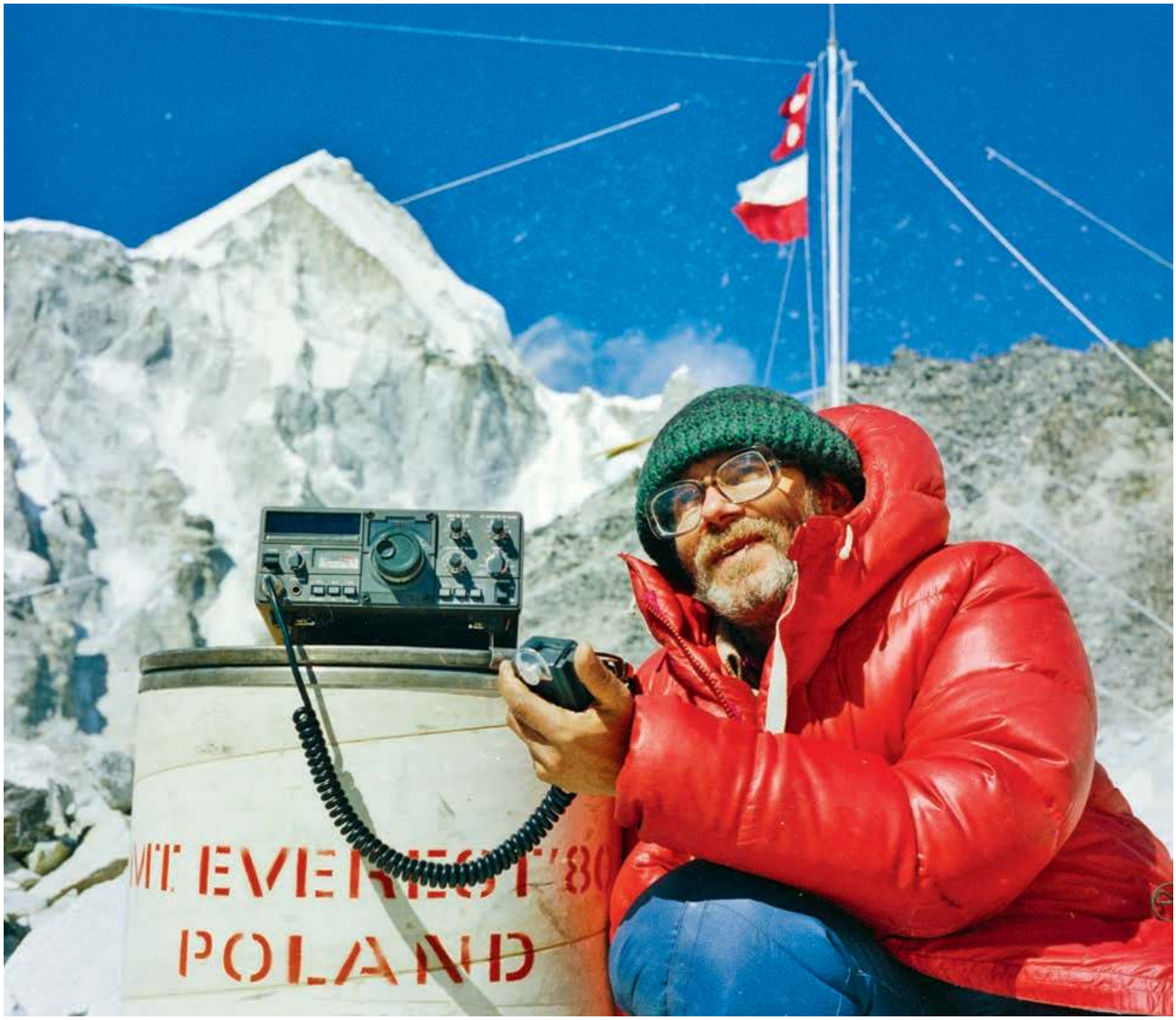

ARCHIWUM BOGDANA JANKOWSKIEGO

Bogdan Jankowski podczas polskiej zimowej wyprawy na Mount Everest, 1980 r.

nika, że od samego początku wyprawy na Kunyang Chhish Polacy byli podejmowani przez lokalne władze z najwyższymi honorami. Zostali zaproszeni na audiencję przez prezydenta Muhammada Zia-ul-Haqa, a także przez Shaukata Ali Khana – ostatniego księcia Nagaru, wchłoniętego dwa lata później przez Pakistan. Towarzyszący temu drugiemu spotkaniu występ orkiestry zarejestrował Jankowski. Można sobie wyobrazić, że te spotkania były dla młodego inżyniera z Wrocławia nie mniej niesamowite niż widok potężnej grani Karakorum.

Tym bardziej, że Jankowski wyruszył na Kunyang Chhish jako doświadczony wspinacz. Celem jego pierwszej wyprawy w Karakorum był niezdobyty wcześniej szczyt o wysokości 7852 m n.p.m.

– Na pierwszych wyprawach w najwyższe góry ojciec brał udział jako sportowiec i przy okazji zajmował się stroną techniczną – wyjaśnia Krzysztof Jankowski, syn himalaisty. – Miał już wtedy na koncie wspaniałe drogi, chociażby w Alpach czy Pamiro-Ałtaju. Nie wszedł na Kunyang Chhish i Lhotse, ale był w bardzo wysokich obozach. Na tej drugiej wyprawie dotarł na około 7200 m n.p.m.

– Był aktywnym uczestnikiem sportowej wyprawy – potwierdza Okopińska. – Pracował równie intensywnie jak my przy zakładaniu i naprawianiu ubezpieczeń na Icefallu, zakładaniu obozów i transporcie zaopatrzenia. Podczas wyprawy na Lhotse dotarł do trzeciego obozu.

W trakcie swojej pierwszej ekspedycji na ośmiotysięcznik Jankowski nie tylko rejestrował dźwięki obozowego życia i wędrującej karawany. W położonej na wysokości niemal 4 tys. m n.p.m. wsi Tengboche zakradł się rankiem do miejscowego klasztoru i nagrywał modły buddyjskich mnichów. Robił to niejako po godzinach, bo przede wszystkim zajmował się przeprowadzaniem obowiązkowych łączności, nasłuchem uczestników wyprawy, dbaniem o sprzęt, a także – rzecz jasna – wspinaczką. Mimo tak wielu obowiązków wieczorami Jankowski dołożył sobie kolejny. W trakcie wyprawy na Lhotse narodziło się radio Base Camp, które uczestnicy tych wysokogórskich wypraw wspominają również jako „dobranockę".

– W wysokich obozach czekaliśmy na wieczorną audycję, która zaczynała się o godzinie 20.00 – wspomina Okopińska. – Wszyscy w bazie zbierali się w namiocie Bogdana przy radiostacji i zaczynały się rozmowy z przebywającymi wyżej, a na koniec on puszczał jakąś melodię na dobranoc. To było strasznie ważne w tych potwornych warunkach, jakie panowały w wyższych obozach. ↦

Kiedy siedziało się w namiocie, z którego nie można było wyjść w nocy, bo było strasznie zimno i wiatr hulał. A tu nagle odzywał się ciepły głos Bogdana, jakaś muzyka i informacje z bazy: np., że do kogoś przyszedł list.

O tym, że w działalności Jankowskiego chodziło nie tylko o zapewnienie kontaktu pomiędzy uczestnikami wyprawy, jest przekonany również inny uczestnik ekspedycji z 1974 r., Wojciech Kurtyka: – Boguś na pewno był świadomy historycznego i sportowego wymiaru swoich radiowych nagrań, ale w tym było coś więcej. Dla niego to była również rejestracja atmosfery, aury, wreszcie: ludzkich więzi. Bo on był osobą, która nawet w dużej grupie potrafiła zachować ciepły, wręcz intymny kontakt z drugim człowiekiem.

Te umiejętności były niezwykle ważne podczas wypraw na Kunyang Chhish i Lhotse. Bo choć ta pierwsza zakończyła się pionierskim zdobyciem szczytu, obie miały przecież tragiczny finał. W Karakorum zginął wspinacz i bliski przyjaciel Jankowskiego – Jan Franczuk. Wyprawę w Himalaje przypłacił natomiast życiem filmowiec Stanisław Latałło.

– Myślę, że do samego końca ojciec miał w pamięci przyjaciół, którzy zostali na zawsze w górach – mówi Krzysztof Jankowski. – Był raczej zamknięty w sobie, ale to jakoś tam wychodziło. Zwłaszcza w czynach. Bardzo się więc angażował w pośmiertne upamiętnianie swoich partnerów od liny. Sprawą tablicy Jasia Franczuka na karkonoskim symbolicznym cmentarzyku zajmował się aż do końca. Odpowiednie pozwolenie przyszło już po jego śmierci.

Pisanie historii, rejestrowanie historii

W zupełnie innym nastroju niż w 1974 r. polska ekspedycja wróciła z Himalajów sześć lat później. Podczas historycznej wyprawy kierowanej przez Andrzeja Zawadę dokonano pierwszego zimowego wejścia na ośmiotysięcznik. 17 lutego 1980 r. Leszek Cichy i Krzysztof Wielicki połączyli się z bazą ze szczytu Mount Everestu. To epokowe wydarzenie zostało zarejestrowane przez Jankowskiego.

– Widziałem scenę z filmu, jak wchodziliśmy na Everest, którą w bazie kręcił chyba Bakalarski [operator Józef Bakalarski – JB] – wspomina Wielicki. – I wszyscy tam krzyczą: „Hurra!", „Zawada!". A Bogdan nic. Cichutko siedzi i tylko łączy, i rejestruje. Bo rozumiał, że jego rolą jest teraz wszystko nagrać tak, jak trzeba. I on tego swojego poletka bardzo pilnował.

Oczywiście te podniosłe momenty łapania na taśmę wielkiej historii były wtórne w stosunku do codziennej troski o sprzęt i łączność, które zapewniały wspinaczom niezbędne poczucie bezpieczeństwa. Gdyby cokolwiek przytrafiło się atakującym szczyt, będąca na ciągłym nasłuchu baza mogła natychmiast zainicjować akcję ratunkową. Ponadto, jak przyznaje Wielicki, sama świadomość tego, że był ktoś, kto czekał na wiadomość od niego, była bardzo ważna.

Począwszy od wyprawy na Mount Everest po ekspedycję na K2 odbywającą się na przełomie 2002/2003 r., Jankowski wyruszał w najwyższe góry przede wszystkim jako specjalista od sprzętu i łączności.

> Syn twierdzi, że Bogdan Jankowski najwyraźniej **odczuwał potrzebę, by dokumentować piękno.** A skoro tak, to musiał w nim tkwić wewnętrzny artysta.

– Wspinaczka nie była dla niego żadnym problemem, a jednak w pewnym momencie pogodził się z tym, że nie będzie już pisał wielkiej historii alpinizmu – mówi Wielicki. – Natomiast zauważył,

ARCHIWUM BOGDANA JANKOWSKIEGO

Drugi szczyt świata K2 widziany z lodowca Baltoro w Karakorum. Północny Pakistan, zima 1987/88.

że może w nim odegrać ważną rolę, dbając o powodzenie tych ekspedycji. Wiedział, że jest w zespole i że jego rola jest istotna niezależnie od tego, czy gdzieś wejdzie i coś zdobędzie.

Tej antyindywidualistycznej postawy nigdy nie mógł zrozumieć Wojciech Kurtyka, choć zastrzega, że niewielu wspinaczy wspomina tak ciepło jak Jankowskiego: – Boguś był moim absolutnym przeciwieństwem: bardzo lojalnym członkiem wypraw. Ja czułem brak zgody na ten ich paramilitarny charakter. Boguś reprezentował natomiast pokolenie wyrosłe w ideach pionierskiego alpinizmu i himalaizmu, gdzie obowiązywało podejście jak na statku: jest kapitan i nie ma zmiłuj! Dla mnie taka kołchoźniana praca w imię wspólnego sukcesu była zaprzeczeniem ducha wspinaczki. Wspinaczki, która musi być dramatem przezwyciężania własnego strachu, indywidualnym ryzykiem i samotnym zmaganiem z górą aż do samego szczytu. Natomiast Bogusiowi te góry i ci ludzie dawali tak strasznie dużo, że nie musiał mieć osobistego sukcesu sportowego. Liczyło się obcowanie z miejscem oraz nadrzędna, bo dotycząca wyprawy, idea.

Ta lojalność miała jeszcze jeden skutek. Przez lata, kiedy do Jankowskiego zgłaszali się dziennikarze i dokumentaliści, prosząc o dostęp do jego niezwykłego archiwum, himalaista odmawiał. Robił to na prośbę Andrzeja Zawady. Twórca himalaizmu zimowego sam chciał po nie sięgnąć, pracując nad książką. Książką, której nigdy nie napisał. Nie zdążył.

Emocje, usterki i subtelności

To, że poznaliśmy fragmenty tego olbrzymiego archiwum, zawdzięczamy synom Jankowskiego. Z charakterystyczną dla ojca skrupulatnością Krzysztof przez niemal dwadzieścia lat starał się zarejestrować każdą jego prelekcję noszącą niezmienny tytuł „Góry dalekie i bliskie". Ostatecznie w 2015 r. utrwalił tę opowieść w warunkach studyjnych. Później zmontował ją ze zdjęciami i nagraniami terenowymi z najważniejszych wypraw ojca.

Inną drogę obrał jego młodszy brat, Tomasz. Związany z nieformalnym kręgiem kultury industrialnej zwrócił uwagę na nagrania mniej przyjazne dla ucha, które mogłyby wręcz rodzić skojarzenia z estetyką *noise*.

– Jego zapisy z wypraw dokumentowały nie tylko śpiew ptaków czy nawoływanie muezina, ale także te najbardziej ekstremalne momenty zarówno w wymiarze estetycznym, jak i cielesnym – zauważa Tomasz Jankowski. – Szczęk raków wbijanych w lód, urywający się oddech wspinacza typowy dla strefy śmierci czy niedający wypocząć hałas łopoczących na wietrze flag na maszcie. Nagrania terenowe ojca po raz pierwszy wypuściłem kilkanaście lat temu na płycie CD-R. Nakład kilkunastu egzemplarzy rozdałem wśród znajomych muzyków, chcąc podzielić się tą jego poniekąd niezamierzoną twórczością. O płycie zdążyłem zapomnieć, do czasu, kiedy kilka lat temu trafiła do wówczas nieznanego mi jeszcze Tomka Mirta.

Gdy zachwycony przypadkowym odkryciem Tomasz Mirt zaproponował wydanie tych nagrań, Tomasz Jankowski od razu włączył do współpracy swojego ojca. Ku jego zaskoczeniu ten, choć z reguły nadzorował wszystko od A do Z, dał wydawcy wolną rękę. Wyciągał z archiwum kolejne nagrania, przybliżał ich kontekst, słuchał, ale postanowił zaufać Mirtowi jako niezależnemu „redaktorowi" liczącego dziesiątki godzin materiału. Ostatecznie nagrania z siedmiu wypraw zostały ułożone w taki sposób, że sprawiają wrażenie zapisków z jednej ekspedycji.

– Materiał montowaliśmy z przerwami przez kilka lat – tłumaczy Mirt. – Z pierwszej paczki nagrań, którą dostałem, ułożyłem szkielet, myśląc o tym, by poszczególne fragmenty w miarę harmonijnie przechodziły w siebie i by zbudować jakąś dramaturgię. Później ten pierwotny układ podlegał licznym zmianom. Bogdan wyciągał z archiwum kolejne nagrania, ↦

↦ nieraz z myślą o zastąpieniu tych o słabszej jakości, innym razem, by wyważyć balans między tymi z kręgu kultury islamskiej i buddyjskiej lub nagraniami bardziej etnomuzykologicznymi i „czystymi" nagraniami terenowymi.

Producent przyznaje, że nie wiedział zbyt wiele o historii himalaizmu i może dlatego spoglądał na te nagrania z innej perspektywy. Szczególnie interesowały go np. usterki związane z łącznością radiową i niepozorne subtelności dźwiękowe obecne w rejestracjach karawany czy wieczornego obozu, w których autor zaznacza swoją obecność. Zdaniem Mirta są to chwile, w których czuć, jak słucha.

– Zabawne, bo dopiero kiedy płyta wyszła, uświadomiłem sobie, jak ważnym dokumentem jest nagrany raport ze szczytu – przyznaje wydawca. – Cały czas odbierałem to jako nośnik pewnych emocji, podobnie jak nagranie przyspieszonego oddechu. Trudno mi sobie nawet wyobrazić, co słyszą w nim ludzie, którzy mieli kontakt z ekstremalnym żywiołem, byli tam wysoko, czuli to wycieńczenie.

Synowie Jankowskiego wahają się, kiedy pytam, czy na podstawie pozostawionych nagrań ich ojca można nazwać artystą. Tomasz podkreśla, że jako doktor inżynier elektroniki i typowy umysł ścisły sam nigdy głośno by się do tego nie przyznał. Z drugiej strony jego podejście do przygotowania płyty i zgoda, by porzucić chronologię zebranych na niej nagrań sugerowałyby, że ojciec dostrzegał ich walory artystyczne.

Krzysztof dodaje, że jego tata najwyraźniej odczuwał potrzebę, by dokumentować piękno. A skoro tak, to musiał w nim tkwić wewnętrzny artysta. Mirta moje pytanie nie zaskoczyło: – W przypadku nagrań terenowych często pojawia się pytanie o autora, trochę dlatego, że ludzie widzą w tego typu rejestracjach coś pokrewnego muzyce, ale nie widzą sprawczości, którą ma kompozytor. Trochę lepszym kontekstem jest fotografia. Ktoś „kadruje", ktoś wybiera miejsce dla mikrofonu, słucha konkretnych szczegółów – finalnie jest w nagraniach w postaci pewnej wrażliwości, sposobu słuchania. W przypadku Jankowskiego jest to dla mnie niemal namacalne.

© JAN BŁASZCZAK

Mleczne zęby

ANITA PIOTROWSKA

Anarchizujący „Babyteeth" udowadnia, że ironia nie musi wykluczać bliskości. A lekki ton w mówieniu o sprawach ważnych nie odbiera im ciężaru właściwego.

Podczas oglądania tego filmu cisną się na usta różne pożyteczne i nieco już wytarte sformułowania: „trzeba oswoić raka", „kiedy w domu mieszka choroba, choruje cały dom", „oto pierwsza miłość, która za chwilę może być ostatnia"... Wszystkie te kwestie odnajdziemy w „Babyteeth", aczkolwiek wbrew pobieżnej klasyfikacji, że to niby komedia romantyczna skupiona na terminalnej chorobie, mówi się o nich całkiem serio. Dopowiedzmy, że w sensie werbalnym nie mówi się o nich wcale. „To" po prostu jest, tworząc nieusuwalne napięcie.

Australijska debiutantka Shannon Murphy znalazła brawurowy sposób na opowiedzenie choroby, która jest wyrokiem. Tym bardziej bezlitosnym, że dotyczy nastolatki. Tytuł filmu oznacza po prostu mleczaki – ów symbol dzieciństwa, który w rzadkich przypadkach pozostaje z nami na dłużej, uniemożliwiając wyrośnięcie stałych zębów. Milla, bohaterka „Babyteeth", jeszcze nie pożegnała się na dobre z Wróżką Zębuszką, a już musi żegnać się z tym światem.

Nikt tu nie rozdziera szat. W wygodnym domu wziętego psychiatry (Ben Mendelsohn) i sfrustrowanej byłej pianistki (Essie Davis) robi się wszystko, by było tak jak kiedyś. Otoczona miłością dziewczyna chodzi więc do prestiżowej szkoły, ćwiczy grę na skrzypcach i żyje po swojemu. Zwłaszcza wtedy, gdy przyprowadza do domu Mosesa – drobnego dilera narkotyków, w którym zakochuje się z wzajemnością. To ostatnie należałoby podać w wątpliwość, albowiem klasyczny *bad boy* może mieć w tym zakochaniu swój prywatny, brudny interes.

Młoda reżyserka lubi przyrządzać sentymentalne sosy, ale co chwila podkręca gaz i doprowadza do ich zwarzenia się. „Babyteeth" to wszak film o rozpaczy – wypieranej, znieczulanej antydepresantami lub, dla odmiany, przystrajanej w coraz bardziej kolorowe peruki. Dopiero „dziki" Moses (gra go świetny Toby Wallace) wnosi do „kulturalnego" domu bohaterki niekontrolowaną energię, która wydobywa z dorosłych domowników fałsze i niezręczności. A chorej dziewczynie pozwala doświadczać cierpienia chociaż trochę na jej własnych warunkach.

Prawie każdy z bohaterów dźwiga tutaj osobistą „walizkę rozpaczy", napakowaną własnymi niespełnieniami i świeżo nabytą bezsilnością. Chcąc ocalić tzw. normalność, rodzice Milli chwytają się różnych środków: prowadzą ze sobą dziwne erotyczne gry, łamią reguły poprawnego rodzicielstwa, sięgają po terapeutyczne kłamstwa. I tylko kamera wie, co dzieje się z nimi, kiedy znajdą się gdzieś poza domem, sam na sam ze sobą bądź w innych konstelacjach międzyludzkich.

Równocześnie raz po raz zostajemy wybici z trybów typowej opowieści o dorastaniu. Zaliczyć ten film do gatunku kina młodzieżowego byłoby poważnym niedoszacowaniem. Są tu, owszem, rozmaite hipsterskie klimaciki, czy to na ścieżce dźwiękowej, czy w sposobie filmowania, nie mają jednakże charakteru jałowych ozdobników. Scenariusz Rity Kalnejais, stworzony na podstawie jej sztuki scenicznej, konstruowany był z użyciem kruchego tworzywa, ale reżyserka stąpa po nim pewną stopą. I nawet jeśli czasem

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Babyteeth”

coś tam ryzykownie zatrzeszczy, Murphy potrafi świetnie żonglować zmieniającymi się nastrojami.

Wie, kiedy ma nas zaboleć, i wie, kiedy można błaznować. I dlaczegóżby nie robić tego w tym samym czasie? Na dodatek Eliza Scanlen, znana z „Małych kobietek” Grety Gerwig i z serialu „Ostre przedmioty”, fenomenalnie oddaje zaplątany w sprzecznościach bunt chorej Milli. Uosabia instynkt życia pomieszany z instynktem śmierci, jakiś desperacki pęd, by wypluć z siebie ostatniego mleczaka. Żeby tylko zdążyć przed końcem.

Historia w „Babyteeth” podzielona została na krótkie, opatrzone tytułami rozdziały typu: „Milla poznaje Mosesa”, „Chemioterapia”, „Bezsenność”. Ta niby książkowa, rozbita i zarazem banalizująca struktura od razu ustawia nas trochę z boku – i wobec choroby, i wobec przedstawionej na ekranie historii miłosnej, nie wspominając o groteskowych chwilami perypetiach rodziców bohaterki. W jednej ze scen ojciec Milli pomaga ciężarnej sąsiadce wkręcić żarówkę, co kończy się niemal slapstickowym zwarciem elektrycznym. Prawie każdy epizod filmu rozgrywa się niejako pod napięciem i kończy albo podobnym wyładowaniem, albo nagłym urwaniem puenty.

Co najciekawsze, twórczynie filmu o raku bez raka konsekwentnie budują dystans, który ma służyć nawiązaniu bliskiego kontaktu z emocjami widza. Bo ironia wcale nie musi wykluczać bliskości, tak jak lekki ton w mówieniu o sprawach ważnych nie odbiera im ciężaru właściwego. I ten paradoks udaje się w filmie zmieścić. A scena seksualnej inicjacji zalicza się do jednej z najniezwyklejszych tego rodzaju we współczesnym kinie.

Warto przypomnieć, że w polskiej kinematografii mieliśmy już podobny tytuł – „Chemię” Bartosza Prokopowicza z 2015 r., inspirowany losami jego żony Magdy, założycielki fundacji Rak’n’Roll. Koncepcja była podobna: opowiedzieć raka inaczej, bez demonizowania go, wręcz rockandrollowo, choć film australijski zdecydowanie bardziej trzyma się ziemi, mocniej zawierza psychologii i z umiarem serwuje nam formalne fajerwerki. Łączy je z pewnością to, że opowieść o chorobie nie jest w nich li tylko ckliwym odliczaniem, a w przypadku „Babyteeth” zagarnia jeszcze inne obszary, włączając kolejnych bohaterów i ich tragikomiczne dramaty. Wokół choroby Milli, jakkolwiek utopijnie to brzmi, wytwarza się bowiem cała, bardzo nieoczywista wspólnota – i jest to bodaj jedyna recepta na szczęśliwą śmierć, jakiej dostarcza nam ten dziwaczny, anarchizujący film. ©

BABYTEETH – *reż. Shannon Murphy. Prod. Australia 2019. Dystryb. Best Film. W kinach od 7 sierpnia.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Świat według Radiohead

Dokumentalny, reż. Benjamin Clavel, Francja 2019, Planete+, 8 VIII, 20.55, 12 VIII, 0.10

Fani zespołu z Oxfordshire znajdą tu coś dla siebie. Grupa istnieje już 35 lat i w ciągu tego czasu zdążyła nieźle przemeblować pejzaż alternatywnego rocka. Telewizyjny dokument próbuje zgłębić fenomen Radiohead, posiłkując się głosami badaczy kultury, pisarzy i muzyków, m.in. Jonny’ego Greenwooda, Thoma Yorke’a czy Steve’a Reicha.

2. Tokijska opowieść

Dramat, reż. Yasujirô Ozu, Japonia 1953, FilmBox Arthouse, 6 VIII, 9.30, 10 VIII, 18.45

Klasyka kina w wydaniu najszlachetniejszym z możliwych. Japoński mistrz, którego twórczość uważa się za ekranowe wcielenie filozofii zen, opowiada historię pary staruszków, która przyjeżdża do Tokio, by odwiedzić swoje dorosłe dzieci. Na powierzchni jest zderzenie tradycji z zimną nowoczesnością, a pod spodem – czysta kontemplacja życia.

3. Dowłatow

Dramat, reż. Aleksiej German, Rosja/Polska/ /Serbia 2018, Ale kino+, 6 VIII, 20.10, 9 VIII, 17.55

Bez pretensji do tworzenia typowej biografii twórca „Papierowego żołnierza” przypomina o jednym z najwybitniejszych pisarzy radzieckich, zmuszonym do emigracji i dopiero pośmiertnie docenionym w swoim kraju. Sylwetka Siergieja Dowłatowa jest tu soczewką, w której odbija się środowisko leningradzkich intelektualistów i artystów początku lat 70.

4. Tam gdzieś musi być niebo

Komediodramat, reż. Elia Suleiman, Francja/ /Kanada/Katar/ Niemcy/Palestyna/ Turcja 2019, Player+

Nazaret, Paryż, Nowy Jork – gdziekolwiek pojawi się bohater filmu, nie przestaje się dziwić funkcjonowaniu tego świata. Palestyński reżyser po raz kolejny staje również po drugiej stronie kamery, by pokazać, jak trudno jest poczuć się u siebie, kiedy jest się artystą szczególnie wyczulonym na absurdy codzienności.

Litania niewiary

TADEUSZ SOBOLEWSKI

Bohater tego filmu nie jest dostawcą markowej wiary i nadziei, bo – jak twierdzi – nie wierzy w „Boga, którego można w pełni wyjaśnić filozoficznymi wywodami”.

Ksiądz Adam Boniecki w filmie „xABo” Aleksandry Potoczek jest stale w drodze. Towarzyszą mu coraz to nowi ludzie – w pociągu, w poczekalni, na ulicy, w telefonie, w redakcji „Tygodnika Powszechnego”, w konfesjonale, w autobusie. Podchodzą i zadają pytania o zło, o Kościół, o wiarę i niewiarę, o cierpienie, o samobójstwo, o śmierć i miłość. Albo po prostu uśmiechają się i pozdrawiają. Niektórzy przypominają, że byli u niego u spowiedzi, i że to było dla nich ważne. Ale mówią to tak, jakby chodziło o przyjaźń.

Ma się wrażenie, że pytania zadawane bohaterowi tego filmu spotykają się z pytaniami, które on sam sobie zadaje. Jeśli to, co mówi, trafia tak mocno do młodych, to pewnie dlatego, że mimo przygarbionej sylwetki ksiądz Boniecki jest wewnętrznie młody – nie uciszył pytań, które dręczyły go w młodości.

BOGIEM SZAFUJE NIECHĘTNIE. W rozmowach, których jesteśmy świadkami w tym filmie, nie jest teologiem ani mentorem. Wchodzi w dialog, stwarza płaszczyznę porozumienia, choć nie wierzy w „dialog wewnętrzny” ani w „rozmowę z samym sobą”. Aby zbliżyć się do prawdy, potrzebny jest zawsze drugi człowiek (jak u św. Jana: „Boga nikt nigdy nie widział. Kiedy miłujemy się wzajemnie, Bóg trwa w nas”).

Bohater tego filmu nie jest dostawcą markowej wiary i nadziei, bo – jak twierdzi – nie wierzy w „Boga, którego można w pełni wyjaśnić filozoficznymi wywodami”.

Długa jest „litania niewiary” – świetny tekst Hansa Ursa von Balthasara czytany przez księdza Bonieckiego wieńczy film i stanowi jego nić przewodnią. „Nie wierzę w Boga, który feruje wyroki, trzymając w ręku kodeks karny”. „Nie wierzę w Boga, którym można manipulować”; „który sprawia, że należy się go bać”; „który czeka, by przyłapać człowieka na grzechu czy słabości”; „który nie pozwala zwracać się do siebie w sposób poufały”; „którego nie ma tam, gdzie ludzie darzą się miłością”. „Nie wierzę w Boga, który wysyła ludzi do piekła”.

Do tej litanii, której tylko fragment przytaczam, można by dodać niewiarę Gombrowicza w Boga używanego jako pistolet wymierzony w naszego wroga. Gorszący paradoks polskiego życia publicznego polega na szerzeniu religijnego bałwochwalstwa, użyciu Boga do propagandy władzy.

PO TŁUMNYM WIECZORZE AUTORSKIM, na którym ks. Boniecki nawołuje, byśmy „zostali przy swoim zdaniu” i nie biegli za tłumem, który „pędzi z kamieniami w rękach albo z palmami” – długa kolejka po dedykacje. Ktoś prosi, żeby była „z przesłaniem”. Ks. Boniecki uprzedza, że będzie niepobożnie. Wpisuje: „Lepiej zjeść i zwymiotować, niż wyrzucić i zmarnować”. Adresat się śmieje. Ktoś chce zrobić sobie zdjęcie z ks. Bonieckim, ktoś prosi o błogosławieństwo. Mieszają się różne porządki. Każdy tu może być sobą.

Są również ci, którzy chcą wyrazić sprzeciw. Im też trzeba odpowiedzieć – w filmie jesteśmy świadkami takiej akcji. Najpierw – wydawałoby się – bezgraniczna cierpliwość ks. Bonieckiego, łagodne prostowanie fałszów i tłumaczenie, jak jest naprawdę. Ale gdy okazuje się, że druga strona jest absolutnie nieprzemakalna – możliwy jest tylko żart, sprowadzenie całej sprawy do absurdu.

Kolejka do ks. Bonieckiego. Nieznajoma dziewczyna wręcza mu swój tekst i pyta: „Czy warto?”. Pewnie chodzi jej o to, czy warto pisać. Boniecki patrzy jej w oczy, obiecuje odpowiedź. Mężczyzna, przedstawiający się jako „przedstawiciel wierzących LGBT”, wręcza książkę. Boniecki ściska mu dłoń i woła: „Niech pan czyta Szostka, on dobrze pisze o tych sprawach!” (chodzi o ks. prof. Andrzeja Szostka i jego wywiad: „Czy homoseksualista może zostać świętym?”).

Fryzjerka pyta Bonieckiego, co robić, kiedy nie udaje się być dobrym? (zwraca się do niego „proszę pana”). On: „Trzeba próbować pogodzić się z sobą takim, jakim się jest, ze swoimi przywarami, nawet tymi paskudnymi...”.

Ona: „Nikt nie jest idealny?”.

GRAŻYNA MAKARA / FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Na planie filmu dokumentalnego „xABo". Gdańsk, czerwiec 2019 r.

On: „Może ktoś jest, ale nie my".

Rachunek zapłacony. Uśmiech. „Do następnego razu".

ALE SĄ W TYM FILMIE RÓWNIEŻ TRUDNIEJSZE PYTANIA. Kiedy widzi się ks. Bonieckiego wśród ludzi, na jednym z tych tłumnych spotkań, ma się wrażenie, że odwołuje się do jakiegoś Kościoła powszechnego z czasu Kazania na Górze. Tylko że takiego Kościoła nie było. Czy Ewangelia nie jest wielką utopią? To pytanie również pada w filmie, wraz z innym, w domyśle: w co zamieniłby się Kościół, gdyby nie przyświecała mu tamta ewangeliczna utopia? Czym byłby Kościół kierujący się polityką, zyskiem, konkurencyjnością, broniący swoich struktur?

O tym rozmawia ks. Boniecki z s. Małgorzatą Chmielewską, na ławeczce w ogrodzie, w jednym z domów Wspólnoty Chleb Życia. W pewnym momencie milkną oboje. Wymowne jest to ich milczenie.

Inny przejmujący moment, dotykający zasadniczych wątpliwości, to rozmowa ks. Adama z zaprzyjaźnionym psychiatrą i terapeutą, który pyta księdza o jego powołanie. Czy nie zwątpił w Kościół? Zastanawiają się obaj, czym właściwie jest ten Kościół?

„Utopią?" – pyta Bogdan de Barbaro.

„...ale nie odchodzę – odpowiada przypierany do muru Boniecki. – Jest jeszcze Bóg".

To argument, którym szafuje bardzo oszczędnie. Ale najostatniejszym argumentem wydają się jednak ludzie. Nie wierzy przecież w „Boga, który nie stał się człowiekiem". Nie wierzy też w „Boga, w którym nie ma tajemnicy".

STAJEMY SIĘ JEGO TOWARZYSZAMI PODRÓŻY oglądając ten dokument. W pustej poczekalni na Dworcu Centralnym dosiada się mężczyzna w średnim wieku. Pozdrawia, pyta, dokąd ksiądz jedzie. Chce się z czegoś zwierzyć. Niedawno stracił matkę. Trudno mu dać sobie z tym radę. Ktoś, kogo nie ma, tym bardziej potrafi być obecny.

„Kiedy matka żyje, patrzy na nas, wierzy w nas" – podejmuje Boniecki.

„Tak, miłość do niej jest czymś naturalnym – mówi nieznajomy. – Teraz, kiedy ją straciłem, ta miłość wybuchła we mnie na nowo, inaczej. I strasznie mi trudno. Co robić? Mieć nadzieję, że ona gdzieś jest?".

Zawiesza głos, jakby oczekując od księdza odpowiedzi.

Teraz on się zwierza. Mówi o czymś, co czuje wielu ludzi i co wcale nie musi wynikać z jakiejś ugruntowanej wiary. Są jeszcze znaki. Jego mama daje mu czasem znak. Zwraca się do niej w myślach, żeby pomogła. Nie chce jej zanudzać, nie prosi o nic wielkiego. O miejsce na parkingu...

To nie jest głos teologa, specjalisty od wiary. To odruch zwykłej ludzkiej solidarności. Żeby nie pozostawić samego kogoś, kto przed nami otworzył swoją „walizkę rozpaczy". „Nie wierzę w Boga, który wymaga, by człowiek wierzący przestał być ludzki".

Na pożegnanie mówi jeszcze: „Niech pan przejdzie tę drogę. To jest potrzebne człowiekowi".

Z tego spotkania na dworcu można by wywieść „metafizykę nadziei", która jest bardzo ludzka i kryje się w doświadczeniu wewnętrznym. Gabriel Marcel w książce „Homo viator" nazwał taką nadzieję „wiedzą poza niewiedzą". I połączył ją z wędrowaniem.

ATRYBUTY XABO: laska, fajka, telefon komórkowy, torba podróżna. Ten film mógłby nosić tytuł „W drodze". Albo bardziej metafizycznie: „Homo viator", „Pielgrzym". Ale taka stylizacja nie pasowałaby do postaci księdza Bonieckiego. Może raczej pasowałoby średniowieczne określenie „żongler Boga"? Performer?

Czy nie jest tak, że wielcy kaznodzieje, nauczyciele wiary są performerami Boga, który jest nam potrzebny, ponieważ sam człowiek nie byłby w stanie unieść dobra? Bóg jako pomocnik w żonglerce dobrem? Jednak gra toczy się między ludźmi. Performer szuka wiary u ludzi, a ludzie u niego.

Dobry dokument tym m.in. różni się od reportażu, że wychodzi poza fakty, buduje metaforę, zostawia niedopowiedziane znaczenia, które możemy rozwijać sami. Tak właśnie jest z tym filmem. Komu, tak jak mnie, zdarzyło się od początku pandemii nie być w kinie ani w kościele, niech obejrzy „xABo" – zaliczy oba w jednym.

© TADEUSZ SOBOLEWSKI

XABO: KSIĄDZ BONIECKI, *reżyseria Aleksandra Potoczek, zdjęcia Adam Palenta i Szymon Jan Sinoff, muzyka Hania Rani.*

JAN

Klata:
Palenie mostów

Na wakacje wyjeżdża się, aby wypocząć, jednakowoż nie tak „w ogóle", tylko wypocząć „od czegoś". Ale od czego? Od bezustannej powyborczej dyskusji, czy wypada nazwać chama chamem, prostaka prostakiem, a nieuka nieukiem, od rozważań, czy wypada stwierdzić fakty, czy już samo ich przywołanie w kontekście reelekcji Andrzeja D. i jego przesubtelnej kampanii jest po prostu nieeleganckie, przeciwskuteczne i *faux pas*. Bicie się w piersi nie zwiększa krzepy, nie dziwota przeto, że ludzie, którzy czytają książki, ruszyli na kajaki i pod grusze.

Jeśli ktoś z nas pojechał na wywczasy akurat na Dolny Śląsk (z całego serca polecam), to musi uważać, żeby mu most nie spadł na głowę. Będzie to most nie byle jaki, bo przepięknie usytuowany, wiszący i generalnie zabytkowy, wysadzony nie przez byle kogo, bo przez Toma Cruise'a w asyście samego wiceministra dziedzictwa narodowego RP. Epokowy most czekał na ten zaszczyt 111 lat, nie wysadziły go dwie wojny światowe, ale przecież to były wojny bez udziału Toma Cruise'a (oraz wiceministra Pawła Lewandowskiego). Czas nadrobić zaniedbania, nie zapominajmy, że most jest poniemiecki i nieużywany, a dobrze się sfilmuje i będzie kasa na megalotnisko oraz wieczna pamiątka dla potomnych na całym świecie. Ministerstwo Kultury nie widzi przeszkód, aby Thomas Cruise Mapother IV (serio!) fotogenicznie wyeksplodował na drugi brzeg tęczy most pilchowicki.

Po prostu: są rzeczy, których nie można wysadzać, nawet za opłatą (np. „Dama z łasiczką"), a są rzeczy, które wysadzać trzeba, ku chwale kinematografii hollywoodzkiej. Przeczuwam jednak, że Ministerstwo na Krakowskim Przedmieściu traktuje całą sprawę nieco ambiwalentnie, bo z jednej strony fajnie, że wreszcie ściągnęli kogoś z Hollywood do tego wysadzania obiektu w Polsce, ale z drugiej strony jednak nie kręci Mel Gibson, no i nie wysadza Pałacu Kultury. Nic to, nie od razu, mili, nie od razu, jeszcze troszkę takich wakacji przed nami w nadchodzących latach, nie takie rzeczy pójdą w powietrze. Paramount Pictures to małe piwo. ©

Lektor:
Miłość komisarza Montalbano

▪ *Andrea Camilleri*
UŚMIECH ANGELIKI
Przełożył Maciej A. Brzozowski,
Noir sur Blanc, Warszawa 2020, ss. 208.

Nieśmiało zabieram się za tę notę, mając za sąsiada Pawła Bravo. Pamiętam jego wyznanie sprzed roku: „Jestem z mniejszościowego Kościoła, którego kanon pism świętych właśnie się domyka: Andrea Camilleri, rocznik 1925, trafił dwa tygodnie temu w śpiączce do szpitala". Najpopularniejszy pisarz włoski wkrótce potem umarł, a teraz, w pierwszą rocznicę jego śmierci, we Włoszech ukazuje się powieść zamykająca cykl z komisarzem Montalbano. Camilleri napisał ją dawno temu i kazał wydać po swojej śmierci, by zyskać pewność – tłumaczy Paweł – „że stworzony przezeń cykl zostanie zamknięty zgodnie z jego wolą".
Nie znam włoskiego, więc – choć nieco starszy od Pawła – jestem od niego młodszy o nieznane u nas partie kryminalnego cyklu sycylijskiego. Tyle jeszcze radości! Komisarz Salvo Montalbano stał się moim domownikiem od pierwszego polskiego przekładu, a nieistniejące miasteczko Vigàta – bardziej realne od tych prawdziwych. Bo też Camilleri – reżyser i znawca teatru, który pisać zaczął późno, a pierwszą powieść z Montalbanem wydał tuż przed siedemdziesiątką – stworzył w precyzyjnie skomponowanych kryminałach świat równie wiarygodny jak Simenon w paryskich historiach o Maigrecie.
„Uśmiech Angeliki" (2010) nie zawodzi. Że komisarz lubi kobiety, a jego relacje z dojeżdżającą z północy narzeczoną Livią są burzliwe – już wiedzieliśmy. Tym razem Livia przyjechała właśnie do Vigàty i pierwszej, całkiem zresztą udanej nocy wypowiedziała przez sen dwuznaczne zdanie, w którym wspomniała o jakimś Carlu... Sprawa się wyjaśni, ale tymczasem wściekle zazdrosnego Montalbana czeka poważniejsza przygoda. Prowadząc śledztwo dotyczące nietypowych kradzieży spotyka ucieleśnienie własnych erotycznych rojeń jako nastolatka. Rojenia osnute były wokół Angeliki, postaci z „Orlanda szalonego" Ariosta, a jej współczesna inkarnacja nosi to samo imię. Odtąd pojawiają się cytaty z Ariosta (u nas w przekładzie Piotra Kochanowskiego), a romans Salva z Angeliką, prowadzącą życie raczej swobodne, wydaje się nieuchronny...
Jest i galeria stałych bohaterów. Niezawodny Fazio i poczciwy Catarella, mistrz w przekręcaniu nazwisk. Mistrzyni kuchni Adelina, która szczerze i z wzajemnością nie znosi nieumiejącej gotować Livii. Synowie Adeliny, zwykle na bakier z prawem. A nad całą opowieścią unosi się Eros-Amor, pod rękę z boginiami zemsty. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Bukolika i polityka

Długi na kilometr. Wysoki na 45 metrów. Wiadukt San Giorgio od kilku dni służy mieszkańcom Genui. Obiekty inżynierii lądowej, takie jak mosty, wiadukty, kładki i tunele, stwarzają to miasto, bez nich istniałaby tylko grupka dzielnic powciskanych na siłę w ciasne doliny wpadające do morza, oddzielone zboczami trudniejszymi do przebycia niż dawny mur berliński. A ten wiadukt stanowi też początek autostrady biegnącej wzdłuż Morza Tyrreńskiego aż po Riwierę, którą warto się przejechać dla samej urody widoków. Podobne uniesienia wizualne zapewnia chyba tylko Jadranska magistrala, czyli droga D8 wzdłuż wybrzeża dalmatyńskiego.

Poprzedni wiadukt w tym miejscu runął dwa lata temu. Bez wyraźnego powodu, żaden piorun nie strzelił, ziemia się nie trzęsła, a jednak imponująca konstrukcja po prostu się pokruszyła, jakby to były płaty tynku, a nie betonowe kloce metrowej grubości. Była to symboliczna katastrofa, w której obok zabitych, rannych i odciętych od świata ofiarą był prestiż narodu dumnego tyleż ze swoich górskich dróg, co z piłkarzy. Architektem nowej konstrukcji musiał być zatem nie byle kto. Z Genui pochodzi Renzo Piano i tenże sławny architekt podarował miastu w prezencie projekt. Piękny, z rozmachem, ale bez monumentalizmu, dyskretnie elegancki. Wiadomo: Włosi nawet szklankę reklamową taniego piwa projektują tak, że u nas by stała w dizajnerskim butiku. Ale czy wygodny? To się okaże.

I będę wypatrywał wieści z uwagą, pomny na przykład klęski, jaką poniósł inny archigwiazdor Calatrava, przerzucając ćwierć wieku temu przez Canal Grande w Wenecji kładkę wprawdzie ładną, ale koszmarnie niewygodną dla pieszych, ignorującą podstawowe zasady ludzkiej motoryki. Tego rodzaju pycha szczególnie mnie drażni, mam obsesję na punkcie mostów – wszystko, co służy przejściu na drugą stronę, jest dla mnie szczególnym rodzajem budowli. Trzeba mieć dumę i śmiałość, aby chcieć pokonać wąwóz, dolinę, zatokę, ale i pokorę, by uszanować warunki przyrody i potrzeby ludzi cierpliwie wędrujących do swoich celów.

Bo w samym akcie czynienia sobie ziemi poddaną nie ma nic złego, czego dowodem tradycyjny krajobraz rolniczy. Spójrzcie na sieć działek i dróg, na rytm upraw, pastwisk i odłogów, graficzne haiku świeżo zaoranego pola i pozornie bezładną kipiel kwitnącej, niewyskubanej łąki. To jest zapis odwiecznej gry bez przegranych, o sumie niezerowej. Człowiek ze swoim sprytem wyciska w znoju z Matki Ziemi to, co w danym miejscu potrafi ona rodzić najlepiej.

Kiedy tylko wjadę między winne pagórki, parkuję na poboczu, głuchy na złorzeczenia współpasażerów, i gapię się w nabożnym skupieniu. Żaden francuski ogród czy angielski park sentymentalny nie budzą we mnie tyle emocji, co rzędy winorośli i historia, którą opowiadają, jeśli tylko umiemy rozumieć sedno tego, co widzimy. Historia uważnej miłości dla gleby, jej warstw i wód, dla nachylenia stoków i kąta padania promieni słońca, miłości, która każe wziąć do ręki łopatę albo wsiąść na spychacz, rozstawić tysiące palików i przeciągnąć między nimi druty. Historia męki, jaką ogrodnik zadaje od marca aż po wrzesień roślinom, przy czym nie wiadomo, kto tu bardziej cierpi – cięta latorośl czy tnący w deszczu i spiekocie człowiek.

Niedawno zabawiłem na pograniczu Włoch i Słowenii, miejscu nie mniej urodziwym niż sławniejsze rejony winiarskie. Szerokie i przedzielone stromym uskokiem tarasy z krzewami przyciętymi tak wąziutko, że robią się prawie płaskie, idą tam wzdłuż zboczy krągłych pagórków niczym poziomice na obłędnej, nie całkiem fizycznej mapie. Było upalnie i cicho, ze skubniętych ukradkiem jagód ciekł już prawie słodki sok. Kręciłem się po serpentynach wiejskich dróg, upojony samym widokiem, aż na którejś starej chałupie spod tynku wylazł mi pod oczy napis: *Tu je Jugoslavija. Živeli maršal Tito.*

To ślad krwawych rozpraw z 1945 r., kiedy Tito liczył, że za pomoc w pokonaniu Hitlera na Bałkanach dostanie od Anglików Triest i jego zaplecze. W oczekiwaniu na negocjacje o przebiegu granicy cała okolica była poligonem czystek etnicznych – metody, żeby wykurzyć włoską ludność, były te same, co te, które 50 lat później oglądaliśmy w telewizji. Niejedna krasowa rozpadlina w okolicy do dziś kryje szczątki ludzi, których wrzucono tam, aby wystraszyć resztę wioski.

Bukolika i polityka. Nie da się ich rozplątać. Ci ludzie, którzy naprzeciw mnie sprzątają winnicę, skądś się tutaj wzięli, a rzadko kiedy wędrówki ludów były pokojową imprezą. Kiedy człowiek panuje nad ziemią, suma w grze bywa niezerowa. Kiedy panuje nad człowiekiem, zawsze musi wyjść zero. Moje życie, twoja śmierć. A potem ktoś znów zaorze pole, wykarczuje chwasty, postawi nowy most. ©℗

W ramach rekompensaty za te ponure opowieści dam wam przepis na prosty, ale efektowny letni deser z kategorii semifreddo – to jakby mrożony krem, od lodów różniący się tym, że po wyjęciu z zamrażalnika szybko się roztapia. 100 ml aperolu wlewamy do garnuszka z 100 ml mocno wytrawnego białego wina (może być musujące, jak w szprycerze, ale bąbelki i tak zaraz znikną), dodajemy 2 łyżki cukru, podgrzewamy mieszając, aż zgęstnieje o połowę. Dwa białka ubijamy na sztywno z 2 łyżkami cukru pudru. Wlewamy w tę pianę pomalutku zagęszczony, jeszcze ciepły aperol, ciągle mieszając. Tak uzyskaną masę dodajemy do 400 ml ubitej śmietanki, mieszając delikatnie. Rozkładamy do 4 miseczek i wstawiamy do zamrażalnika na kilka godzin. Na wydaniu można polać gęstym syropem owocowym, np. z pomarańczy.

PROROK W ZIEMI OBIECANEJ

Oto sensacja: w najlepszej lidze świata będzie pracował najlepszy trener świata. Tylko dlaczego – zapytacie – skoro jest najlepszy, nigdy o nim nie słyszeliśmy?

MICHAŁ OKOŃSKI

Kiedy o sukcesy pytać jego samego, przyznaje, że uchodzi raczej za specjalistę od porażek, co nie ma jednak żadnego znaczenia, bo świetnie zna ludzi sukcesu, którzy są głęboko nieszczęśliwi. „Sukces nas deformuje, rozleniwia i wiedzie na manowce, sprawia, że stajemy się zbytnio zapatrzeni w siebie – tłumaczy. – Zupełnie inaczej jest z porażką, która nas uczy i wzmacnia". Przed państwem Marcelo Bielsa, zwany „El Loco" – szaleniec. Człowiek, który po latach klęsk tego klubu wprowadził właśnie Leeds United do Premier League – najbogatszej i najchętniej oglądanej ligi świata. I który wciąż próbuje wymyślić piłkę nożną na nowo.

Choć sam nie uważa się za materiał na bohatera („Nie sądzę, by kiedykolwiek miała powstać o mnie książka – powiedział kiedyś – ale jeżeli jednak miałoby się tak stać, to chciałbym, aby opisywano w niej nie moje trofea, lecz metody, jakimi próbowałem osiągnąć cel..."), trudno w świecie współczesnej piłki znaleźć osobę otaczaną równie silnym kultem. Wielu z tych, których trenował

w przeszłości, nie uważa się po prostu za dawnych piłkarzy Bielsy, ale raczej za jego wyznawców, którzy nawet jeśli rozwijają jego nauki, robią to sposobem Pawła z Tarsu: w imię wierności dobrej nowinie i dla jej większej skuteczności. Spotkanie z nim odmienia ich na zawsze. „Przed przyjściem Bielsy nie wiedzieliśmy, jacy możemy być dobrzy" – opowiada grający u niego Polak, Mateusz Klich.

A przecież choć pracuje od 40 lat, to niemal niczego nie wygrał. Owszem, 16 lat temu zdobył olimpijskie złoto z reprezentacją Argentyny, ale umówmy się: w świecie futbolu nie przywiązuje się wielkiej wagi do sukcesów na igrzyskach, zresztą dwa lata wcześniej pojechał z Argentyną na mundial i odpadł już po pierwszych trzech meczach. Poza tym wygrywał jeszcze ligę argentyńską, ale to było tak dawno, że w zasadzie nie powinno być brane pod uwagę.

Tak wyglądają stopy piłkarza

Opowieść o nim można jednak zacząć od drugiego końca: od miasta, z którym się związał, zwłaszcza że nie ma pewności, czy sam zdążył się czegokolwiek o nim dowiedzieć. W grudniu 2018 r., czyli pół roku po przeprowadzce do Anglii, wyznał w rozmowie z bratem – skądinąd byłym ministrem spraw zagranicznych Argentyny – że nie ma o Leeds zielonego pojęcia, bo poza stadionem nigdzie jeszcze nie był.

Zdążył już za to dowiedzieć się wszystkiego o swoich piłkarzach, a także o piłkarzach rywali, i to nie tylko z ligi, w której dotąd występowało Leeds United. Na Wyspach krążą legendy o tym, że zanim przystał na przedsezonowy sparing z jakimś amatorskim zespołem, zażądał taśm z nagraniami trzech ostatnich meczów potencjalnego rywala, choć na tym poziomie rozgrywek nikt niczego nie rejestruje. O tym, że zanim po raz pierwszy spotkał się z proponującymi mu pracę wysłannikami z Anglii, obejrzał wszystkie mecze Leeds w poprzednim sezonie, nie warto chyba pisać: robił to w każdym klubie, który zdecydował się go zatrudnić – a raczej w każdym klubie, któremu pozwolił się zatrudnić, bo Bielsa sam wybiera sobie pracodawców.

Zgromadzenie wszystkich dostępnych wiadomości o tym, co go zajmuje, jest dlań czymś więcej niż priorytet – jest obsesją. Jego archiwum meczów, relacji z nich, analiz taktycznych, książek i pism o futbolu z pewnością zaimponowałoby piszącemu o bibliotece-wszechświecie rodakowi Bielsy, Jorge L. Borgesowi. Ale równie bezkompromisowy jest we wszystkim, co robi. Kiedy powierzono mu pracę z młodzieżą w klubie Newell's Old Boys, pewien, że z dala od wielkich miast musi kryć się wiele nieodkrytych talentów, podzielił Argentynę na 70 sektorów, a potem zjeździł je swoim fiatem 147. Do wioski, w której mieszkał nastoletni Mauricio Pochettino – przyszły reprezentant kraju – dojechał w środku nocy, poprosił więc rodziców chłopaka, żeby go nie budzili. Ograniczył się do obejrzenia stóp śpiącego i uznał, że wyglądają jak stopy piłkarza. Innym razem na jakimś lokalnym turnieju wypatrzył grubawego dzieciaka nazwiskiem Batistuta, który za parę lat stał się jednym z najskuteczniejszych napastników świata.

Trener Leeds United Marcelo Bielsa w trakcie meczu Pucharu Anglii z Arsenalem, styczeń 2020 r. Grę swoich piłkarzy ogląda w kucki: im bliżej jest ziemi, tym ponoć lepiej czyta grę.

ADRIAN DENNIS / AFP / EAST NEWS

To wszystko przez Paryż

Trudno się spodziewać, by pochłonięty swoimi obowiązkami Marcelo Bielsa słyszał, że Karol Dickens określał Leeds mianem „nieludzkiego", choć w liczącej kilkadziesiąt tysięcy tomów bibliotece dziadka – nestora argentyńskich prawników – z pewnością mógłby znaleźć „Przygody Olivera Twista". W trakcie czterdziestominutowych spacerów między wynajmowanym dziś w niewielkim Wetherby skromnym mieszkaniem nad sklepem a klubowym ośrodkiem treningowym – z postojem na kawę w sieciówce lub zakupy w lokalnym supermarkecie, zawsze w szarym klubowym dresie i z plecakiem – zdołał jednak zapewne wyczuć, że bycie mieszkańcem tej okolicy od lat zdawało się wiązać z jakimś kompleksem.

Mimo że Leeds należy do największych miast Wielkiej Brytanii – ludniejsze są jedynie Londyn i Birmingham – pozostaje w cieniu dużo mniejszych, np. również położonych na północy Liverpoolu czy Manchesteru. Bezrobocie jest tu o pół proc. wyższe niż brytyjska średnia, inwestycje znacząco niższe, a poczucia frustracji nie da się pewnie zmierzyć.

Powodów tego stanu rzeczy jest sporo, a upadek przemysłu włókienniczego – motoru napędowego gwałtownego rozwoju miasta w wieku XIX – byłby pewnie jednym z istotniejszych. Jeśliby jednak Bielsa zapytał o przyczynę prawdziwie samoświadomego obywatela Leeds, usłyszałby, że to wszystko przez Paryż.

W stolicy Francji 28 maja 1975 r. drużyna Leeds United grała w finale Pucharu Europy z Bayernem Monachium. Była lepsza. Atakowała. Stwarzała groźne sytuacje. Sędzia nie podyktował dwóch rzutów karnych za faule na jej piłkarzach, a potem wycofał się z podjętej już decyzji o uznaniu bramki Petera Lorimera. Kiedy w pierwszej chwili wskazał na środek boiska, wydawało się, że grający w białych, wzorowanych na Realu Madryt koszulkach przybysze z północy Anglii wdzierają się na piłkarski panteon i faktycznie stają się jak Real. Że wyzwalają się z przekleństwa „Brudnego Leeds", ciążącego na mieście i klubie w związku z ostrą grą tej drużyny za czasów trenera Dona Reviego. Że zdążają na swój wymarzony pociąg, którym docierają do ziemi obiecanej.

Nic z tego. Zamiast gola dla Leeds padają dwie bramki dla Bayernu. Marzenia się rozwiewają, a mieszkańcy miasta pogrążają się w depresji. „Wiecznie tylko ten Paryż. Wypalił się na naszej psyche, zapisał się w naszej biologii, symbolizował nasz los" – lamentuje pisarz i kibic Anthony Clavane w książce „Promised Land. A Northern Love Story".

Jak zrobić Leeds

Jesteśmy w Anglii: kraju, gdzie futbol jest częścią kultury i gdzie los drużyn piłkarskich od zawsze wydaje się metaforą kondycji społeczeństwa. Po paryskiej katastrofie w Leeds upadają także fabryki, a wielu miejscowych decyduje się wsiąść do pociągu na południe. Później przychodzą okresy *prosperity* i marzeń o wymyśleniu miasta na nowo, nie zawsze jednak oparte na realnych podstawach.

I w tym przypadku najbardziej spektakularny okazuje się przykład futbolowy: Leeds United, które na początku XXI wieku „żyło jak we śnie" i zadłużało się pod spodziewane zyski z meczów w europejskich pucharach (zamiast o „brudnym", mówiło się wtedy o „chciwym Leeds"), kiedy przestało się do nich dostawać, musiało na gwałt wyprzedawać ↦

piłkarzy i najpierw spadło z ekstraklasy, a potem nie zdołało się utrzymać także na jej zapleczu – gdy degradowano je po raz kolejny, świat ogarniał kryzys finansowy.

Premier League Leeds opuściło 16 lat temu – akurat wtedy, gdy Bielsa zdobywał olimpijskie złoto. I nie wyglądało na to, by kiedykolwiek mogło wrócić: tak to już jest w tym świecie, gdy kończą się pieniądze. Przez klub przewinęło się 15 trenerów; drużyna pięciokrotnie zmieniała właściciela. Miasto ogłaszano co jakiś czas „Barceloną północy", a przed brexitem snuto plany ogłoszenia go europejską stolicą kultury, w tym samym czasie jednak zaczerpnięta od jednego z byłych prezesów klubu fraza „Zrobić Leeds" stawała się synonimem katastrofy większej niż piłkarska.

Jeszcze rok temu, kiedy wydawało się, że powrót do ekstraklasy jest bardzo blisko i kiedy kolejny raz się nie udało, niejeden myślał, że wspomnienia Paryża nie da się już porzucić.

Jeśli plan A się nie powiódł

Rok temu trenerem Leeds United był już jednak Marcelo Bielsa. Człowiek, który w Argentynie widział niejedną katastrofę gospodarczą i społeczną (a wszystkie odciskały piętno na futbolu, bo tamtejsze drużyny grały oszałamiająco pięknie, gdy mieszkańcy kraju z nadzieją patrzyli w przyszłość, lub szokująco brutalnie, gdy państwo pogrążało się w chaosie). Ale też człowiek, który nawet jeśli pozostaje przesądny – w Athleticu Bilbao, gdzie pracował po wyjeździe z Argentyny, obsesyjnie dbał o to, by drogę do ławki trenerskiej pokonywać za pomocą 13 kroków – to po pierwsze nie wyróżnia się w tej kwestii w galerii trenerów Leeds (Don Revie na wieść o tym, że stadion jego drużyny zbudowano na terenach odebranych Romom, sprowadził romską czarownicę, po której rytuałach – wierzcie lub nie – drużyna w końcu zaczęła odnosić sukcesy), a po drugie: zawsze uważał się za kogoś zdolnego do odwrócenia fatum.

Anegdot na temat jego uporu jest tak wiele, że niejeden właściciel klubu bałby się go zatrudnić; we włoskim Lazio sam zresztą trzasnął drzwiami po zaledwie dwóch dniach. W reprezentacji Argentyny zapytał piłkarzy, czy wolą grać czwórką obrońców, czy może trójką, a kiedy odpowiedzieli, że czwórką, oświadczył, że i tak postawi na trójkę. Kiedy dziennikarze zarzucają mu, że jego koncepcje taktyczne nie zawierają planu „b", odpowiada, że choć większość uważa posiadanie jakichś alternatywnych planów za cnotę, on jest odmiennego zdania: jeśli plan „a" nie zadziałał, tym bardziej należy się go trzymać.

„Być może jest jedyną osobą na świecie, która rozumie, jak ma grać jego zespół – zauważa analizujący grę drużyn Bielsy młody polski szkoleniowiec Radosław Bella. – Być może problem nie tkwi w trenerze, tylko w zagadce: czy istnieje ktoś tak doskonały, aby grać tak, jak Bielsa tego wymaga?".

Uważa, że kierunek przez niego obrany jest właściwy, a jedyny problem stanowi, bagatela, opór materii. **„Gdyby moi piłkarze nie byli ludźmi, wygrywałbym zawsze"** – wyrwało mu się kiedyś.

Sam Argentyńczyk również stanął wobec tego dylematu. I rozstrzygnął go po swojemu. Kiedy na wczesnym etapie kariery przeżył moment zwątpienia – po porażce 6:0 odizolował się od świata na dwie doby w budżetowym hotelu – uznał w końcu, że źródłem jego problemów jest to, że nie był dotąd dostatecznie radykalny. Ów moment izolacji, dodajmy, w biografii Bielsy powtórzył się jeszcze raz: po mundialowej klęsce Argentyny zniknął na kilka miesięcy za murami żeńskiego klasztoru, gdzie znów zadawał sobie pytanie o słuszność obranej drogi. I po raz kolejny odpowiadał, że kierunek jest właściwy, a jedyny problem stanowi, bagatela, opór materii. „Gdyby moi piłkarze nie byli ludźmi, wygrywałbym zawsze" – wyrwało mu się kiedyś.

Szpieg, znalazłem szpiega!

Tu pewnie leży odpowiedź na pytanie, dlaczego choć tak wielu najbardziej utytułowanych trenerów świata (Pep Guardiola jest nazwiskiem najgłośniejszym) wpatrzonych jest w niego jak w obraz, wygrywają oni, nie on. Choć go wielbią i chętnie się od niego uczą, wiedzą zarazem, że aby osiągnąć sukces, muszą iść na kompromisy. A najważniejsza jest świadomość, że nie pracują z maszynami.

Żaden z nich nie przyniósłby przecież na wesele swojego piłkarza taśmy z przegranym dopiero co meczem (anegdota jeszcze z czasów argentyńskich – może dlatego już jako trener Leeds Bielsa mówił, że choć kocha swoich zawodników, dba o to, by nie poznali go zbyt dobrze). Żaden też, zapytany, jak ma zamiar spędzić święta, nie odpowiedziałby, że przez dwie godziny zamierza się gimnastykować, a pozostałych 14 przeznaczy na oglądanie meczów, najchętniej dwóch na raz. „Jestem ekstremistą – przyznaje. – Trenuję piłkarzy tak, jak uważam. Nie uznaję kompromisów".

Powiedział kiedyś, że napędza go strach. „Pewność siebie jest synonimem odprężenia – tłumaczył. – Wolę się bać, bo w ten sposób muszę stale być czujnym". Obsesyjny lęk, że nie dopatrzy jakiegoś szczegółu, będący ponoć efektem surowego wychowania przez matkę-perfekcjonistkę, w Anglii doprowadził nawet do skandalu, kiedy w ośrodku treningowym rywalizującego z Leeds Derby County wykryto, że zajęcia drużyny podgląda przez lornetkę wynajęty przez Bielsę szpieg.

Oburzeniem, jakie wywołała ta historia na Wyspach, on sam był jednak zdziwiony: robiłem takie rzeczy w każdym klubie, wyznał, a potem zmusił dziennikarzy do obejrzenia prezentacji zgromadzonych przez siebie informacji na temat rywali, w których było absolutnie wszystko – analizy meczów, stosowanych w nich ustawień, statystyk poszczególnych zawodników, sygnałów, jakie wysyłają do siebie przed wykonaniem rzutów wolnych itd. Z pewnością nie musiał tego robić, ale taki właśnie jest Bielsa: kiedy swego czasu pokazał trenerowi Barcelony *dossier*, jakie zebrał na temat Leo Messiego, usłyszał: „Wiesz o moim klubie więcej niż ja sam". Karę za podglądanie zapłacił z własnej kieszeni.

GEORGE WOOD / GETTY IMAGES

Marcelo Bielsa z kibicami, luty 2019 r. Przewodnicząca rady miasta Leeds mówi, że Argentyńczyk zawładnął wyobraźnią nie tylko fanów futbolu, ale wszystkich mieszkańców metropolii.

Nie chodziło mu więc o zdobywanie w nielegalny sposób informacji, które mogły zapewnić mu przewagę – raczej o uwolnienie się od poczucia winy, że nie pracuje wystarczająco solidnie. Sam uważa, że w zasadzie nie ma nic do ukrycia. A do ideałów *fair play* przywiązany jest do tego stopnia, że gdy w meczu z Aston Villą piłkarze Leeds nie przerwali kiedyś akcji i strzelili bramkę, choć na boisku leżał kontuzjowany zawodnik rywala, nakazał im stanąć w bezruchu i przyglądać się, jak nie niepokojeni przeciwnicy natychmiast doprowadzają do wyrównania.

Metoda szaleńca

Na czym więc polega metoda szaleńca? „Kiedy zaczynałem dla niego grać, odbyliśmy krótką rozmowę – opowiadał Gerardo Martino, o którym mówiło się, że nie lubi się przemęczać. – Powiedział, że jest tylko jeden sposób dostania się do drużyny: muszę biegać". Tempa, w jakim rozgrywają się akcje zespołu prowadzonego przez Argentyńczyka, w zasadzie nie da się opisać, podobnie jak tempa, w jakim po stracie piłki jego piłkarze gromadnie uganiają się wokół przeciwników, walcząc o jej odzyskanie. W futbolu wedle Bielsy chodzi o atakowanie i o dostawanie się pod bramkę rywala najszybciej, jak się da. Jeśli spojrzeć na statystyki drużyn grających w tej samej lidze, Leeds zawsze będzie „naj": najwięcej strzałów, wślizgów, sprintów. Także – co nie jest bez znaczenia – najwięcej młodych debiutantów.

Być może klucz do zrozumienia, jak coś takiego jest w ogóle możliwe, da opis środowych treningów, pieszczotliwie zwanych przez piłkarzy „mordowanką". Tu nie chodzi o taktyczne niuanse, w których odczytywaniu również nie ma sobie równych (zasypiając przepowiada sobie ponoć wszystkie 29 formacji, w które potrafiłby zestawić drużynę, gdyby za optymalne ustawienie nie uważał 3-3-1-3) i nad którymi również pracuje z przerażającą pedanterią, ćwicząc 120 schematów rozegrania akcji ofensywnych i 120 obronnych. Tu chodzi o kilkadziesiąt minut nieustannego biegania za piłką, bez przerw i bez gwizdków. Jeśli ktoś pada sfaulowany, przyjmuje się, że jest to wpisane w koszta i gra się dalej. Jeśli piłka wypada na aut czy róg, któryś z asystentów Bielsy od razu wrzuca na boisko inną.

Po czymś takim normalny mecz, nawet z wiecznie żądającym jeszcze większej intensywności trenerem, który obserwuje boiskowe wydarzenia z wysokości ustawionej przy linii bocznej skrzynki na napoje lub po prostu w kucki (im bliżej ziemi, tym lepiej ponoć czyta grę), wydaje się niemalże spacerkiem. We wtorkowe wieczory wszyscy piłkarze pamiętają, żeby porządnie się najeść, choć także w tej kwestii muszą być czujni: rano po przyjściu do klubu zostaną zważeni i jeśli się okaże, że choć minimalnie przybrali, wypadną ze składu.

Problem w tym, że tak się nie da w nieskończoność. Że grające przez większą część sezonu zapierający dech w piersiach futbol drużyny Marcela Bielsy w końcówkach opadają z sił, tracą kluczowych piłkarzy z powodu kontuzji (ciała nie wytrzymują obciążeń, psychika – intensywności wymagań szkoleniowca), gubią gdzieś wypracowaną wcześniej przewagę w lidze, w pucharach przegrywają finałowe mecze. W ten właśnie sposób Leeds straciło szansę na awans do Premier League już w ubiegłym roku i w gruncie rzeczy zasadne jest pytanie, czy wywołana pandemią kilkumiesięczna przerwa w rozgrywkach nie okazała się dla piłkarzy Bielsy błogosławieństwem. Porządnie wymęczeni drugim sezonem pod jego żelazną ręką zdołali się zregenerować, a potem dokończyć rozgrywki równie intensywnie, jak zaczęli.

Piłka należy do kibiców

W hrabstwie Yorkshire nikt, rzecz jasna, nie pyta, czy awans był szczęśliwy, czy nie. „Nie będzie przesadą stwierdzenie, że kiedy Leeds United dobrze sobie radzi, nastroje poprawiają się

↦

↦ w całym mieście" – mówi przewodnicząca rady miejskiej Judith Blake, dodając, że „Marcelo zawładnął wyobraźnią nie tylko kibiców, ale wszystkich mieszkańców".

W nakręconym przez Amazon miniserialu „Take Us Home" frazy o przywróceniu nadziei i dumy klubowi i miastu recytuje Russell Crowe, w zrealizowanym już po awansie przez BBC filmiku opowieść o emocjach fanów snuje Nikolaj Coster-Waldau, czyli Jamie Lannister z serialowej „Gry o Tron". W Leeds Bielsa ma już ulicę i mural, którego autor mówił niedawno w reportażu Sky Sports, że największym cudem, jaki sprawił Argentyńczyk, i tak było to, że po którymś ze zwycięstw dorastający syn ulicznego artysty rzucił mu się na szyję („Wyobrażacie to sobie? Nastolatek przytula ojca?").

Akurat ze znaczenia, jakie futbol może mieć w życiu innych ludzi, Marcelo Bielsa świetnie zdaje sobie sprawę. To z powodu piłki stał się czarną owcą w rodzinie, która wcześniej wydawała z siebie polityków i prawników. Sam kariery piłkarskiej wprawdzie nie zrobił, ale na zawsze wydostał się z bańki, w jakiej zamykało go dobre urodzenie. I w zasadzie wydaje się dziwne, że on – opisywany często jako niewidzący świata poza futbolem szaleniec – dostrzega tyle problemów związanych ze społecznymi nierównościami.

Jedną z pierwszych rzeczy, jakie zrobił jako trener Leeds, było sprawdzenie, ile godzin musi pracować przeciętny kibic tej drużyny, by móc kupić sobie bilet na mecz – a potem nakazanie piłkarzom, by dokładnie przez ten czas sprzątali śmieci wokół ośrodka treningowego. W Lille, gdzie również pracował, pytanie o stosunek do ubóstwa było jednym z pięciu, jakie zadawał zawodnikom, chcąc ich lepiej poznać. Opowieści o wizytach w dzielnicach nędzy, rozdawanych biletach na mecze, prezentach sprawianych najgorzej opłacanym pracownikom kolejnych klubów, jest tak dużo, że niektóre wydają się apokryfami.

Nie ulega jednak wątpliwości, że kiedy Bielsa zastanawia się nad podjęciem pracy, dba o to, by klub był zakorzeniony w lokalnej społeczności. Uważa, że futbol należy przede wszystkim do kibiców – nienawidzi agentów aranżujących transfery zawodników (w Leeds też woli piłkarzy wychowywać, niż kupować) i stroni od mediów. Pewnie także dlatego w drodze z domu do pracy cierpliwie godzi się na niezliczone *selfie* – choć na każdym sprawia wrażenie nieobecnego.

Jak śmiesz nazywać to futbolem?

„W futbolu chodzi o danie radości tym, którzy na co dzień mają mnóstwo powodów do zmartwień" – mawia. Dlatego tak ceni piłkę amatorską i dlatego tak wierzy w dawanie szans młodym zawodnikom – choć coraz częściej widzi, że świat mediów społecznościowych i gier komputerowych psuje ich nieodwołalnie, zanim jeszcze trafią pod jego opiekę. I z całą pewnością dlatego bardziej dba o to, by jego drużyny grały pięknie, niż żeby wygrywały za wszelką cenę. „Czy sądzisz, że ktokolwiek poza fanami twojej drużyny będzie pamiętał o tym mistrzostwie? – pytał jednego z dawnych wychowanków, Diega Simeone, gdy ten wygrywał ligę włoską z Interem Mediolan, grając do bólu defensywnie. – Jak śmiesz nazywać to futbolem?".

> Defensywny futbol porównuje do mężczyzny, który widząc klomb pełen kwiatów idzie na wprost, niepomny na piękno, które tratuje. Jego drużyny **muszą atakować, i to najszybciej, jak się da.**

Argentyna dostarczyła światu wielu teoretyków piłki – i poetów. Za jednym z nich, trenerem mistrzów świata z 1978 r. Césarem Luisem Menottim, Bielsa porównuje defensywny futbol do mężczyzny, który widząc klomb pełen kwiatów idzie na wprost, niepomny na piękno, które tratuje. Oddawania inicjatywy przeciwnikom, czekania na ich potknięcie, a potem gry na osiągnięcie wyniku, nie znosi.

„Wiem, że to nie jest dobra analogia, bo jak tu można porównywać futbol z katastrofą klimatyczną – zastrzega – ale uważam, że naszą odpowiedzialnością jest przypominanie, że piękno gry jest ważniejsze od wyniku. Musimy o to dbać tak samo, jak musimy dbać o planetę. Inaczej nasze dzieci słono za to zapłacą. Zniszczymy ten świat, a one będą ponosić koszta".

Awans Leeds do angielskiej ekstraklasy – naszpikowanej superklubami, których właściciele traktują je raczej jak maszynki do zarabiania pieniędzy, a pieniądze wiążą się właśnie z wynikami – jest więc szczególnie interesujący. Po jednej stronie sami materialiści, po drugiej idealista. Po jednej krwawi kapitaliści, po drugiej nieuleczalny lewicowiec – nawet jeśli opłacany nie gorzej niż inni, a w związku z tym inwestujący zarobione pieniądze np. w ufundowanie swojemu pierwszemu klubowi porządnego ośrodka treningowego („To nie jest prezent – tłumaczył – tylko spłata długu"). Po jednej stronie sprzedawcy wizerunków zarządzanych przez siebie klubów na nowe, globalne rynki, po drugiej człowiek świadomy, do jakiego stopnia futbol może być narzędziem wzmacniania lokalnej tożsamości.

Jest w tym oczywiście pewna dwuznaczność: choć osobowości w Premier League nie brakuje, a nazwiska Mourinho, Guardiola, Klopp czy Ancelotti od lat przyciągają publikę, to z tym szaleńcem sprzedawać się ją będzie jeszcze lepiej. No chyba że kolejny raz się obrazi, trzaśnie drzwiami, uzna, że zarząd klubu nie dotrzymał jakiejś obietnicy, choćby i takiej, która zwykłym śmiertelnikom wydaje się kompletnie nieważna, a dotyczy np. koloru ścian w odświeżanej wedle jego zaleceń szatni.

Najbardziej prawdopodobny scenariusz jest oczywiście inny. Leeds zacznie imponująco, będzie rozgrywać piękne mecze, ale w tabeli zdobytych punktów wciąż będzie zbyt mało i odpowiedzialni za klub uznają, że bezpieczniej będzie uniknąć kolejnej katastrofy – nawet jeśli byłaby piękna – i zatrudnią kogoś bardziej pragmatycznego.

To jednak pieśń przyszłości. Na razie, po raz pierwszy od lat, wyjazd z miasta nie wydaje się najlepszym sposobem na poprawę losu. Przeciwnie: napis na tablicy przy torach, który zawsze odczytywano jako świadectwo dufnego oderwania od rzeczywistości, wydaje się precyzyjnie oddawać stan faktyczny. Ów napis głosi: „Leeds, witamy w Ziemi Obiecanej".

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY

Spróbuj na lato, zostań na lata

Kup prenumeratę „Tygodnika Powszechnego” w ofercie #lato

- otrzymasz 13 numerów pisma – pod wskazany adres bez dodatkowych kosztów wysyłki

oraz

- GRATIS natychmiastowy 3-miesięczny dostęp online o wartości 50 zł

~~170 zł~~ → **120 zł!**

Nie przejmuj się zasięgiem – czytaj, jak chcesz, gdzie chcesz i kiedy chcesz dzięki połączeniu wydania papierowego i cyfrowego na #lato

Sprawdź szczegóły oferty i kup na powszech.net/lato

Kontakt w sprawie prenumeraty:

Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 668 479 075
lub e-mail: prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
– wydania drukowane

Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101
lub e-mail: kontakt@powszechswiat.pl
– wydania cyfrowe

Regulamin prenumeraty i promocji na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

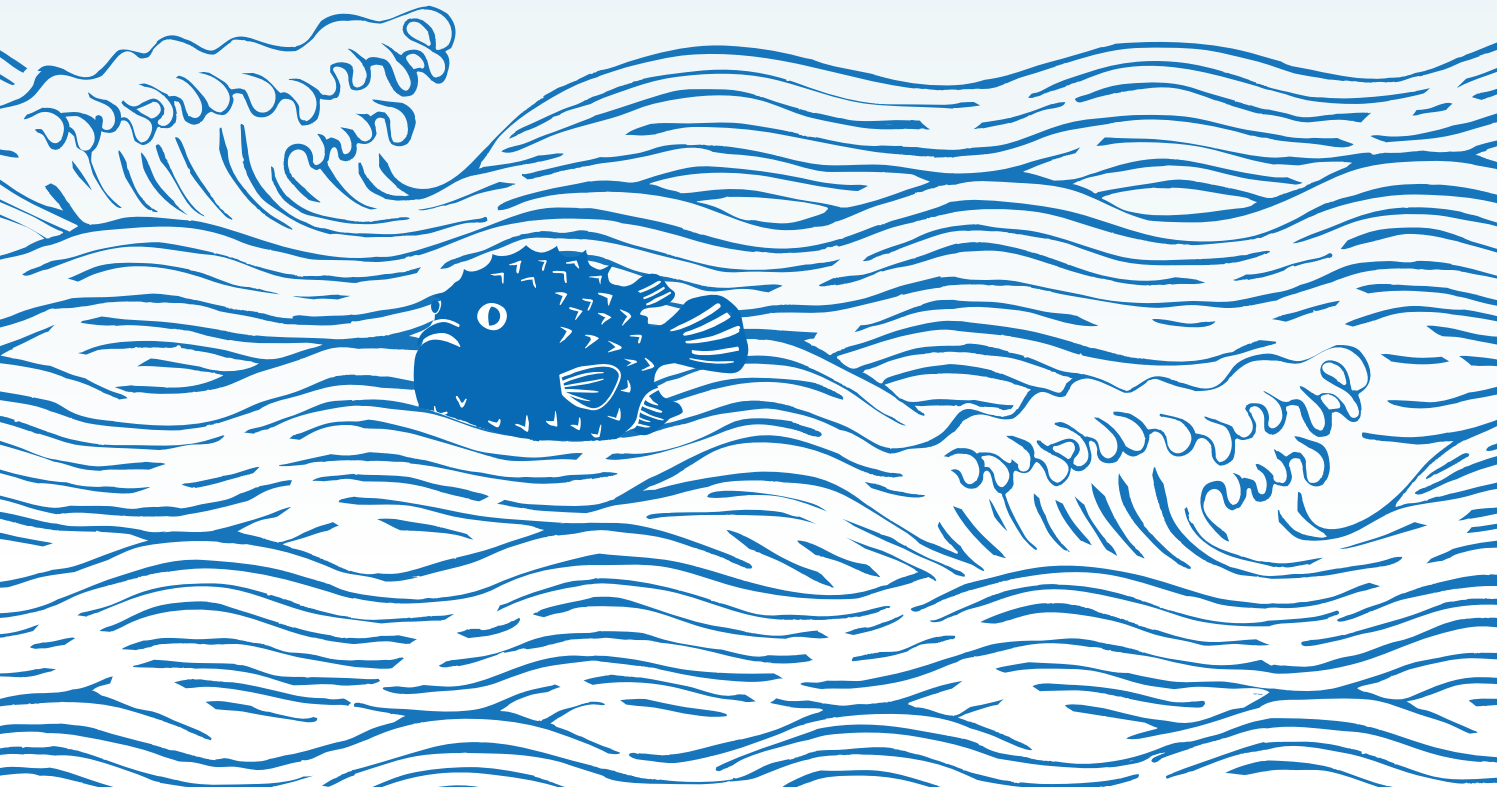

STANISŁAW

Mancewicz:
Biologia i mikrobiologia

Nasze marzenia o pracy badawczej żarzą się od lat wielu. Niestety nie dane nam było skosztować słodyczy zatrudnienia w jakiejś akademickiej placówce, godnej naszej pomysłowości, przenikliwości i zwięzłości. Cóż. Nie można mieć wszystkiego. By jednak nie popadać w zbyt osobiste wyznania, wypada natychmiast przejść do rzeczy i pokazać, że doświadczenia na ludziach można robić poza wyspecjalizowanymi laboratoriami, poza uniwersytetami, a do gibkiego analizowania zdarzeń wystarczy oko, byle szkiełko, kartka papieru i ołówek, nic więcej.

Oto – to dziś oczywiste – na tapetę musieliśmy wziąć zespół zjawisk wynikłych z wrzucenia do publicznego mamłania skrótu LGBT. Oczywiście nie będziemy tu objaśniać detalicznie, o co chodzi, każdy może te litery wpisać do internetowej wyszukiwarki i się zaraz dowie, co znaczą. No więc wynik memłania owego skrótowca przez polityków, media i duchowieństwo jest już znany, a praktycznym jego wymiarem jest solidna strata finansowa niektórych, na ochotnika, miast polskich, i oczywiście wybór Andrzeja Dudy na prezydenta kraju. Teza, że Andrzej Duda został wybrany na to stanowisko tylko z tego powodu, ma podstawy, i jest to teza arcyciekawa. Tu, w tym momencie rozumowania, zauważyliśmy silny wzrost ciśnienia tętniczego w ciele, a dzieje się tak zawsze, gdy napływają nam do głowy zamiary sadystyczne w odniesieniu do polskiego społeczeństwa. Znęcanie się w tym przypadku – to jest oczywiste – nie wymaga niemal nigdy żadnych specjalnych nakładów, ani intelektualnych, ani finansowych, ani czasowych. Jest to zadanie tak proste, jak złowienie niewymiarowej płoci czy znalezienie dziś zsiniałego i kulawego maślaka.

Oto nasze dumne i wszystkowiedzące społeczeństwo, które, jak wiadomo, z niejednego pieca chleb jadło, które jest w legendarny i podziwu godny sposób nieufne, które ma poczucie niesłychanej wyższości wobec społeczeństw innych i lubuje się w profesjonalnym i praktycznym mniemaniu na każdy temat, łyknęło opowieść o intymnym życiu człowieka na poziomie bajki z mchu i paproci. Jest to – trzeba przyznać – okoliczność szalenie śmieszna, kto stanowi autorytety dla najszerszych mas w sprawach cielesności bądź takowego obcowania. Gdyby nie różne, czasem bardzo tragiczne konsekwencje dla niewinnych ofiar, można by rzec, że nigdy nic zabawniejszego w polskiej historii się nie zdarzyło niż ta ekipa, nie licząc oczywiście przeniesienia do Warszawy stolicy kraju tego. Powtórzmy głośno, by informacja ta dotarła na obrzeża świata widzialnego: oto ponad dziesięć milionów ludzi przyjęło za swoją opowieść z mchu i paproci, a przejęła ich owa baśń straszliwym freudowskim lękiem. Nie ma na świecie wystarczająco dużej kozetki, która pomieścić by mogła ciało naszego społeczeństwa. Wypada się z tym pogodzić.

W innej sferze, w której takoż sporą rolę odgrywa elementarne wykształcenie, na poziomie powiedzmy mniej niż dziś podstawowym, jest kwestia zachowania elementarnego bezpieczeństwa w czasie epidemii i podstawowych informacji na jej temat. Widok człowieka w maseczce zaczął budzić wesołość w naszym społeczeństwie, które – powtórzmy – z niejednego pieca chleb jadło. Ta wesołość musi budzić wesołość. Otóż w ramach kilku jałowych rozmów ostatnio przeprowadzonych bądź podsłuchanych udało się nam dojść do wniosku, że społeczeństwo polskie nie tylko nie wierzy w biologię, ale, co tym bardziej zrozumiałe, nie wierzy w mikrobiologię. Czy stan ten budzi czyjekolwiek zaniepokojenie? Władz bądź duchowieństwa? Nie budzi. Budzi tam – ostrożnie rzecz ujmując – satysfakcję. Jak to syntetycznie ująć? Społeczeństwo nasze – to powoli przenika do świadomości Ziemian – staje się modelem niewiedzy na temat chorób i seksu. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

PREMIERA – już w sprzedaży!
DOBRE ŻYCIE – najnowsze wydanie specjalne bestsellerowej serii „Tygodnika Powszechnego”

O pojęciach takich jak DOM, MIŁOŚĆ, NADZIEJA, CZAS, WIARA, ŻYWIOŁ czy WOLNOŚĆ opowiadają mistrzynie i mistrzowie.

Więcej na powszech.net/dobrezycie

TYGODNIK POWSZECHNY

WSPÓŁWYDAWCA

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY WYDANIA

PRZE KRÓJ

RMF Classic

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / GRAFIKA NA OKŁADCE MARTYNA WÓJCIK-ŚMIERSKA DLA „TP”

REKLAMA

xABo KSIĄDZ BONIECKI

W KINACH

SCENARIUSZ I REŻYSERIA ALEKSANDRA POTOCZEK
PRODUCENT ALEKSANDER KARDYŚ PRODUCENT WYKONAWCZY AGNIESZKA ISKRA
ZDJĘCIA ADAM PALENTA, SZYMON SINOFF KIEROWNICTWO PRODUKCJI LIDIA BARANKIEWICZ
MONTAŻ MARCIN SUCHARSKI DŹWIĘK TOMASZ KOCHAN MUZYKA HANIA RANI

PRODUKCJA: FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO, tvn, kbf
WSPARCIE: Kraków, MAŁOPOLSKA, Kraków
SPONSOR GŁÓWNY: WYŻSZA SZKOŁA INFORMATYKI I ZARZĄDZANIA z siedzibą w Rzeszowie
SPONSORZY: GRUPA ERGIS
PARTNER: TYGODNIK POWSZECHNY
DYSTRYBUCJA: GF
PATRONI MEDIALNI: onet, FILMWEB, PANI, wysokie obcasy, POLITYKA, TOK FM

FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA TYGODNIKA POWSZECHNEGO